PODWÓJNY NUMER NATURA TUŻ ZA OKNEM | HISTORIĘ NAPISZĄ KROWY
PAŃSTWO POSZŁO W LAS | CZUŁOŚĆ JEST OKRUTNA | O CZYM ŚPIEWA OCEAN
DUCH WIEJE W SIECI | ZAŁÓŻ SOBIE REZERWAT **ODDECH NA MAJÓWKĘ**

Kraków 26 IV – 3 V 2020 nr 17-18 (3694-3695) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

KS. ADAM BONIECKI

Moja i twoja nadzieja

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Na przekór pandemii – troska o godny kres życia

Marzec zmienił życie nas wszystkich. Winny nie jest oczywiście sam marzec. Zawisło nad nami coś, co przynosi dramatyczne, zmieniające się każdego dnia statystyki i w niecały miesiąc sprawiło, że codzienne, zwykłe sprawy przestały być zwykłe. Nic nie jest takie samo – także sposób, w jaki chorujemy i w jaki możemy towarzyszyć bliskim w chorobie oraz odchodzeniu.

Hospicjum to też Życie

To hasło przyświeca naszym działaniom od lat. Dziś to hospicyjne życie również jest inne. W holu domu hospicyjnego im. Ks. Dutkiewicza, gdzie zwykle spotykamy wolontariuszy i rodziny podopiecznych, jest pusto i cicho. Jak nie u nas. Z portretu nad kominkiem spogląda sam ksiądz Eugeniusz Dutkiewicz, pewnie zdumiony tą ciszą. Ale też i dumny z zespołu, który nie ustaje w trosce o chorych na oddziale stacjonarnym i w hospicjum domowym dla dorosłych i dzieci. Lekarze i pielęgniarki organizują telewizyty, teleporady, ale również odwiedzają pacjentów, gdy tele- już nie wystarczy. Dbają o to, by chorzy i ich rodziny czuli, że nie są sami.

Wciąż przyjmujemy pacjentów. Przyjęcie wygląda jednak teraz inaczej. Lekarz ma na twarzy przyłbicę ochronną, na rękach rękawiczki. Rodzina jest w maseczkach i rękawiczkach. Dzieli ich ponad metr – tylko tak mogą porozmawiać o tym, jak będzie wyglądała opieka nad bliskim, zaledwie piętro wyżej. Zatroszczą się o niego pielęgniarki, opiekunki, kapelan i psycholożki. Zespół hospicyjny odpowiada na każdy rodzaj bólu, na ten fizyczny i na ten emocjonalny. Czuwa więcej przy chorych, pomaga w kontakcie z rodziną przy pomocy telefonów albo tabletów, by mogli się usłyszeć i zobaczyć.

Najważniejsze jest bezpieczeństwo

Chodzi o bezpieczeństwo chorych i zespołu opiekuńczego. Wcześniej było to proste – składamy zamówienie i odbieramy środki ochrony osobistej. Teraz to nowe wyzwanie dla naszych fundraiserek. Oprócz maseczek, fartuchów fizelinowych, rękawiczek, płynu do dezynfekcji, przyłbic na naszej liście zakupów pojawiły się prześcieradła fizelinowe i bawełniane, gumki, tasiemki, z których wolontariusze uszyją maseczki. Setki wysłanych maili i przeprowadzonych rozmów telefonicznych. Czy szybka w telefonie może pęknąć po kolejnym dniu obdzwaniania firm z prośbą o wsparcie? Wiemy już, że może. Czujemy presję czasu, bo rzeczy, których potrzebujemy, znikają w błyskawicznym tempie. To, że zamówienie zostało przyjęte, nie oznacza, że będzie zrealizowane.

Wsparcie jest teraz szczególnie potrzebne

W każdym wymiarze. Obiady dla zespołu opiekuńczego, napoje, kawa, słodycze – proste gesty mają dziś o wiele większe znaczenie. „Ktoś o nas pomyślał, ktoś okazał troskę, to pomaga" – mówią pielęgniarki i opiekunki. Wszystkie dary od firm i osób prywatnych to olbrzymie wsparcie materialne. Bo zmieniły się także ceny. Maseczki, które kosztowały około 30 gr, teraz kupimy od 3 zł. Cena fartucha fizelinowego z 1,5 zł wzrosła do przynajmniej 8 zł, a opakowania rękawiczek z 15 zł do ok. 59 zł. Hospicjum potrzebuje 10 tys. maseczek, 20 tys. rękawiczek, 5 tys. fartuchów.

Jak można nas wesprzeć?

Najważniejszy jest 1%, bo on nic nie kosztuje podatnika, a tak wiele może. Wystarczy wpisać w roczne zeznanie numer KRS naszej Fundacji: 0000 201 002. Do 31 maja można zrobić korektę już złożonego zeznania – jeśli ktoś nie wskazał żadnej organizacji, może jeszcze to zrobić! Kliknij w kod QR, by skorzystać z darmowego programu ePIT Fundacji Hospicyjnej.

Można wesprzeć także naszą zbiórkę na Facebooku, przekazać darowiznę, ustawić regularny przelew na rzecz Fundacji.

Hospicjum to też życie. Teraz stanęło na głowie, ale tym bardziej mobilizuje nas to do działania. Czujemy odpowiedzialność za ponad 3 tys. naszych podopiecznych i zrobimy wszystko, by w tych trudnych czasach żaden z nich nie został bez opieki. To nasz powód, by pracować ze zdwojoną siłą.

#ZnajdźSwójPowód,
żeby nas w tym wesprzeć:
www.fundacjahospicyjna.pl

MATERIAŁ PROMOCYJNY

KS. ADAM

Boniecki: *Na Planty wróciło życie*

W ostatni poniedziałek władze otworzyły parki – w tym krakowskie Planty. Choć Plant tak naprawdę zamknąć się nie da, bo ten czterokilometrowy ogród okalający Stare Miasto nie ma żadnej bramy. A jednak: wystarczyło słowo pana premiera, plastikowe biało-czerwone taśmy i mandaty straży miejskiej.

W miastach, w których przyszło mi dłużej mieszkać, miałem miejsca, które oglądałem codziennie, lecz nigdy mi się nie znudziły. Przeciwnie, zawsze niezmiennie mnie zachwycały. W Rzymie było to Viale del Muro Torto, przez 12 lat moja droga do pracy w Watykanie. Co dzień pieściła tam moje oczy architektura wzgórza Pincio, drzewa w ogrodach willi Borghese, zmieniające się światło... W Krakowie takim miejscem są Planty. Wiosną, latem, jesienią i zimą, w dzień i w nocy. W głębi duszy jestem wdzięczny władzom Wolnego Miasta Krakowa za decyzję rozebrania zdewastowanych fortyfikacji i urządzenia na ich miejscu, w latach 1822-30, tego ogrodu.

Plantom, zaniedbanym i niszczonym przez Niemców podczas okupacji, przywrócono dawny splendor pod koniec lat 80. XX w. Wtedy zaczęto stawiać tu nowe pomniki. Lubię jeden z najnowszych – to znajdujący się obok seminarium duchownego, siedzący na ławce i toczący debatę wielcy matematycy: Stefan Banach i Otton Nikodym. Ławeczkę odsłonięto w setną rocznicę ich matematycznej dyskusji. Pomnik w stulecie dyskusji matematyków – czy to nie wspaniałe?

Jest też na Plantach kilkadziesiąt ławek opatrzonych tabliczkami dedykującymi je ważnym postaciom. Ale nie chodzi mi wyłącznie o ławeczki, pomniki, zabytkowe drzewa i krzewy (40 gatunków!), choć trudno nie wspomnieć o ponad 130-letnim platanie rosnącym kilka kroków od naszej redakcji. Dla mnie ważne jest to, że Plantami można spacerować, ale przede wszystkim chodzi się nimi do konkretnych miejsc: instytucji, urzędów, kościołów, do znajomych. Kiedy władze zamknęły Planty, idąc do „Tygodnika" musiałem nadkładać drogi.

Ważne jest też to, że na ławkach przy Plantach zawsze ktoś siedzi. Lubią na nich siadywać zakochani, bliżej uniwersytetu – zatopieni w lekturze studenci. Bezdomni w porze posiłku, który dostają w klasztorze reformatów, siadają na ławkach u wylotu ulicy Reformackiej. Był taki czas, że na Plantach, między Franciszkańską a Wawelem, można było spotkać zmierzającego do domu biskupa Karola Wojtyłę, kiedy jeszcze mieszkał na ulicy Kanoniczej. Ten odcinek Plant zwykle obfituje w kleryków z seminarium, księży różnego wieku i różnych kościelnych godności. Rzadziej biskupów – bo od śmierci kard. Franciszka Macharskiego i wyjazdu do Łodzi abp. Grzegorza Rysia mało który biskup chodzi ulicami Krakowa.

Ale nie dlatego kocham Planty. Kocham je, bo są piękne w dzień i w nocy, wiosną pokryte zielenią, zimą śniegiem. Tak piękne, że nie są w stanie ich oszpecić nawet rozstawiane tam panele z historycznymi fotosami ani jeżdżące alejkami samochody straży miejskiej. Panele z czasem znikają. Straż, zebrawszy swoje żniwo, odjeżdża w kierunku izby wytrzeźwień, a Planty trwają i żyją swym dyskretnym życiem.

W poniedziałek życie na Planty powróciło. Dlaczego właśnie teraz? Dlaczego do poniedziałku musiały być zamknięte? Co takiego w poniedziałek się zmieniło, jeśli krzywa zakażeń nie opada, a ludzie nadal umierają?

Odpowiedź dali nam rządzący. Planty zamknięte czy otwarte, zagrożenie będzie trwało jeszcze długo. Etapy powracania do normalności nie mają dat. Choć krzywa rośnie, to i tak w miejsce hasła „pozostań w domu" wejdzie nowe: „musimy się nauczyć z nim (koronawirusem) żyć". Żyć normalnie w czasie tak samo nienormalnym jak tydzień, dwa czy trzy tygodnie temu. Musimy przynajmniej pozorować normalność, chodząc po Plantach w maskach i do kościoła wpuszczając nie pięć, a pięćdziesiąt osób. Od poniedziałku. ©℗

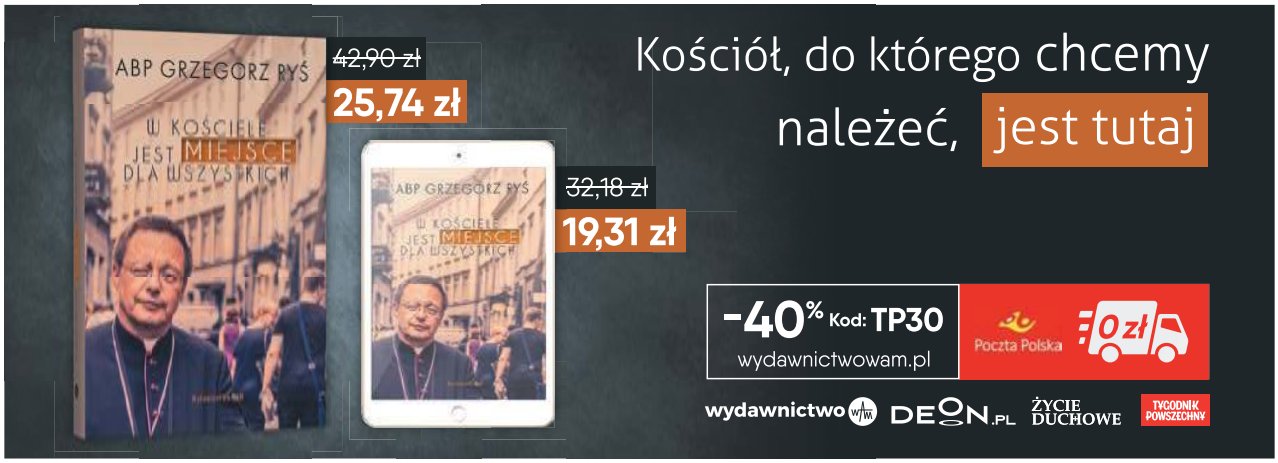

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NA MAJÓWKĘ

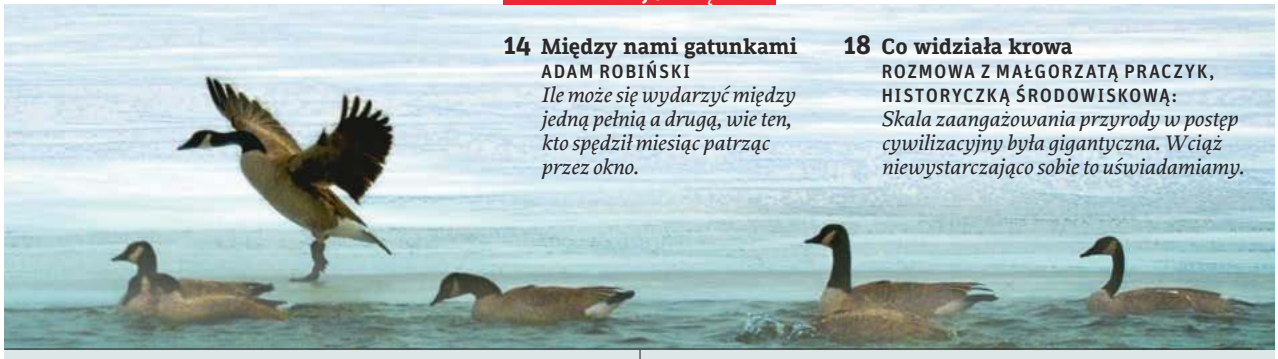

14 Między nami gatunkami
ADAM ROBIŃSKI
Ile może się wydarzyć między jedną pełnią a drugą, wie ten, kto spędził miesiąc patrząc przez okno.

18 Co widziała krowa
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ PRACZYK, HISTORYCZKĄ ŚRODOWISKOWĄ:
Skala zaangażowania przyrody w postęp cywilizacyjny była gigantyczna. Wciąż niewystarczająco sobie to uświadamiamy.

52 Moja i twoja nadzieja
Z KS. ADAMEM BONIECKIM ROZMAWIA ANNA GOC:
Dziś, bodaj po raz pierwszy, mówimy: nie ma nieważnych ludzi.

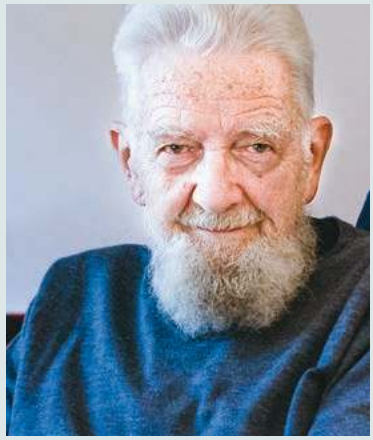

86 Wszystko przez plakacik
ROZMOWA Z JOANNĄ HELANDER, FOTOGRAFKĄ:
Wydawało mi się, że kastrujący system PRL doszczętnie Polaków skorumpował i ogłupił. Okazało się, że nie do końca tak jest.

80 Piosenka ci nie da zapomnieć
RYSZARD KOZIOŁEK
Kogo miała na myśli Olga Tokarczuk, przywołując w wykładzie noblowskim swój ideał „czułego narratora”?

102 Usiądź i patrz
KRZYSZTOF STORY
W naszym klimacie las powstaje, gdy nie przeszkadzamy przyrodzie – mówią Mieszko i Karolina Stanisławscy. W Beskidzie Niskim chcą stworzyć strefę wolnej ziemi.

76 O czym śpiewa ocean
ROZMOWA Z KATE STAFFORD, OCEANOGRAFKĄ:
U wielu gatunków wielorybów koncertują tylko samce. „Hej, jestem tutaj największym facetem” – wołają. A samice podsłuchują.

Następne wydanie „Tygodnika Powszechnego” ukaże się w kioskach w środę 6 maja, wydania cyfrowe we wtorek 5 maja wieczorem.

NATI HARNIK / AP PHOTO / EAST NEWS // GRAŻYNA MAKARA // MIESZKO STANISŁAWSKI // SERGEY URYADNIKOV / STOCK.ADOBE.COM // ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA // GRAŻYNA MAKARA

6 DPS-y: komu grozi minister
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-13 Obraz tygodnia

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

35 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

24 Prezes wirusowi się nie kłania
ANDRZEJ STANKIEWICZ

28 Powrót do lat pięćdziesiątych
ANNA DZIEWIT-MELLER, ANNA PAMUŁA: *Jak koronawirus zmienił życie Polek i Francuzek?*

32 Pochwała czystego okna
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI: *Przyrodnik uwięziony w domu*

■ ■ OPINIE

36 Państwo poszło w las czyli rygoryści i cykliści
KLAUS BACHMANN

■ ■ WIARA

40 Kościół na kwarantannie
KS. ANDRZEJ DRAGUŁA: *Nikt nas nie uczył duszpasterstwa stanów nadzwyczajnych*

44 Przedłużone rekolekcje
MARIUSZ SEPIOŁO: *Kiedy na wsi parafia przestaje działać normalnie*

46 Średniowieczny taniec ze śmiercią
MACIEJ MÜLLER

■ ■ ROZMOWA

52 Moja i twoja nadzieja
ROZMOWA Z KS. ADAMEM BONIECKIM

KRAJ

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

24 Prezes wirusowi się nie kłania
ANDRZEJ STANKIEWICZ

W obozie władzy skończyło się wzajemne zaufanie. Problem w tym, że w opozycji też nikt nikomu nie ufa.

36 Państwo poszło w las czyli rygoryści i cykliści
KLAUS BACHMANN

Nigdy po 1989 roku Polska nie była tak dobrze przygotowana na iluzoryczne zagrożenia i tak słaba wobec faktycznych wyzwań.

■ FELIETONY ■

34 ANNA DZIEWIT-MELLER **74** WOJCIECH BONOWICZ
100 JAN KLATA **101** PAWEŁ BRAVO
106 STANISŁAW MANCEWICZ
106 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: KS. ADAM BONIECKI / ARCHIWUM PRYWATNE
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Szanowne Prenumeratorki, Szanowni Prenumeratorzy!

W najbliższych tygodniach mogą powstać problemy z dostawą „Tygodnika Powszechnego" do Państwa skrzynek. Dokładamy wszelkich starań, by druk i spedycja odbywały się bez opóźnień, jednak nie mamy wpływu na cały łańcuch dystrybucji. Prosimy serdecznie o wyrozumiałość oraz cierpliwość.

■ ■ ŚWIAT

58 Kolejny front
MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA: *Wolontariusze walczą z epidemią*

61 Jak to się skończy, pójdziemy do kina
PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

64 Czekając na podwójne uderzenie
MAGDALENA BARTCZAK Z CHILE

67 Koreański sposób na wirusa
ROMAN HUSARSKI Z SEULU

■ ■ HISTORIA

70 Od ognia i wojny
PATRYCJA BUKALSKA: *O losie krucyfiksu z kaplicy Baryczków*

■ ■ NAUKA

76 O czym śpiewa ocean
ROZMOWA Z KATE STAFFORD

■ ■ Z ODDECHEM

80 Piosenka ci nie da zapomnieć
RYSZARD KOZIOŁEK

■ ■ KULTURA

86 Wszystko przez plakacik
ROZMOWA Z JOANNĄ HELANDER

92 Na linii
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Teatr dzieje się na żywo. I co teraz?*

95 Gdyby kina nie było
JAKUB MAJMUREK

98 Zerwane kagańce
ANITA PIOTROWSKA *o serialach „Unorthodox" i „Kalifat"*

100 Mężczyzna czterdziestoletni
LEKTOR *o książce „Moja osoba. Eseje i przygody" Łukasza Najdera*

■ ■ ZMYSŁY

102 Usiądź i patrz
KRZYSZTOF STORY

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata: Irak nad przepaścią
Po czterech wyniszczających wojnach, po dziesięcioleciach tyranii krajowi zagraża epidemia i nagła dewaluacja jego jedynego bogactwa: ropy naftowej – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** w autorskim cyklu **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

Pomóżmy sobie sami
Ankietowani widzą, że państwo sobie nie radzi. I dlatego chcą włączyć się we wspólnotowy ruch pomocy – mówi **GRZEGORZ CAŁEK**, dyrektor Instytutu Inicjatyw Pozarządowych, autor badań nad zachowaniami Polaków w czasie kwarantanny **powszech.net/pomoc-kwarantanna**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

IREK DOROŻAŃSKI / DOWÓDZTWO WOT

Ewakuacja pensjonariuszy domu opieki w Kaliszu do szpitala w Poznaniu, 17 kwietnia 2020 r.

DOMY OPIEKI: KOMU GROZI MINISTER

Zbigniew Ziobro zapowiada śledztwa w sprawie odmawiającego pracy personelu placówek. Jest jak dowódca grożący karabinem za dezercję żołnierzom, którzy nie dostali nawet hełmów.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Obowiązkiem tych pracowników jest troska, dbanie o zdrowie i życie osób, którymi się opiekują. (...) My nie możemy się zgodzić na sytuację, gdy osoby powołane do opieki nagle znikają" – mówił Ziobro, informując o dochodzeniach m.in. tam, gdzie personel odmówił pracy, ale też siłą rzeczy grożąc tym, którym może to przyjść do głowy. Kogo minister przestrzega?

Np. szefową Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego, z którą rozmawiałem w ubiegłym tygodniu. Była piętnastą dobę zamknięta – wraz z kilkoma pielęgniarkami – z niemal setką pacjentów. Z dala od dzieci i terminalnie chorego rodzica. Mówiła, że w alercie jest nawet w nocy. I że aby się nie rozsypać, „zamroziła emocje".

A może Ziobro mówi do pielęgniarki, o której słyszałem od pracującej w pomocowej infolinii psycholożki? Przez tygodnie wracała z pracy do wynajętego dla bezpieczeństwa rodziny mieszkania. Potem się rozsypała. Czy jeśli przestanie chodzić do pracy, śledztwo obejmie także ją?

Minister przemawia do opiekunów, opiekunek, pielęgniarek, którzy zajmują się

200 tys. skoszarowanych w placówkach Polaków (80 tys. w DPS-ach, reszta m.in. z ZOL-ach, szpitalach psychiatrycznych, schroniskach dla bezdomnych). Średnie obłożenie DPS-u to ponad sto, ale są i takie z 500 osobami. Jest tak, bo koledzy ministra Ziobry (i ich poprzednicy z wcześniejszych rządów) nie mieli przez trzy dekady innego pomysłu na meblowanie systemu pomocy osobom niesamodzielnym. Apele ekspertów, by część ciężaru opieki przenieść na bardziej przyjazne środowisko zamieszkania osoby starszej bądź niepełnosprawnej – np. lokalne wspomaganie – pozostawały wołaniem na pustyni.

Minister mówi do grup opłacanych na granicy upokorzenia. Co robią DPS-owe opiekunki za 2 tysiące? Karmią, zmieniają pampersy. Zmagają się z chorobami, depresjami. Bywa, że z agresją (ten napędzany specyfiką placówek-molochów mechanizm działa w obie strony, co wiemy np. z badań dr. Krzysztofa Kurowskiego: mieszkańcy bywają pozbawiani prawa do intymności czy decydowania o własnych rzeczach). Ziobro nie mówi – jak by się mogło zdawać z serialowych migawek – do młodych kobiet w białych fartuszkach. Średni wiek polskiej pielęgniarki to 52 lata. Minister mówi więc też do generacji 50 plus – część opiekuje się w domach niesamodzielnymi już rodzicami, bo koledzy ministra (i ich poprzednicy) umacniali doktrynę będącą alternatywą dla placówek całodobowych: radźcie sobie sami.

Wreszcie, minister mówi do ludzi, którzy nie zostali na czas ostrzeżeni, wyposażeni w procedury, środki ochrony, infrastrukturę do izolacji. Mimo iż zaczęło się to zmieniać, Polskie Forum Osób z Niepełnosprawnościami nadal alarmuje: praca resortu zdrowia (ZOL-e) i rodziny (DPS-y) jest nieskoordynowana. Brakuje testów. Kaliski DPS czekał na nie tak długo, że w międzyczasie zostały zarażone 84 osoby. A epidemia zbiera żniwo. W niedzielę PFOzN podawało (znamienne: jedyna regularnie aktualizowana diagnoza sytuacji w placówkach to dzieło organizacji pozarządowej), że zarażonych jest prawie 1100 osób, w tym niemal 300 z personelu, i że zmarło 47 z ponad 50 placówek. Te dane oznaczają, że osoby z DPS-ów czy ZOL-ów są 40 razy bardziej narażone na zakażenie. Tak, te szacunki dotyczą też personelu.

Czy straszenie prokuratorem to główny przekaz, jaki ma dla tej grupy rząd? ©℗

Na kwarantannie nie widzimy suszy

MAREK RABIJ

Gdy pod koniec stycznia cytowałem biuletyn służby hydrogeologicznej przy Państwowym Instytucie Geologicznym, która ostrzegała, że w „11 z 16 województw poziom wód gruntowych spadł poniżej stanów ostrzegawczych", opatrzyłem go uwagą ekspertów, że zeszłoroczną suszę będziemy w 2020 r. wspominać z rozrzewnieniem – o ile luty i marzec nie przyniosą opadów.

Dziś wiemy już, że po suchej jesieni 2019 r. i niemal bezśnieżnej (nie licząc opadów w górach) zimie nadeszło ciepłe i bezdeszczowe przedwiośnie. Stan wysokiego zagrożenia pożarowego w lasach obowiązuje na terenie całego kraju, poza regionami górskimi i Mazurami. Od początku roku lasy płonęły już ponad 2 tys. razy. Rzeki i jeziora wysychają. W Warszawie Wisła, która jeszcze na początku marca miała 200 cm głębokości, liczy dziś 64 cm.

W najnowszym biuletynie PIG podtrzymuje styczniowe prognozy. Susza jest już faktem, nie wiemy tylko, jak katastrofalny kształt przybierze w kolejnych miesiącach. Czy tylko uprzykrzy życie rolnikom, czy może zdewastuje uprawy, prowadząc do skoku cen żywności – i to w momencie, gdy gospodarce grozi recesja. Maj i czerwiec to tradycyjnie okres wysokich stanów rzek po wiosennych ulewach, ale dla odbudowy zasobów przygruntowych nie mają one większego znaczenia: woda szybko spływa do Bałtyku lub paruje w wysokiej temperaturze.

Zamknięci w domach przez koronawirusa możemy nie docenić tego niebezpieczeństwa. Niewidzialne, lecz bliskie zagrożenie przesłoniło nam ryzyka, które mniej lub bardziej niewyraźnie majaczą na horyzoncie. Jest wśród nich, niestety, także katastrofa klimatyczna. Na publicystów i aktywistów, którzy przypominają, że pandemia w magiczny sposób nie unieważniła alarmistycznych raportów klimatologów, lecą wręcz połajanki, że nie czas i miejsce na zabawę w Kasandrę. Prędzej czy później wszyscy będziemy jednak musieli sobie uzmysłowić, że pokonanie wirusa nie będzie mieć znaczenia, jeśli w ciągu 20 lat nie powstrzymamy ocieplenia klimatu. ©℗

Wszystkie lęki dzieci

PONAD SIEDEMSET. Tyle wiadomości z publikowanego w sieci formularza kontaktowego dostała Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę między 1 a 15 kwietnia, gdy osoby do 18. roku życia nie miały prawa samodzielnego opuszczania domów (od poniedziałku zakaz dotyczy tylko dzieci do lat 13). To oznacza wzrost w stosunku do marca, kiedy przez cały miesiąc pojawiło się tych wiadomości nieco ponad tysiąc (to z kolei dwukrotnie więcej niż w miesiącach sprzed epidemii). Wzrosła też w marcu i kwietniu liczba interwencji Fundacji w sytuacjach zagrożenia życia lub zdrowia – głównie myśli samobójczych, podejmowanych już prób odebrania sobie życia bądź nasilonej przemocy domowej.

Jakie lęki kryją się za tysiącami wiadomości i telefonów? – O zdrowie, o przyszłość, o szkołę, o egzaminy – wylicza Paula Włodarczyk, koordynatorka prowadzonego przez Fundację telefonu zaufania 116 111. – O relacje z rówieśnikami. O związki, które też się za sprawą epidemii sypią. Dzwoniący bądź piszący opowiadają o przemocy, która albo pojawiła się z powodu dodatkowego napięcia w domu, albo trwała wcześniej, a ostatnio się nasiliła. Martwią się o rodziców: że zachorują, że stracą pracę.

Fundacja wysłała w zeszłym tygodniu apel do premiera wraz z rekomendacjami dla rządu. Dotyczą m.in. pilnego zwiększenia zakresu pomocy psychologicznej (także *online*), skuteczniejszego zapobiegania cyfrowemu wykluczeniu dzieci na czas pracy zdalnej szkół i zapewnienia izolacji dla zagrożonych przemocą. „Jesteśmy świadomi, że sytuacja epidemii wymaga podjęcia nadzwyczajnych działań, które mają na celu ochronę całego społeczeństwa – pisała Monika Sajkowska, prezeska Fundacji. – Solidaryzujemy się z tym podejściem. Apelujemy jednak, by działania (...) miały także na uwadze interes najbardziej bezbronnej grupy – dzieci".

©℗ PW

KRAJ W SKRÓCIE

WYPROWADZENIE KOZY

Rząd w swojej łaskawości zniósł – nielegalny, zdaniem prawników – zakaz wstępu do parków i lasów. Decyzję pozytywnie oceniło 86 proc. badanych w sondażu zamówionym przez prorządowy tygodnik „Do Rzeczy”.

STANISŁAW BIELSKI / REPORTER

ZAMRAŻANIE KOZY

Obywatelskie projekty ustaw w sprawie zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej oraz o ochronie tzw. mienia bezdziedzicznego (czyli pozostawionego przez ofiary Holokaustu) zostały skierowane do komisji sejmowych. Dotychczasowe doświadczenia z podobnymi projektami wskazują, że przed końcem kadencji nie ujrzą światła dziennego.

STRZELANIE DO KOZY

Inaczej może być z również skierowanym do komisji projektem nowelizacji prawa łowieckiego, zezwalającym niepełnoletnim na udział w polowaniach za zgodą rodziców lub opiekunów prawnych: lobby myśliwych w Sejmie jest niewątpliwie silniejsze od orędowników tamtych projektów, a w dodatku ponadpartyjne.

GOTOWANIE KOZY

Minister klimatu Michał Kurtyka oświadczył, że części rozwiązań proponowanych w ramach Zielonego Ładu (zakładających osiągnięcie neutralności klimatycznej w UE do 2050 r.) nie da się pogodzić z działaniami na rzecz odbudowy gospodarki po epidemii. Nie wiemy, jak ocieplenie zareaguje na oświadczenie ministra.

Wyborów w maju nie da się zrobić

JAROSŁAW FLIS

Są mury, których się nie przebije nawet głową Jacka Sasina. Nikt nie chce być tym, który Jarosławowi Kaczyńskiemu powie jasno, że wyborów w maju nie będzie – że tym razem jego kalkulacja zawiodła na całej linii.

Prezes wpadł we własne sidła – wąskie grono wiernych wciąż ufa jego geniuszowi, sprawiając, że układ nie jest w stanie skorygować samobójczego kursu. Przekonanie, że to wszystko jest wykonalne, łączy jednak rozochoconych zwolenników PiS i jego wystraszonych przeciwników. Silne zaangażowanie medialnego zaplecza obozu władzy zawęża pole manewru organów ustawowo podejmujących decyzje.

I rząd, i sejmowa większość starają się więc omijać kolejne rafy, które stają na drodze zamiaru prezesa. Tyle że manewry podejmowane celem ominięcia raf wcześniejszych wyprowadzają na kolejne. Z wypowiedzi kluczowych aktorów oraz z przecieków dostarczanych przez organy centralne i lokalne wyłania się rozpaczliwy obraz. Całe przedsięwzięcie próbuje się zrobić metodami partyzanckimi, w czasach paraliżu organizacji. Problemy potęgowane są przez obraźliwe wypowiedzi i uwłaczające decyzje, zrażające personel kolejnych instytucji. W efekcie nikt spoza Nowogrodzkiej nie ma najmniejszej ochoty tego robić, w szczególności zaś wykazywać się konieczną w tej sytuacji inicjatywą, elastycznością, pomysłowością czy wreszcie poświęceniem.

Najlepszym przykładem są rekomendacje ministra zdrowia. Choć generalnie zaakceptował ideę głosowania korespondencyjnego, to ostateczną decyzję uzależnił od konkretnych technicznych i organizacyjnych rozwiązań. Do ich wymyślenia najwyraźniej nie zamierza się przyłożyć. To wszak oznaczałoby konieczność przyznania, że tego się przecież nie da zrobić do maja. Ale tę wieść powinien prezesowi zanieść ktoś inny. *Mamihlapinatapai* – to słowo z wymarłego już języka Jagan, plemienia z Ziemii Ognistej, oznacza: bezskutecznie spoglądać na innych w nadziei, że ktoś zrobi to, co jest przez wszystkich pożądane. Wiele wskazuje na to, że opisuje sytuację w obozie władzy, gdy chodzi o odwołanie majowych wyborów. ©

Alert z opcją śledzenia

APLIKACJE ŚLEDZĄCE ROZWÓJ PANDEMII mają ostrzegać ludzi, którzy mieli kontakt z kimś zakażonym. To może być bezcenna broń w walce z chorobą. Albo koń trojański, który wprowadzi orwellowską inwigilację.

Pionierem były Chiny, które nie tylko monitorują, ale i ograniczają ruch zarażonych. Kupując bilet na metro czy wchodząc do sklepu, Chińczycy muszą zeskanować kod z telefonu. Osoby uznane za zagrożenie nie mogą normalnie funkcjonować. W Korei Południowej rząd publicznie informuje o przypadkach zakażeń (więcej w dziale Świat). Bez nazwisk, ale podając wiek, płeć i ostatnio odwiedzane przez chorego miejsca. To nie zostawia wiele miejsca na prywatność – doszło do ujawnienia paru romansów.

Twórcy dwóch nowych projektów twierdzą jednak, że są w stanie zapewnić prywatność użytkownikom. Pierwszy tworzy zespół Google i Apple. Drugi, znany jako PEPP-PT – grupa europejskich inżynierów i naukowców. W obu przypadkach telefon nadaje sygnał identyfikacyjny przez bluetooth, nasłuchuje innych urządzeń i zapamiętuje kod osoby, blisko której przebywało się przez kilka minut. Gdyby taka osoba została zdiagnozowana, system anonimowo powiadomi wszystkich, którzy mieli z nią kontakt, że powinni się przebadać i odizolować. Amerykański projekt zakłada, że dane nie będą magazynowane w żadnym centralnym serwerze, europejski ma dawać korzystającym z niego krajom wybór: wersję zdecentralizowaną bądź z centralnym rejestrem. Ta decyzja spowodowała burzę i rozłam w zespole.

Prof. Kenneth Paterson z Instytutu Bezpieczeństwa Informacyjnego na politechnice ETH w Zurychu nie zostawił na PEPP-PT suchej nitki. „To otwiera drzwi do piekła dla prywatności. Może pozwolić na tworzenie »wykresów społecznych« każdego, kto pobierze aplikację, ustalenia kiedy i z kim miał kontakt – powiedział w rozmowie z „New Statesman”, nazywając to „mokrym snem agencji bezpieczeństwa”. Mimo to 7 krajów, m.in. Włochy, Francja i Niemcy, rozpoczęło wdrażanie systemu bądź wyraziło taką wolę.

Pod znakiem zapytania pozostaje użyteczność takich aplikacji. Według badań Uniwersytetu Oksfordzkiego mają one sens, gdy używa ich ponad 60 proc. populacji. W Singapurze podobną apkę w ciągu miesiąca pobrało zaledwie 12 proc. mieszkańców. A co najważniejsze: nawet najlepszy system śledzenia chorych jest bezużyteczny, gdy rząd nie prowadzi wystarczającej liczby testów na obecność wirusa.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PETER CZIBORRA / REUTERS / FORUM

TOM MOORE, BRYTYJSKI WETERAN II wojny światowej, przed swoimi setnymi urodzinami – przypadającymi na 30 kwietnia – postanowił zrobić coś dla innych. Zadeklarował, że chciałby zebrać tysiąc funtów dla brytyjskiej służby zdrowia, zmagającej się z epidemią. Potencjalnym darczyńcom obiecał, że w zamian sto razy obejdzie swój ogródek. W marynarce, z przypiętymi do niej medalami, opierając się o balkonik, ruszył spełnić swoją misję. Wkrótce cel nie tylko osiągnął, ale przekroczył: 18 kwietnia na koncie zbiórki było ponad 25 mln funtów. „Kapitan Tom", jak nazywa go cały kraj, stał się dla Brytyjczyków symbolem hartu ducha. ©℗ PB

USA: jak wirus zaraża gospodarkę

BEZROBOTNI W OGROMNYCH KOLEJKACH nie tylko po zasiłek, lecz także po wsparcie z banków żywności, to tutaj coraz częstszy obrazek: w Stanach, gdzie do niedzieli 19 kwietnia odnotowano łącznie prawie 40 tys. zgonów na COVID-19, epidemia okazuje się zabójcza także dla gospodarki. W ciągu miesiąca pracę straciło 22 mln Amerykanów. Kryzys najsilniej uderza w pracowników gastronomii, handlu, branży turystycznej i lotniczej.

W USA, gdzie 97 proc. mieszkańców objętych jest nakazem pozostania w domu, niektórym puszczają nerwy. Do protestów doszło m.in. w Michigan, Kalifornii, Ohio, Kentucky, Minnesocie, Karolinie Północnej i Utah: demonstranci żądali zniesienia restrykcji i otwarcia gospodarki. Najgoręcej było w Lansing w Michigan, gdzie wbrew zarządzeniom władz niektórzy wysiedli z aut i protestowali przed parlamentem stanowym.

Organizowane głównie przez konserwatywnych aktywistów protesty są wodą na młyn dla Donalda Trumpa, który chce jak najszybciej odmrozić gospodarkę; w zeszły czwartek zarekomendował gubernatorom trzystopniowy plan znoszenia restrykcji. Eksperci ostrzegają, że zbyt szybkie działania mogą skutkować nową falą zakażeń. Tym bardziej że w kraju, gdzie infekcję odnotowano już u 735 tys. osób, robi się za mało testów. Naukowcy z Uniwersytetu Harvarda twierdzą, że dla bezpiecznego otwarcia gospodarki potrzeba minimum pół miliona testów dziennie (dziś robi się ich trzy razy mniej). Gubernator stanu Nowy Jork, gdzie chorych jest wyjątkowo dużo, wręcz uzależnia zniesienie restrykcji od zwiększenia liczby testów. Już teraz nakaz pozostania w domach przedłużono tam do 15 maja.

Z drugiej strony zbyt późne uruchomienie gospodarki może mieć fatalne skutki dla budżetu. Niektóre stany alarmują, że pieniędzy na zasiłki dla bezrobotnych starczy na 10 tygodni. Nie taką Amerykę wyobrażał sobie walczący o reelekcję Trump, który do niedawna chwalił się rekordowo niskim bezrobociem.

© MARTA ZDZIEBORSKA z San Diego (USA)

Europa: tydzień z epidemią

RÓŻNE STRATEGIE. Kilkanaście krajów – tych, gdzie epidemia rozwija się powoli – zaczęło nieznacznie łagodzić ograniczenia w gospodarce i życiu społecznym. Odwrotnie w krajach najbardziej dotkniętych: surowe restrykcje przedłużono do początku lub połowy maja w Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Francji i Włoszech (tu kwarantanna trwa najdłużej na kontynencie, od 9 marca).

STO TYSIĘCY LUDZI zmarło do 18 kwietnia w Europie na COVID-19. Najwięcej we Włoszech (23 tys.), Hiszpanii (20 tys.), Francji (19 tys.) i Wielkiej Brytanii (15 tys.). Właśnie w tych krajach odnotowano pozytywny trend: liczba umierających zaczęła spadać, choć nadal jest to kilkaset osób dziennie. Wielu zmarłych to pensjonariusze domów opieki. W Belgii, gdzie jest 5 tys. ofiar na 11 mln ludności, testowani są teraz wszyscy mieszkańcy i pracownicy takich ośrodków.

FAKTYCZNA LICZBA OFIAR może być większa: w wielu krajach trwają spory, na ile wiarygodne są oficjalne metodologie. W Hiszpanii ministerstwo zdrowia uwzględnia tylko zmarłych, którzy mieli wcześniej pozytywny wynik testu; samorządy uważają, że statystyka pomija wiele ofiar. We Włoszech burmistrz Bergamo twierdzi, że w mieście zmarło 800 osób, podczas gdy oficjalna statystyka mówi o 272 (obejmuje zmarłych w szpitalach, a pomija tych, którzy umarli w domu lub ośrodku opieki).

KENZO TRIBOUILLARD / AFP / EAST NEWS

KTO ILE TESTUJE. Sporna jest też skala infekcji. Pod koniec tygodnia w Europie było 1,2 mln zakażonych, ale liczba testów w poszczególnych krajach (one pozwalają na szacunki) jest różna. Najwięcej robi się ich w Niemczech: dotąd 1,7 mln (w Polsce 10 razy mniej). Za Odrą odnotowano 140 tys. infekcji (ok. 3 tys. nowych dziennie) i 4,5 tys. zmarłych (ok. 300 dziennie). Na zdjęciu: testy w domu opieki w Brukseli, 17 kwietnia 2020 r.

„EUROBOND O MORTE" (euroobligacje lub śmierć; to hasło z Włoch). Przywódcy krajów strefy euro spierają się o uwspólnotowienie długów, które wiele państw zaciągnie, by ratować gospodarkę. Najmocniej za „obligacjami epidemicznymi" są Francja, Hiszpania i Włochy, przeciw Niemcy. Stale rośnie natomiast pomoc Unii dla państw członkowskich; o jej dalszym zwiększeniu mają wkrótce dyskutować unijni przywódcy na szczycie zorganizowanym w trybie zdalnym.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK / za: FAZ, DPA

Dziewięć żyć premiera

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU

Nie ma chyba żadnego innego polityka, który skorzystałby na epidemii tak jak Benjamin Netanjahu. Z premiera Izraela o zrujnowanej reputacji, który w połowie marca miał stanąć przed sądem w procesie korupcyjnym, zmienił się w dzielnego wojownika w starciu z pandemią. Sposób, w jaki używa jej do własnych celów politycznych, wręcz antydemokratycznych – w każdym razie o to oskarżają go przeciwnicy – przynosi owoce. Z sondaży wynika, że gdyby wybory odbyły się teraz, partia premiera otrzymałaby 40 mandatów potrzebnych do rządzenia.

Izrael jako jeden z pierwszych krajów wprowadził ostre ograniczenia w związku z epidemią. W świątecznym miesiącu – pod znakiem Pesach i Wielkanocy – zdecydowana większość społeczeństwa dostosowała się do wytycznych ministerstwa zdrowia i spędziła ten czas w domach. Gdy piszę te słowa, 19 kwietnia, ponad 13,3 tys. Izraelczyków jest zakażonych, ponad 170 zmarło, a ponad 3,5 tys. wróciło do zdrowia. Kraj zaczął właśnie pierwszy etap wychodzenia z kwarantanny. Kolejnym testem będzie Ramadan, islamski miesiąc postu i modlitw – władze zaapelowały do muzułmanów o zachowanie zasad kwarantanny.

Nie tylko epidemia sprzyja premierowi. Polityczne życie niespodziewanie przedłużył mu jego główny rywal Benny Gantz, decydując się na utworzenie razem z Netanjahu rządu jedności. Decyzja ta, którą Gantz tłumaczy wyjątkową sytuacją, w jakiej znalazł się kraj, zaskoczyła nawet jego politycznych partnerów. Gantzowi zarzuca się teraz brak szacunku do siebie i swoich wyborców, polityczną słabość i granie pod dyktat Netanjahu. Trudno się z tym nie zgodzić. Otrzymawszy mandat do utworzenia nowego rządu (przypomnijmy: nie udaje się go sformować od ponad roku, mimo trzecich z rzędu wyborów kraj jest w politycznym pacie), Gantz znalazł się nagle w pozycji, w której za wszelką cenę próbuje przekonać Netanjahu do współpracy.

Walka z koronawirusem trwa też w Palestynie. Na Zachodnim Brzegu wystąpiło ponad 300 przypadków choroby, dwie osoby zmarły. W Gazie zdiagnozowano 13 infekcji, z czego 9 osób wyzdrowiało. W obu miejscach nie ma mowy o wychodzeniu z kwarantanny. Szczególnie w Gazie, od 2007 r. cierpiącej z powodu izraelskiej blokady, możliwości opanowania epidemii są ograniczone. ©

STRINGER / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGE

Pożary w strefie czarnobylskiej

DOTKLIWIE odczuli je mieszkańcy Kijowa, gdzie po otwarciu okna do mieszkania wdzierał się żrący dym. Toksyczna chmura, od kilku dni wisząca nad stolicą Ukrainy, sprawiła, że według firmy IQAir Kijów znalazł się na pierwszym miejscu w rankingu miast świata z najbardziej zanieczyszczonym powietrzem. W piątek 17 kwietnia stężenie groźnych substancji osiągnęło poziom 483 µg/m³ (w Polsce poziom alarmowy wynosi 150 µg/m³). W takich warunkach wyjście na zewnątrz mogło zagrażać życiu. Jakby epidemii było mało, władze musiały dodatkowo apelować o zamknięcie okien.

Trwające od dwóch tygodni pożary w okolicy ruin elektrowni atomowej w Czarnobylu, odległej od Kijowa o 110 km, zostały spowodowane prawdopodobnie wypalaniem traw, choć mowa jest też o celowych podpaleniach. W obwodach kijowskim i żytomierskim spłonęło ponad 5 tys. hektarów lasu, łąk i kilka opuszczonych wiosek. Strażacy (na zdjęciu w okolicy Czarnobyla) zwalczyli już otwarty ogień, ale wciąż tlą się torfowiska.

W polskim internecie pojawiły się ostrzeżenia o rzekomo zbliżającej się chmurze radioaktywnej. Państwowa Agencja Atomistyki zapewniła, że poziom radiacji jest w normie. *Fake news* o apokalipsie ciągnącej z Ukrainy może pochodzić ze źródeł, którym zależy na dezinformacji. Ona też jest szkodliwa.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA z Kijowa

CHATHAM HOUSE / CC 2.0

Saudowie: kolejni krewni za kratami

ZNIKNĘŁA PRZED ROKIEM. Kilka dni temu potwierdziła, że od tego czasu jest więziona. Księżniczka Basma – znana z poparcia dla obyczajowej liberalizacji Arabii Saudyjskiej, ale też lojalna i dotąd tolerowana przez tamtejszy dwór – napisała na Twitterze do swojego wujka, króla Salmana: „Jak zapewne (?) wiesz, jestem przetrzymywana w więzieniu Al-Hair, bez kryminalnych ani żadnych innych zarzutów. Moje zdrowie pogorszyło się tak, że grozi mi śmierć. Nie dostałam odpowiedzi na poprzednie listy, które wysłałam na dwór królewski". Jej wpis został szybko skasowany.

57-letnia Basma (na zdjęciu obok) jest najmłodszą, 57. córką króla Sauda (panował do 1964 r.). Miesiąc temu służby aresztowały też księcia Faisala, syna poprzedniego króla, który nie angażował się w politykę. W ten sposób swoje wpływy umacnia saudyjski następca tronu, książę Mohammed. Wywołany pandemią COVID-19 spadek cen ropy naftowej uderza w jego plany dywersyfikowania dochodów Arabii Saudyjskiej. Teraz nawet krewnym trudniej go krytykować. ©℗ ŻYM

ZBIGNIEW NOSOWSKI

Zranieni w Kościele rekomendują

ANNA GOC: Po roku działania Inicjatywy „Zranieni w Kościele” – telefonu zaufania i środowiska świeckich katolików wspierających osoby dotknięte przemocą seksualną w Kościele, przygotowaliście rekomendacje. Dotyczą m.in. potrzeby zmian w przebiegu procesów karnych kanonicznych. Co zmiany mogą dać skrzywdzonym?

ZBIGNIEW NOSOWSKI: Obecnie w prawie kanonicznym osoby zranione mają status świadka, a nie strony. Nie mają więc choćby dostępu do akt sprawy. Skoro mówimy, że są w Kościele na pierwszym miejscu, powinny otrzymać podmiotowy status w dochodzeniach.

Rekomendujecie powołanie Rzecznika Praw Osób Skrzywdzonych w Kościele. Jaka miałaby być jego rola?

Analogiczna do roli Rzecznika Praw Obywatelskich. Ważne, by tę funkcję pełnili świeccy – najlepiej równolegle kobieta i mężczyzna. Diecezjalni delegaci ds. ochrony dzieci i młodzieży są przez wielu pokrzywdzonych odbierani jako przedstawiciele instytucji.

Zwracacie uwagę, że problem dotyczy nie tylko osób małoletnich, lecz także zależnych od duchownych: sióstr zakonnych czy kleryków.

Oni też do nas dzwonią. Dlatego chcemy pokazać problem w szerszym kontekście. Odebraliśmy np. telefon zakonnicy opowiadającej o grubiańskim seksizmie ze strony biskupa.

Kto będzie głównym adresatem rekomendacji?

Biskupi i przełożeni zakonni oraz przedstawiciele Watykanu odpowiadający za prowadzenie spraw o wykorzystanie seksualne. ©℗

JACEK ŁAGOWSKI / FORUM

ZBIGNIEW NOSOWSKI *jest redaktorem naczelnym kwartalnika „Więź”. Współtwórca Inicjatywy „Zranieni w Kościele”.*

Więcej na stronie **powszech.net/zranieniwkosciele**

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ŻYCIE PO PANDEMII

Franciszek powołał specjalną komisję ds. pandemii. „Musimy przygotować się na życie po koronawirusie” – wyjaśnił kard. Peter Turkson, który został jej przewodniczącym. Zadaniem komisji będzie wypracowanie sposobów niesienia pomocy, szczególnie na terenach dotkniętych ubóstwem i przemocą oraz przygotowanie się do życia w kolejnych kryzysach, jakie nastąpią po COVID-19. Dlatego do jej prac papież zaprosił m.in. wybitnych naukowców.

APEL DO HIERARCHII

„Zapraszam wszystkich biskupów, kardynałów, księży do wyjścia na ulice i pomagania bezdomnym. Czasem też trzeba otworzyć im swoje domy, żeby mogli skorzystać z potrzeb sanitarnych” – zaapelował kard. Konrad Krajewski. Jałmużnik papieski zwrócił się do hierarchów z apelem o „wyjście zza biurek”, ponieważ w dobie pandemii nie wszyscy wolontariusze mogą pomagać – „wielu z nich ma w domach małe dzieci i osoby starsze”.

FUNDACJADOMINIKANEK.PL

SIOSTRY REAGUJĄ

„W moim DPS nie ma już kto pracować. Pracownicy są na kwarantannie. Błagam siostry o pomoc!” – prosił w rozmowie telefonicznej z krakowskimi dominikankami starosta bocheński Adam Korta. W Domu Pomocy Społecznej w Bochni, na oddziale dla osób przewlekle psychicznie chorych tuż przed świętami zdiagnozowano kilkadziesiąt przypadków COVID-19. W odpowiedzi na apel do pracy w DPS zgłosiło się dziesięć zakonnic. Do sióstr dołączył ks. Piotr Dydo-Rożniecki, przebywający chwilowo w Polsce misjonarz z Kazachstanu.

Papież zaleca pensję podstawową

RAFAŁ WOŚ

A może pandemia COVID-19 to „dobry czas na wprowadzenie powszechnej pensji podstawowej”? To fragment z listu Franciszka wysłanego w Wielkanoc do Światowego Spotkania Ruchów Ludowych. Papież pisze, że taka „pensja” może sprawić, by żaden pracownik nie był już dłużej „wyzuty ze swoich praw oraz godności”.

Orędownicy dochodu podstawowego podchwycili słowa Franciszka, widząc w nich kolejny krok do przełamania lęków na temat UBI (*universal basic income*). Przypomnijmy, że od początku kryzysu ekonomicznego wywołanego reakcją na COVID-19 coraz więcej krajów decyduje się na wprowadzenie różnych form dochodu podstawowego. W kwietniu pierwszy „czek stymulacyjny” otrzymali słabiej zarabiający Amerykanie. Wcześniej swoje rozwiązania wprowadziła na poziomie lokalnym Korea Południowa. A rząd Hiszpanii zapowiedział, że dochód podstawowy, który się tam „wkrótce” pojawi, będzie rozwiązaniem permanentnym, nie tylko antykryzysowym jak w USA.

Dotąd wśród wielu zaangażowanych chrześcijan można było usłyszeć, że UBI kłóci się z nauką społeczną Kościoła (m.in. z zawartą w niej afirmacją pracy). Propozycja Franciszka to dobra okazja, by spojrzeć na dochód podstawowy na nowo, bez wcześniejszych uprzedzeń. ©℗

Ruchoma beatyfikacja

PRZEWIDYWANO, że w mającej się odbyć 7 czerwca na placu Piłsudskiego w Warszawie beatyfikacji kard. Stefana Wyszyńskiego weźmie udział kilkaset tysięcy osób. Koronawirus plany pokrzyżował. Według informacji „TP” ostateczna decyzja, kiedy i w jakiej formie uroczystość się odbędzie, zapadnie w porozumieniu z Watykanem na przełomie kwietnia i maja. Najprawdopodobniej beatyfikacja odbędzie się pod koniec czerwca. Przeniesienie jej na jesień spowodowałoby kumulację uroczystości – 17 października zaplanowano w Katowicach beatyfikację ks. Jana Machy.

Zamiast placu Piłsudskiego możliwe są dwie lokalizacje: bazylika archikatedralna św. Jana Chrzciciela, gdzie pochowano Wyszyńskiego, lub też świątynia Opatrzności Bożej, gdzie wedle pierwotnego planu miała dotrzeć procesja po zakończeniu uroczystości 7 czerwca. Ma to zależeć od tego, czy Kościół warszawski zdecyduje się na uroczystość kameralną, czy „półmasową”. © PIOTR LITKA

MONIKA OCHĘDOWSKA

DOMOWY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

NASZYM OCZOM, karmionym od tygodni zimnymi pikselami teatralnych premier, koncertów i twarzy najbliższych, prawdziwą rozkosz przyniesie otwarta wreszcie soczysta zieleń lasów. Odpoczywajmy i korzystajmy z niej do woli – na dobry film wystarczy nie więcej niż pół godziny.

W INTERNETOWEJ „FILMOTECE” (filmpolski.pl) na odkrycie czeka kilkaset etiud wychowanków łódzkiej Szkoły Filmowej. Znajdziemy tu pierwsze, pochodzące jeszcze z lat 50. prace Andrzeja Wajdy i Agnieszki Osieckiej, późniejsze, Andrzeja Barańskiego i Jerzego Skolimowskiego, oraz całkiem nowe: Bronki Nowickiej, Jana Komasy (na zdj. kadr z filmu ***„Fajnie, że jesteś”***) czy Jagody Szelc. Już przeglądanie zasobów „Filmoteki” jest niezłą lekcją kina, bo każdemu z filmów towarzyszy nie streszczenie, a krótki esej wprowadzający w problematykę twórczości artysty.

MATERIAŁY PRASOWE

CZTERY FILMY DOKUMENTALNE pochodzące z pierwszej połowy lat 90. udostępnił w serwisie Vimeo reżyser Paweł Pawlikowski. To m.in. nakręcone dla telewizji BBC (i nagrodzone Emmy oraz Prix Italia) „Z Moskwy do Pietuszek z Wieniediktem Jerofiejewem”, zawierające wywiad z pisarzem, a także zrealizowany dwa lata później dokument „Dostoyevsky’s Travels”. Rosyjski tryptyk uzupełnia gogolowska groteska „Podróż z Żyrinowskim”.

CHWILĘ WYTCHNIENIA, rekompensatę kontaktów towarzyskich, a także poczucie, że „nie jesteśmy w tym wszystkim sami”, przynosi wiersz – przekonują redaktorzy literackiej „czternastodniówki” (czternastodniowka.wordpress.com), czyli internetowego wyboru najnowszej polskiej poezji. Wśród kilkudziesięciu autorek i autorów zaproszonych do projektu są m.in. Wojciech Bonowicz, Marta Eloy Cichocka, Inga Iwasiów, Barbara Klicka, Jakub Kornhauser i Marcin Sendecki.

TYM, KTÓRYM RODZIMA POEZJA nie wystarczy, polecam zieloną podróż ze stroną wierszewmiescie.eu. To „19 wierszy o planecie” napisanych przez autorów z całej Europy, od Austrii po Włochy – nie tylko do czytania, także do słuchania, po polsku i w oryginale. ©℗

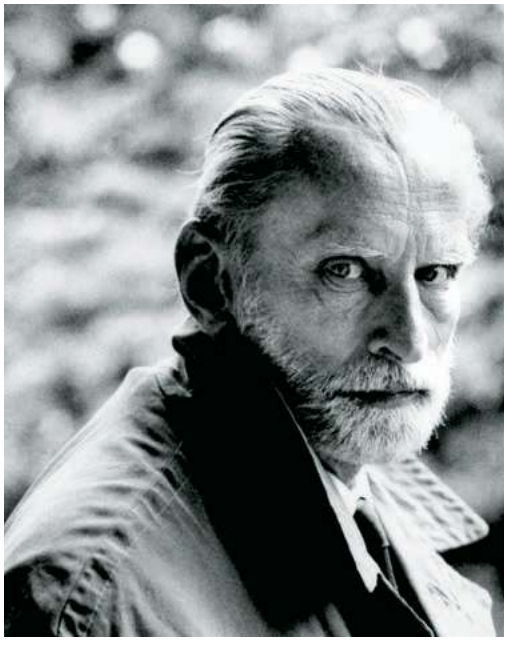

ARCHIWUM WOŹNIAKOWSKICH / FOTONOVA

JACEK WOŹNIAKOWSKI, jedna z najważniejszych postaci naszego środowiska, urodził się sto lat temu. Był pisarzem i tłumaczem, historykiem sztuki, profesorem KUL-u. A także ułanem (starannie przystrzyżona broda kryła bliznę od postrzału z września ’39), żołnierzem AK, redaktorem „Głosu Anglii”, od 1948 r. „TP”, potem miesięcznika „Znak” i przez trzy dekady szefem wydawnictwa Znak. W 1978 r. podpisał deklarację Towarzystwa Kursów Naukowych, w 1990 r. został prezydentem Krakowa. Jego pradziadkiem po mieczu był malarz Henryk Rodakowski, dziadkiem po kądzieli – pionier ochrony przyrody Jan Gwalbert Pawlikowski; może dlatego najważniejszą swoją książkę, „Góry niewzruszone”, poświęcił związkom sztuki i natury. Człowiek wielkiej mądrości, prawości i zdecydowanego sądu, ale też poczucia humoru: zdawał się przewiercać wzrokiem rozmówcę, ale w oczach krył się uśmiech. Zmarł w 2012 r., jego grób znajduje się w Laskach. ©℗ TF

KULTURA W SKRÓCIE

NOWE RADIO
Joannę Kołaczkowską, Wojciecha Manna, Jerzego Sosnowskiego, Wojciecha Waglewskiego oraz wielu innych dziennikarzy i artystów związanych w ostatnich latach z Trójką usłyszymy w radiu Nowy Świat, które powstaje z inicjatywy grupy Ratujmy Trójkę. Projekt można wspomóc za pośrednictwem serwisu Patronite.

PISARZ I REWOLUCJONISTA
W wieku 70 lat w Hiszpanii zmarł chilijski pisarz, filmowiec, więzień dyktatury Pinocheta, Luis Sepúlveda. Był jednym z najczęściej tłumaczonych pisarzy hiszpańskojęzycznych, autorem powieści, opowiadań i książek dla dzieci. Międzynarodowy rozgłos przyniosła mu wydana 30 lat temu powieść „O starym człowieku, co czyta romanse”, ostatnio w polskim przekładzie ukazała się bajka „O ślimaku, który odkrył znaczenie powolności”.

NIE TYLKO DAMA
Na platformie Google Arts&Culture pojawiła się wirtualna prezentacja zbiorów krakowskiego Muzeum Książąt Czartoryskich. Wśród udostępnionych dzieł są m.in. „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem” Rembrandta i portrety Jagiellonów Lucasa Cranacha Młodszego.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

ADAM ROBIŃSKI opowie o naturze widzianej z okna (tekst na stronie 14) Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie Radia Tok FM”, w czwartek 23 kwietnia, o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Świat w kadrze nie zawsze jest nieruchomy

MISJA sond kosmicznych „Voyager" mocno działa na wyobraźnię (jedna z nich oddaliła się już od Ziemi na 18,5 bln km), ale trzymajmy też kciuki za inną, mniej spektakularną ekspedycję. „Polarstern", statek badawczy należący do Instytutu Badań Polarnych i Morskich w Bremerhaven, jest właśnie w połowie podróży przez Arktykę. Cel: zebranie danych o ociepleniu klimatu. Wypłynął z Tromsø we wrześniu; miesiąc później Esther Horvath, fotografka wyprawy, zrobiła zdjęcie ***niedźwiedzi polarnych*** badających na krze sprzęt naukowców. Właśnie nagrodzono je w corocznym, już ***63. konkursie World Press Photo***. Werdykt jury (wśród laureatów jest też polski fotograf Tomek Kaczor) zbiegł się z ogłoszeniem nowych założeń polityki Rosji w Arktyce. Północ ma być głównym zapleczem surowcowym dla gospodarki tego kraju (już teraz odpowiada za 20 proc. eksportu). Od początku rejsu „Polarstern" eskaluje rosyjsko-norweski spór o Svalbard. Moskwa nie chce powiększania tu obszarów chronionych. Nawet w fińskiej Laponii budowa potężnej infrastruktury wydaje się kwestią czasu, choć projekt „autostrady kolejowej" z Rovaniemi do portu w Kirkenes oprotestowali Samowie, rdzenni mieszkańcy. Badacze z Uniwersytetu Kalifornijskiego przewidują, że którejś zimy w latach 2044-67 Ocean Arktyczny będzie pierwszy raz wolny od lodu. Patrząc na zdjęcie Horvath, ponurą zapowiedź zmian, wracają kosmiczne skojarzenia: lądowania na Księżycu, spotkania gatunków-światów, z których teraz już oba są zagrożone.

Esther Horvath, I miejsce w kategorii Środowisko

GAZELE: tak nazwały swoją drużynę ***piłkarki*** ze wsi Gouandé w Beninie, gdzie – podobnie jak w całej zachodniej Afryce – trwa z kolei jedna z największych społecznych transformacji świata. Masowa migracja mężczyzn sprawia, że kobiety, dotąd spełniające tradycyjne kulturowo role matek i gospodyń, zyskują autonomię. Zawodniczki z nagrodzonego zdjęcia Oliviera Papegniesa właśnie przyjechały wynajętym vanem na kolejny mecz. Gazelles są jedną z 16 drużyn utworzonych w Beninie w ramach wspierania równouprawnienia płci. Tylko 15 proc. uczniów w liceum w Gouandé to dziewczyny – sport ma je przekonać do samodzielnych decyzji.

Olivier Papegnies, II miejsce w kategorii Fotoreportaż sportowy

Nikita Terioszyn, I miejsce w kategorii Problemy współczesne

NIC się nie zmienia natomiast w biznesie zbrojeniowym: tu popyt jest wciąż wysoki. ***Targi broni*** w Abu Zabi ze zdjęcia Nikity Terioszyna, również nagrodzonego w World Press Photo, wyglądają sterylnie, estetycznie, jak przeciwieństwo wojen. Tych, według monitoringu Uniwersytetu w Uppsali, toczy się w świecie obecnie ponad 50. Rośnie wartość rynku broni automatycznej, za 6 lat ma wynieść 7,8 mld euro. Klimat, zmiana społeczna i przemoc – czy i jak te trzy trendy spotkają się w przyszłości?

©℗ MARCIN ŻYŁA

TEMAT TYGODNIKA

MIĘDZY NAMI GATUNKAMI

Ile może się wydarzyć między jedną pełnią a drugą, wie ten, kto spędził miesiąc patrząc przez okno.

ADAM ROBIŃSKI

Kiedy premier Mateusz Morawiecki ogłaszał początek narodowej kwarantanny, księżyc był akurat w pełni. Ten marcowy nazywano kiedyś „robaczym" – gdy pojawiał się na niebie, gleba rozmarzała po zimie i zaczynało z niej wypełzać skostniałe jeszcze życie. Dżdżownice, pszczolinki, kowale bezskrzydłe zwane tramwajarzami i reszta chitynowej watahy.

Dawniej każdy księżyc miał swoją nazwę: „wilczy", „kwiatowy", „truskawkowy", „burzowy", „jesiotrowy", „żniwny" i może jeszcze „księżyc umierającej trawy". Nawet jeśli mówienie do księżyca po imieniu wydaje nam się dziś pomysłem z kosmosu, bez trudu przypiszemy te imiona do konkretnych pór roku, zjawisk i czynności.

Jedna z tych kobiet

Wśród rdzennych ludów zamieszkujących region Wielkich Jezior mówi się o ciężarnej kobiecie, która spadła z nieba, by dać początek światu, jaki dziś znamy. Pojawiła się nagle w dziurze w chmurach, od razu zwracając na siebie uwagę pozostałych istot zamieszkujących ciemny ocean.

Jako pierwsze na pomoc rzuciły się gęsi, które siłą własnych skrzydeł wyhamowały jej upadek i usadziły ją na skorupie żółwia. Zwierzęta rozumiały, że kobieta potrzebuje lądu, na którym mogłaby żyć. Kolejno nurkowały na dno oceanu, by zgarnąć z niego trochę mułu,

i jedno za drugim tonęły. Na końcu został już tylko piżmak. Gdy wydawało się, że i on nie da rady pomóc przybyłej, na powierzchni wody ukazało się jego truchło z grudką ziemi w pazurach. Kobieta wysmarowała nią skorupę żółwia. Tak powstała Żółwia Wyspa – jak rdzenni Amerykanie nazwali swój świat.

Dzisiaj można spojrzeć na ten odmienny światoogląd z odrobiną życzliwości. Za sprawą pandemii COVID-19 świat, który znaliśmy, został wzięty w nawias, a nasza perspektywa na wiele spraw uległa zmianie.

„Kosmologie są dla nas źródłem tożsamości i orientacji w świecie. Mówią nam, kim jesteśmy. Głęboko kształtują nasze postępowanie, nieważne jak bardzo bylibyśmy ich nieświadomi" – pisze Robin Wall Kimmerer w książce, której tytuł mógłby się świetnie sprawdzić na polskim rynku, gdyby ktoś zdecydował się ją tu wydać. „Braiding Sweetgrass" to zaplatanie warkoczy z żubrówki. Wall Kimmerer to arcyciekawa postać – pochodząca z plemienia Potawatomi naukowczyni z Uniwersytetu Stanu Nowy Jork, gdzie wykłada biologię. Jednocześnie pisze książki popularnonaukowe, w których łączy dwa pozornie odmienne sposoby patrzenia na świat – ten ściśle naukowy z tradycyjnym, wynikającym z jej korzeni i wierzeń, w jakich wzrastała.

Opowiadając o ciężarnej kobiecie, która spadła z nieba na ziemię, by ramię w ramię z istniejącą już fauną przygotować świat na nasze przyjście, nikogo nie indoktrynuje. Może tylko trochę, gdy – dla kontrastu – opowiada o innej kosmogonii i innej kobiecie, która zerwawszy owoc z pewnego drzewa została przegnana z sielskiego ogrodu: „Jedna z tych kobiet jest naszą przodkinią, współtwórczynią ogrodu, który stał się domem dla jej potomnych. Druga – wygnańcem, który przemierza wrogi sobie świat w oczekiwaniu na powrót do właściwego domu w niebie".

Jest w tym jakaś złośliwość, ale i racja – inaczej patrzy się na świat, który jest darem, inaczej na ten, który jest tylko czymś na kształt poczekalni. Może dlatego najczęściej chyba powtarzanym w książce Wall Kimmerer słowem jest „wdzięczność".

Szerokim łukiem

Dziś, wiosną 2020 r., użyte przez Wall Kimmerer porównanie stało się w niezamierzony przez nią sposób nad wyraz aktualne. W obliczu globalnej epidemii staliśmy się niemal wszyscy więźniami własnych czterech ścian. Wygnańcami ze świata, który jeszcze parę tygodni temu beztrosko przemierzaliśmy, zwykle nie poświęcając mu większej uwagi. Teraz z nosami na kwintę tułamy się po kuchniach, pokojach i łazienkach niczym Francuz Xavier de Maistre. Skazany na półtora miesiąca domowego aresztu, opisał pod koniec XVIII w. wyprawy dookoła swojej sypialni, jakby była Paryżem lub Wenecją.

Jak co roku, wyszliśmy z zimy „odrętwiali i zmaltretowani jak zwierzęta, którym udało się przeżyć". Wyjątkowo celnie ujął to kiedyś Bohdan Czeszko w opowiadaniu „Dąb". Tytułowe drzewo było dla trochę już zapomnianego peerelowskiego pisarza personifikacją wszelkich tęsknot. To są słowa człowieka zdesperowanego, który stojąc w oknie warszawskiego mieszkania marzy, by przytulić się do dębowego pnia gdzieś tam na dalekich Mazurach i położyć ręce na jego chropowatej korze. „Żywiąc absurdalną nadzieję, że przyjmie mą adorację i użyczy mi cząstkę poczynającej krążyć w nim wraz z wiosennymi sokami siły, potrzebnej mi, bo mam jej coraz mniej wobec kamieniejącego świata".

A tak kilka tygodni temu pisał na tych łamach Andrzej Stasiuk: „Czasem wydaje mi się, że można tak spędzić życie: patrząc, jak zmieniają się pory roku i pogody. Jak zmienia się upierzenie ptaków. Jak spada wilgoć i potem unosi się w przestworza, formuje w chmury i znowu opada. To jest naiwna wizja, ↦ ale mnie pociąga. Nie da się jej zrealizować, ale niesie coś w rodzaju pociechy.

NATI HARNIK / AP PHOTO / EAST NEWS

Gęsi na jeziorze Manawa, Iowa, USA.

↦ Bo przecież nigdy nie pozbędziemy się podejrzenia, graniczącego niekiedy z pewnością, że innego świata nie będzie".

Łatwo powiedzieć, gdy mieszka się w niedużej karpackiej dolinie, a komfort dalekiego patrzenia umilają człowiekowi Uherec i Mareszka, zalesione buczyną kopce kipiące o tej porze roku od życia.

Aspekt wiosenny

Uzależnieni od mediów społecznościowych mówią o FOMO – *Fear of Missing Out* to lęk przed tym, że coś nas omija, gdy nie odświeżamy swojego facebookowego murka. FOMO to też dobry akronim, by opisać stan emocjonalny, gdy siedzisz w domu, choć dobrze wiesz, że las już zanosi się trelem z ptasich syrinksów. Że nad rozlewiskami pełno już żurawi, a ich radosny klangor rozdziera tamtejsze wieczorne niebo.

Kiedy wydaje nam się, że wszystko się wali, potrzebujemy takich kotwic. Czegoś stałego i godnego zaufania jak latarnia w ciemności sztormu. Twardego gruntu pod nogami, który – paradoksalnie – może dać nam bagno albo chociaż las. Jak to było w wierszu Czesława Miłosza, tym, który w szkole kazali nam wbijać na blachę? „Dopóki słońce i księżyc są w górze, / Dopóki trzmiel nawiedza różę, / Dopóki dzieci różowe się rodzą". To wszystko wciąż się dzieje, choćby wszystkie telewizory świata grały piosenkę o końcu świata. Trudno, przez jakiś czas musimy brać go na słowo. Odczuwać wdzięczność przez szybkę. W Szuflandii miejskich blokowisk bawić się w Stasiuka i adorować formujące się chmury, bo w przeciwnym wypadku będą to robić niepodziwiane.

W mojej prywatnej kosmogonii pierwszy jest ziarnopłon. To drobny, żółty kwiatek o płatkach jak ramiona wyrzucone w górę w geście dziękczynienia. Jest tego więcej: zawilce, przylaszczki, złocie. Botanicy utkali dla tych paru drobin runa zgrabny i malowniczy zarazem termin – aspekt wiosenny. Są szybkie i korzystają na tym, że w koronach okolicznych drzew jest jeszcze łyso. W maju już ich nie będzie. To właśnie ziarnopłonem kwitnie rokrocznie zagajnik starych dębów i młodych grabów pięć minut od mojego mieszkania. Pojawia się co roku o tej samej porze, zanim wiosna rozkręci się na dobre, by za parę tygodni zniknąć. Całe życie rozpięte między jedną pełnią Księżyca a drugą. Więc najpierw patrzę pod nogi, i potem już wiem, że mogę zacząć zadzierać wzrok i wypatrywać ptaków.

Zwykle ciągną z południowego wschodu, od Wisły. Najpierw widzę je w oknie sypialni, potem klucz znika gdzieś nad dachem, a ja biegnę do kuchni, żeby złapać je z drugiej strony. I doliczyć. Trzydzieści? Czterdzieści? Kiedy ma się na to mało czasu, najlepiej szybko zrachować dziesiątkę, a potem w przybliżeniu nakładać ją na resztę klucza.

Na te gęsi uwzięli się zresztą nie tylko rdzenni Amerykanie. W „Jej wysokość gęś. Opowieści o ptakach" Jacek Karczewski przekonuje: „Żaden inny ptak ani jakiekolwiek stworzenie nie było tak ważne i czczone wśród tak wielu ludów i kultur na całej Ziemi. (...) We wszystkich indoeuropejskich językach słowo gęś ma nie tylko wspólny źródłosłów, ale poza wyjątkami nawet brzmi podobnie". Karczewski twierdzi wręcz, że gęś mogła być pierwszym ptakiem, który jako ludzie zaczęliśmy nazywać. A więc gęś jako praptak. Świat jako prezent od gęsi. Odważne tezy, ale jak dobrze brzmią u zarania jeszcze jednej wiosny na północnej półkuli planety Ziemia.

My, ofiary solastalgii

Na niżu prawie cały ciężar tej pory roku spoczywa na wątłych ptasich skrzydłach. To one niosą słońce i wydłużają dzień, jakby do lotek przytwierdzone miały niewidzialne nici. Co powstanie z połączenia hasztagów #birdwatching i #zostańwdomu? Lornetka już dawno nie była w plecaku. Leży na parapecie i pod byle pretekstem wędruje do oczu. Dachy domów to królestwo srok, wron i gołębi. W sośnie każdego ranka wariuje para sierpówek. Hen, nad koronami drzew w dole wiślanej skarpy krąży myszołów. Ale on był tu akurat przez całą zimę.

Nie czuję się ptasiarzem z krwi i kości (o tym, jak sobie radzą uwięzieni w czterech ścianach wielbiciele obserwowania ptaków, pisze też w tym numerze, na łamach działu Kraj, znakomity *birdwatcher*

IZABELA PIGAN, LEŚNICZKA, NADLEŚNICTWO BIELSKO:

Na początku kwarantanny zauważyliśmy coś dziwnego w zachowaniu zwierząt: wyglądały na spłoszone. Okazało się, że powodowali to ludzie, którzy wtedy, licząc na brak towarzystwa innych, szli wieczorem do lasu.
Niespełna dwa tygodnie temu wprowadzono zakaz wstępu do lasu. Rozmawiałam z leśniczymi. Są różne obserwacje. Np. w Dolinie Wapienicy jelenie wychodzą na nadrzeczne łąki już ok. piętnastej, zachęcone ciszą, spokojem i nieobecnością ludzi. Ale wyżej w górach, w okolicy Szczyrku, zmiany są już mniej zauważalne. Łanie czy byki widuje się z podobną częstotliwością jak dawniej. Myślę, że zwierzęta pojawiły się przede wszystkim w rejonach, które przed kwarantanną były najbardziej eksploatowane turystycznie.

TOMASZ BAŁDYGA, FOTOGRAF PRZYRODY, OKOLICE OLSZTYNA:

Kończą się powroty ptaków z zimowisk. Jelenie zrzuciły poroża i nakładają nowe. To czas narodzin – wkrótce zaczną się pojawiać młode lisy, borsuki i sarny. Martwi mnie susza. Tam, gdzie kiedyś stała woda, są puste zagłębienia. Niedawno szukałem miejsca, żeby sfotografować żabę moczarową – teraz, w porze godowej, jej samce spektakularnie zmieniają ubarwienie na niebieskie. Bez skutku. Coraz mniej jest okolic, gdzie płazy mogą złożyć skrzek. Wody brakuje, a człowiek wciąż walczy z bobrami, które ją zatrzymują. Niszczy ich tamy i żeremia. Likwiduje oczka i remizy śródpolne, jeszcze bardziej osusza teren.
Są plusy ludzkiej kwarantanny. Ograniczony ruch sprawia, że mniej zwierząt ginie pod kołami samochodów. A w maju myśliwi dewizowi nie przyjadą polować na rogacze.

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI, autor tekstu na s. 32, będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 8 kwietnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM Siedlce 103,4 FM | oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

ARCHIWUM PRYWATNE X 2 // PAWEŁ ŻMUDA // JACEK TARAN DLA „TP"

Stanisław Łubieński), więc w ramach dopingu w telefonie mam aplikację NaturaList. Daje mi wgląd w trochę więcej okien i cudzych spacerów. Codziennie wertuję listę przyrodniczych obserwacji z mojego sąsiedztwa. Z dnia na dzień lista robi się coraz dłuższa. 30 marca: błotniak stawowy, kos, sroka, zięba, modraszka, bogatka, kowalik, gil, wrona, szpak, krzyżówka, strzyżyk, dzięcioł duży, pierwiosnek, rudzik, czapla, pokrzywnica i pustułka. Ta ostatnia wraca dzień w dzień.

Patrzę na wirtualną mapę, na którą naniesiono obserwacje. Chyba wiem, o który zagajnik chodzi. Białorzytka, bocian biały, kormoran, żuraw, kszyk, pliszka, potrzos, czajka, krwawodziób, bielik. I wreszcie coś, co rozemocjonowany, drżącymi dłońmi sam dopisuję do tej listy: czarny bocian szybujący nad dachami mojego osiedla. Wiedziałem, że jesteśmy sąsiadami, ale nigdy wcześniej nie widziałem go na własne oczy. Dobrze, że już wrócił z Afryki. Nie, na ulicach wcale nie jest pusto.

Ekolodzy lubią mówić o „usługach ekosystemowych". Nazywają tym terminem wkład, jaki przyroda nieświadomie wnosi w dobrostan człowieka. Chodzi o produkcję żywności, oczyszczanie powietrza, regulację klimatu i wszystkie te rzeczy, które lubimy przeliczać na pieniądze (i pewnie dlatego nazywamy usługami, choć sami nie płacimy za nie ani grosza). Zwykle zresztą bierzemy je za pewnik. Zażyłość między człowiekiem a naturą ujawnia się dopiero w sytuacji utraty.

Filozof Glenn Albrecht ukuł na tę potrzebę jeszcze jeden termin. „Solastalgia" – to tęsknota za domem odczuwana z perspektywy własnego łóżka, bo nie jest on już tym, do czego przywykliśmy. Na solastalgię cierpią mieszkańcy terenów zdewastowanych przez górnictwo odkrywkowe albo sąsiedzi rzeki, która zniknęła.

Pod brzeźnym księżycem

Coraz częściej brakuje nam słów, które opisałyby nasz zagmatwany stosunek do świata pozaludzkiego. Wymyślenie tej relacji na nowo to jedno z największych wyzwań. Równie istotne jak zatrzymanie węgla pod ziemią, rozprawienie się z plastikiem czy składowanie odpadów atomowych bez szkody dla kolejnych pokoleń.

„Uporanie się z tym wielkim cywilizacyjnym wyzwaniem wymaga od nas wszystkich przekraczania granic. A jeśli język wyznacza granice świata, w którym żyjemy, to literatura staje się działalnością niemalże pierwszofrontową w walce o naszą przyszłość" – brzmi fragment manifestu powstałej przy warszawskim Instytucie Reportażu Szkoły Ekopoetyki.

Ale może jest tak, jak chce Wall Kimmerer: nie trzeba niczego wymyślać. Jeśli człowiek pojawił się na tej planecie jako ostatni, to wcale nie jest koroną jej stworzenia, lecz jedynie żółtodziobem. Uczniakiem. Więc może zamiast czynić coś na swoje podobieństwo, powinniśmy brać przykład z innych. A co, gdyby minister albo premier, zamykając nas w domach, powiedzieli: „Bądźmy jak dęby"? Kiedy w żołędzie owocuje jeden, robią to wszystkie w okolicy. Albo na odwrót, wszystkie się wstrzymują. Nie ma wśród nich solistów. Są za to lata żołędnej posuchy i urodzaju. Nie wieczny wzrost i rozwój, ale życie w cyklu. Drzewa działają jak kolektyw, bo tylko tak mogą zapewnić byt kolejnym liściastym pokoleniom. W przeciwnym wypadku dawno zostałyby zjedzone przez czworonożnych koneserów leśnego runa. Tak, w domowej kwarantannie jestem dębem w roku nieurodzaju.

W pierwszej kwadrze kolejnego Księżyca stoję w oknie i pielęgnuję swój animizm. Zachwyt tym, co widzę. Wroną, która z uporem maniaczki znosi liche badyle w koronę świerka. Kosem, który wydziobuje spod ziemi różowe spaghetti z dżdżownic. Mewami śmieszkami, które swoim harmidrem przenoszą mnie w inne, nadmorskie pejzaże. Czarnopiórą hajstrą, która gdzieś tam, kilometr czy dwa ode mnie, remontuje wiekowe już gniazdo. Brzozami, które w tych dniach z siłą górskiego potoku pompują w górę pni soki, przecząc prawu grawitacji.

Rano, gdy pozostali mieszkańcy Szuflandii odbywają swoje zawodowe i szkolne telekonferencje, wychodzę przed blok z butelką i igelitową rurką. Mamy tam skromne arboretum: dwa buki, dwa klony, sosnę i brzózkę, które zacieniają nieduży plac zabaw. Wszystkie są młodsze ode mnie. Dekady temu z okna dziecięcego pokoju obserwowałem, jak stawiają pierwsze kroki w meandrach fotosyntezy. W miejscu, gdzie mieszkam dziś, był wówczas tylko plac budowy i chaszcze.

Podchodzę do brzozy, kucam, a potem szepcząc parę czułych słów, małym ↦

PAWEŁ ŻMUDA, WOLONTARIUSZ BŁĘKITNEGO PATROLU WWF, SŁOWIŃSKI PARK NARODOWY:

Na brzeg wychodzi więcej młodych fok. Wiązałbym to z ograniczeniem liczby ludzi na plażach. Zwierzęta są rzadziej płoszone. Od początku roku na całym wybrzeżu interweniowaliśmy ponad sto razy, codziennie odnajdywanych jest kilka foczych szczeniąt. Wiosną panuje sztormowa pogoda. Młode zwierzęta, zmęczone i niewprawione w zdobywaniu pożywienia, chcą odpocząć na brzegu. Te najsłabsze, a było już ponad 50 maluchów, przekazujemy do fokarium Stacji Morskiej Uniwersytetu Gdańskiego w Helu, gdzie są poddawane rekonwalescencji i – gdy nabiorą sił – wypuszczane do morza.
Patroluję odcinek plaży w okolicy Łeby, ale przypuszczam, że u ujścia Wisły, na słynnej Foczej Łasze, gdzie zwykle na piasku odpoczywa kilkadziesiąt dorosłych fok, zwierzęta czują się śmielej – obok przepływa mniej kutrów.

ŁUKASZ ŁUCZAJ, ETNOBOTANIK, POGÓRZE DYNOWSKIE:

Tu, gdzie mieszkam, dzicz jest zawsze. Główna różnica, jaką widzę, dotyczy nieba – nie ma na nim samolotów. Powietrze jest czystsze, bardziej niebieskie. To Ziemia sama się o siebie upomina, prosi, żeby inaczej funkcjonować. Ograniczenie transportu, spalania paliw i nacisk na lokalność to dobre strony kwarantanny.
W mojej małej wsi zmieniło się niewiele. Jest czas sadzenia ziemniaków, słyszę traktory. Tutaj prawie każdy ma kawałek lasu i własną studnię, nie martwimy się o siebie. Początek zimy był suchy, ale w marcu spadło dwa razy więcej deszczu niż zwykle. Jeśli do połowy maja popada, nie będzie źle. Ale wiem, że na nizinach, gdzie gleba jest piaszczysta, grozi susza.

↦ dłutem wwiercam się w spękania jej kory. Nie czuję się specem od zbierania oskoły, zwykle spijałem ją kroplami prosto z pnia przy okazji wiosennych spacerów, ale teraz chcę podejść do sprawy na poważnie. Jak mieszkańcy tych wsi, które widziałem przy ukraińsko-polskiej granicy. Tam, gdzie kwietniowy księżyc wciąż nazywa się brzeźnym, a każdej brzozie towarzyszy z wolna napełniający się baniak. Pełnia brzeźnego księżyca to na ogół ostatni gwizdek na zlewanie oskoły. Potem drzewo puści liście, zazieleni się, i – jak mówią puryści – skończy się przedwiośnie, a zacznie pierwiośnie.

Ćwiczenia z zachwytu

Nie trzeba mieć w żyłach indiańskiej krwi, by poczuć wdzięczność dla konkretnej rośliny, której sok pije się zamiast porannej kawy. Tym bardziej, gdy wciąż widzi się ją w oknie. To jak jedzenie czereśni prosto z drzewa lub patrzenie w oczy komuś, kto dał ci prezent. Albo obserwowanie co roku tej samej pary sierpówek w tej samej sośnie.

Robi się jakoś raźniej na duszy. Bo choć jest się skazanym na chwilowe zamknięcie w czterech ścianach, to jednak świat czyni swoje. To się chyba nazywa wspólnotą. Solidarnością międzygatunkową. „Zostań w domu, Bieszczady poczekają" – czytam pod zdjęciem pustej Tarnicy na instagramie parku narodowego. Wiosna nie tyle poczeka, co po prostu wróci. Dżdżownice znów zajrzą w oblicze Robaczego Księżyca, ziarnopłon wypchnie swe płatki w geście dziękczynienia, a gęsi jeszcze raz przyniosą słońce.

Żyjemy w historiach, które sami sobie opowiadamy. Snujemy narracje, których wyznawcami się potem stajemy. Jeśli po otrząśnięciu się z pandemii zaczniemy mówić o roku 2020 jako „roku bez wiosny", będzie to znaczyło, że w czasie tej przymusowej izolacji nieuważnie zerkaliśmy przez okno. A może nie patrzyliśmy wcale? Tak czy inaczej, w tym czasie wiosna miała się świetnie. Może więc zamiast narzekać, lepiej któregoś dnia – na progu lata pod Truskawkowym Księżycem? – wybrać się do znajomego drzewa, a potem położyć ręce na jego chropowatej korze. Przyjmie tę adorację. Bezcenne ćwiczenie z zachwytu w czasach zarazy na pewno się nie zmarnuje.

© ADAM ROBIŃSKI

GRIGORIY LUKYANOV / STOCK.ADOBE.COM

Co widziała krowa

MAŁGORZATA PRACZYK, HISTORYCZKA ŚRODOWISKOWA:

Obudziliśmy się w świecie, gdzie oddychanie tym samym powietrzem, którym oddychają inni ludzie, może być zagrożeniem. A przecież las może pełnić funkcję ochronną.

ADAM ROBIŃSKI: Znajomy natknął się wczoraj na parkingu warszawskiego supermarketu na kapliczkę z napisem: „Na podziękowanie Bogu, że nas przy życiu zachował wśród grasującej cholery w miesiącu sierpniu 1852". Niespodziewanie w 2020 r. przypomnieliśmy sobie o epidemiach jako istotnym składniku naszej historii.

MAŁGORZATA PRACZYK: Ale epidemie nigdy nie były czymś normalnym i kapliczka, o której pan mówi, jest tego najlepszym dowodem. Tyle że 160 lat temu czy w średniowieczu groźnych epidemii było więcej i zupełnie inaczej interpretowano tego typu zjawiska. Przede wszystkim w kategoriach religijnych i magicznych. Dziś mamy do dyspozycji cały repertuar racjonalnych, naukowych narzędzi. Paradoksalnie jednak dotarliśmy do takiego cywilizacyjnego momentu, w którym epidemii nie uznawaliśmy za coś, co mogłoby się nam przydarzyć.

Dlaczego?

Bo postęp cywilizacyjny doprowadził nas do sytuacji, w której zaczęliśmy traktować przyrodę, jakby zupełnie nas nie dotyczyła. W przeszłości człowiek w naszej części świata był o wiele bardziej zależny od środowiska naturalnego. Choćby znane nam obecnie zanieczyszczenie wód miało kiedyś znacznie bardziej bezpośredni wpływ na nasze życie codzienne. Dziś nie z takimi rzeczami sobie radzimy. A potem przychodzi epidemia i okazuje się, że są jeszcze sprawy poza naszą kontrolą. Pojawia się wirus i uświadamia nam, że natura jest wciąż wobec nas bardzo sprawcza.

W latach 1500–1750 Kraków miał aż 92 lata epidemiczne, które pochłaniały co roku tysiące ofiar. Warszawa niewiele mniej.

Pojawiające się wówczas epidemie sprzężone były często z innymi tragicznymi wydarzeniami w historii tych miast, zbierały dramatyczne żniwo

na równi z głodem czy wojnami. Zresztą epidemie innych chorób, np. grypy, są we współczesnym świecie czymś powszechnym i specjalnie się nimi nie przejmujemy. Epidemie, które zapisywały się w świadomości w sposób trwały i dramatyczny, zdarzały się rzadziej. Raz na jakiś czas przychodziła taka, o której pamiętamy do dziś. Ta, której świadkami się staliśmy, też jest wyjątkowa, bo globalna.

W tradycyjnym, szkolnym pojmowaniu epidemie to jednak tylko sporadyczne dźwięki tła historii.

I tu wchodzi do gry historia środo-wiskowa jako dziedzina nauki, która bardzo mocno akcentuje te problemy. Pierwsze prace powstające w tym nurcie dotyczyły skutków migracji i podboju Ameryki m.in. właśnie w kontekście międzykontynentalnej wymiany wirusów i bakterii. Migracjom ludzi towarzyszyły migracje innych organizmów. Zaczęto zauważać, że biologia ma wymiar historyczny. W Polsce badania nad historią środowiskową prowadzone są na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, na Uniwersytecie Jagiellońskim czy na Uniwersytecie w Białymstoku.

Ale początki historii środowiskowej to lata 60. ubiegłego wieku. Dlaczego wcześniej brakowało tej refleksji?

Bo historia jest w ogóle młodą, XIX-wieczną dziedziną nauki. Powstała jako historia polityczna: wyliczanka dat, wojen, zwycięstw i klęsk. Na początku w ogóle nie dostrzegano innych wymiarów historii, poza politycznym. To była Historia pisana wielką literą przez państwa narodowe.

Dopiero po I wojnie światowej uświadomiono sobie, że ten sposób mówienia o przeszłości zaciera jej obraz. Za tym myśleniem poszły rozważania o życiu prywatnym, codziennym, o emocjach. Pojawiła się historia społeczna, ale również refleksja nad rolą przyrody i krajobrazu. Tylko że wówczas te ostatnie traktowano jako coś niezmiennego. Stały zbiór czynników, w którym funkcjonują ludzie.

Niczym Alpy na drodze armii Hannibala.

Właśnie, da się je pokonać. Do wniosku, że natura jest bardzo dynamiczna i sprawcza, historycy i historyczki doszli dopiero w latach 60. Zaczęto wówczas analizować wzajemne relacje między środowiskiem naturalnym a społeczeństwami, skutki ludzkiego oddziaływania na przyrodę.

Skala zaangażowania przyrody w postęp cywilizacyjny czy w wojny była gigantyczna. Wciąż niewystarczająco sobie to uświadamiamy. Dopiero niedawno zaczęliśmy mówić np. o udomowionych zwierzętach nie tylko jako o sile roboczej. Powoli dochodzimy do momentu, w którym możemy spojrzeć na chronologię dziejów świata choćby z punktu widzenia krowy. Przełomowym wydarzeniem w życiu tego zwierzęcia będzie technicyzacja wsi, bo z nią wiąże się wprowadzenie do użytku mechanicznych dojarek czy radykalne ograniczenie wypasu bydła na pastwiskach. Koniec zimnej wojny, tak ważny z punktu widzenia dziejów ludzi, dla tych zwierząt jest za to nieistotny.

Ale po co mamy patrzeć na historię z punktu widzenia krowy?

Ponieważ rozpatrywanie przeszłości z różnych punktów widzenia, także zwierzęcych, wzbogaca nasze rozumienie przeszłości oraz naszej roli w dziejach innych nie-ludzkich podmiotów. Poza tym, jeśli sobie nie uświadomimy, że losy ludzi i zwierząt oraz przyrody były bardzo długo silnie ze sobą związane, to nasz obraz przeszłości będzie wypaczony. Życie ludzi jeszcze do połowy XX wieku koncentrowało się w dużej mierze wokół przyrody, a wymiarów tej relacji było multum. W niektórych miejscach świata nadal zresztą tak jest.

Przyroda była dla ludzi tym, czym dziś jest technologia?

To bardzo dobra analogia. I to właśnie nasze poleganie na technologii spowodowało, że tak się od natury oddaliliśmy. I kiedy pojawia się pandemia albo wielka powódź, jesteśmy zagubieni. Jeśli więc nie będziemy się zastanawiać, jak z podobnymi problemami radzono sobie w przeszłości, to nie będziemy potrafili ich rozwiązać współcześnie. Dobrze byłoby, gdybyśmy sobie przypomnieli, że mimo postępu technologicznego przyroda jest ciągle elementem naszego życia, tyle że oddziałującym na nas przede wszystkim już na innym poziomie – globalnym, pod postacią zmian klimatycznych czy właśnie przytrafiającej się nam epidemii.

W „Ekobiografii Krakowa", której jest Pani współautorką, przeczytałem, że większość problemów środowiskowych współczesnego Krakowa spowodowana jest tym, że miasto założono w fatalnym miejscu. Mieszkańcy wciąż ponoszą konsekwencje błędnych decyzji sprzed wieków.

To szokujące, prawda? Dziś wydaje się nam, że niezależnie od tego, gdzie się osiedlimy, choćby i na pustyni, będziemy mogli normalnie funkcjonować.

Dubaj niejako potwierdza tę tezę...

Ale tylko na krótką metę. Koszt ekologiczny tego przedsięwzięcia jest ogromny. Albo Brasília... Da się postawić miasto od zera w środku „niczego", ale szybko okaże się, że skala jego oddziaływania na otoczenie jest gigantyczna. Zmienia cały region. Miasto trzeba zasilić w wodę, w żywność, w surowce. Żeby tak się stało, trzeba je skądś zabrać i dostarczyć.

We wspomnianej książce na jeszcze jeden sposób rozprawia się Pani z Krakowem, pisząc o fałszywym micie miasta ogrodu. Liczby mówią, że to jedno z najmniej zielonych miast w Polsce. Łódź jest cztery razy bardziej zalesiona niż Kraków.

Bo z jednej strony istnieją problemy, które da się opisać poprzez dane liczbowe czy fakty, a z drugiej jest jeszcze przebogata sfera ludzkich wyobrażeń o przyrodzie. Myślenie o Krakowie jako o zielonym mieście działa trochę jak placebo. Wtedy smog staje się romantyczną mgiełką, która buduje klimat tego miejsca.

Odwieczny zapach zimy.

A niezależnie od tego, jak wygląda rzeczywistość, to właśnie sfera wyobrażona jest kluczowa dla podejmowanych przez nas decyzji. To na niej zwykle polegamy, kiedy decydujemy się na działanie lub jego brak. Nie inaczej jest w przypadku przyrody.

Kolonizatorzy, którzy podbijali Amerykę, wychodzili z założenia, że to, co zastali na miejscu, to dzika, pierwotna natura. Tymczasem ona była już wcześniej intensywnie przekształcana przez rdzennych Amerykanów. Współcześnie tworząc parki narodowe czy rezerwaty też często odwołujemy się do mitu dzikości, ↦

↦ dziewiczości. To jest znowu myślenie o przyrodzie jako o czymś, co funkcjonuje niezmiennie od tysięcy lat. Nic bardziej mylnego – przyroda i jej relacje z ludźmi charakteryzują się niezwykłą dynamiką.

Wydaje się statyczna. Jak to się mówi: „w równowadze".

To, co wydaje nam się dziewicze czy też interesujące z ekologicznego punktu widzenia, to nieraz skutek intensywnych relacji na linii człowiek–przyroda. Żyjemy bowiem, jak mówi historyk Adam Izdebski, w „systemach przyrodniczo-społecznych". Choćby Park Narodowy „Ujście Warty" koło Kostrzyna nad Odrą. To, że dziś jest to krajobraz pełen polderów i „raj dzikiego ptactwa", jest spowodowane przemianami, które zaszły w państwie pruskim w XVIII wieku. Nasze wyobrażenia o dzikości są wciąż bardzo naiwne.

Dzikość to w końcu wytwór kultury, a nie natury.

I to jest problem, przed którym stoją współcześnie wszyscy badacze i badaczki środowiska. Nie da się bowiem jasno stwierdzić, co jest kulturą, a co naturą. Przecież my, jako *homo sapiens*, jesteśmy dziełem natury. Dlaczego więc nasze wytwory mają być kulturą, a termitiery już nie? Wymyśliliśmy naturę jako coś zewnętrznego wobec nas samych, żeby się wydzielić z reszty świata i odróżnić.

W jednej ze swoich książek, „Pamięć środowiskowa we wspomnieniach osadników na Ziemiach Odzyskanych", przytacza Pani czyjeś wspomnienia dotyczące wilków. Wilki w lesie to coś naturalnego, wilk pod płotem gospodarstwa to aberracja, przekroczenie granicy między dwoma światami. Intruz.

Interesujące jest też to, jak ta rzekoma granica przebiega. Bo przecież przykładowej krowie, o której już mówiliśmy, bliżej do kultury niż natury. Tak samo psu, który jest nieodłączną składową wiejskiej codzienności. Opozycja między kulturą a naturą wcale więc nie przebiega pomiędzy człowiekiem i jego domem a wszystkimi innymi gatunkami zwierząt, tylko pomiędzy tym, co okiełznane, a tym, co nieokiełznane.

A pies i wilk?

Trudno mówić, że pies jest taką samą naturą jak wilk. Pies ma imię, człowiek się z nim często przyjaźni i współpracuje. A wilk? Ten przykład świetnie pokazuje, jak nieostre są te pojęcia i jak wytyczanie granicy między kulturą a naturą jest kulturową praktyką podlegającą historycznym zmianom. Mało tego, podziały te mogą przebiegać różnie w różnych częściach świata. Do niedawna też kobiety zawieszone były w specyficznej próżni, w której nie posiadały pełni praw, długo zarezerwowanych tylko dla mężczyzn. Nie wspominając już o dzieciach.

Teraz ludzie licytują się na wdzięczność światu
i deklarują chęć zmiany postępowania po wygaszeniu epidemii.

W tym kontekście fascynujące jest rozszerzanie katalogu podmiotów prawa na coraz więcej nie-ludzkich istnień. Rok temu amerykańskie jezioro Erie zyskało osobowość prawną. Parę lat wcześniej Indie uznały wszystkie walenie za pozaludzkie osoby, którym należą się konkretne prawa. Przykładów jest więcej.

No tak, ale ten czy inny element natury staje się podmiotem prawa nie sam z siebie, tylko dlatego, że w jakiś sposób służy człowiekowi, albo uważany jest przez człowieka za wartościowy. Proszę zwrócić uwagę, że nie upodmiotawiamy wszystkich gatunków, tylko te, które wydają nam się...

Inteligentne.

Bliższe człowiekowi. Chronimy walenie, o których wiemy, że potrafią się porozumiewać, ale już nie gryzonie czy osy. Te ostatnie mają zupełnie inny status, są wręcz podzwierzętami wśród zwierząt. Mówiąc o zwierzętach, często upraszczamy, mając na myśli pewną zbiorowość. Tymczasem ona jest bardzo zróżnicowana. A my powinniśmy się zastanowić, co wyznacza granice naszej empatii. Najwyraźniej sięga ona tam, gdzie widzimy jeszcze coś na swoje podobieństwo. Dopóki mamy do czynienia z gatunkami, o których potrafimy pomyśleć, że odczuwają emocje, albo których inteligencję dostrzegamy, jesteśmy w stanie im współczuć.

Z drugiej strony należy zapytać, na ile nasze wstawianie się za przyrodą jest dla nas po prostu użyteczne. Dostrzegamy, że brak ochrony w dłuższym trwaniu spowoduje katastrofę, więc działamy. To na pewno. Nie da się jednak zaprzeczyć, że w ostatnich dekadach rośnie w nas coś na kształt bezinteresownej wrażliwości na losy świata. Wraz ze wzrostem świadomości naszego wpływu na planetę, naszego udziału w zmianach klimatycznych, powoli uwrażliwiamy się na inne byty.

Wrócę jeszcze na chwilę do Pani pracy o migracjach na Ziemie Odzyskane. Wyróżniła w niej Pani aż dwanaście funkcji, jakie może pełnić wobec człowieka przyroda. Wśród nich są zagrożenia, uciążliwości, użyteczności czy przyjemności.

Ta liczba jest oczywiście umowna. W świecie, który opisałam, udało mi się wyróżnić ich tyle. Nasz obecny stosunek do przyrody każe nam widzieć przede wszystkim te dwie funkcje: użytkową lub rekreacyjną, związaną z przyjemnością. Często są one jednak znacznie bardziej wielowymiarowe. Im dłużej zagłębiałam się w pamiętniki przesiedleńców, tym wyraźniej widziałam, że tych relacji nie da się opisać kilkoma słowami.

A dziś niespodziewanie przypominamy sobie o jeszcze jednej istotnej funkcji – przyroda stała się schronieniem. Idziemy do lasu, bo tam trudniej złapać koronawirusa. Albo chcielibyśmy tam pójść, ale nam zabraniają.

Nagle obudziliśmy się w świecie, gdzie wyjście na spacer czy oddychanie tym samym powietrzem, którym oddychają inni ludzie, może być zagrożeniem! Równocześnie las mógłby, gdyby nie zakazy, pełnić funkcję ochronną. Podobnie byłoby pewnie, gdybyśmy nagle znaleźli się w centrum konwencjonalnej wojny. Bo to, jak bardzo jesteśmy od przyrody zależni, ujawnia się zwykle w czasach kryzysów.

Trudno nie mówić o tej epidemii, nie umieszczając jej w kontekście kryzysu klimatycznego, wymierania

gatunków, degradacji ekosystemów. Choć szukanie powiązań może być w tym przypadku tylko częściowo uprawnione – globalny świat pozwolił wirusowi na szybką ekspansję – to czy nie sądzi Pani, że być może obserwujemy właśnie przedsmak tego, co czeka nas w kolejnych dekadach?

Epidemia jest wydarzeniem ze skutkiem natychmiastowym. Tymczasem, gdy mówimy o zmianach klimatu, brakuje tego przełożenia. W niektórych miejscach jest ono widoczne już teraz, w innych jeszcze nie. Epidemia zaś spada jak grom z jasnego nieba.

A potem mija?

Właśnie. I czy cokolwiek zmienia? Paradoksalnie uważam, że w podejściu do środowiska naturalnego zmienić nas może raczej to, czego skutków nie odczuwamy od razu. To, co nad nami wisi i o sobie regularnie przypomina, jak zmiany klimatyczne, które obserwujemy w długiej skali czasowej, choć ich skutki bywają też punktowe. Historia uczy, że z epidemiami jest zwykle tak samo: przychodzą, zbierają swoje żniwo, a potem się kończą. Dlatego z pewnym dystansem obserwuję dyskusje w mediach społecznościowych, gdzie ludzie licytują się na wdzięczność względem świata i deklarują chęć zmiany swojego postępowania po wygaszeniu epidemii.

Jak postanowienia noworoczne.

Jasne, koronawirus z pewnością zmieni naszą gospodarkę i politykę. Być może wpłynie też na zmianę społeczną. Jej skutki w tych wymiarach mogą być odczuwalne przez lata i nie sposób ich w tej chwili przewidzieć, ale trudno chyba oczekiwać, by epidemia zmieniła ludzkie podejście do przyrody. Nie spodziewam się tu głębszej zmiany. Co innego kryzys klimatyczny. On będzie do nas wracał i wracał, przypominał o sobie przez nadchodzące dekady. To tu widzę szansę na zrodzenie się trwałej zmiany w nas samych.

Zażyłość ujawnia się zwykle w momencie utraty. Filozof Glenn Albrecht mówi o solastalgii – fizycznym i psychicznym bólu związanym z utratą domu bez ruszania się z własnego łóżka. Być może wszyscy staliśmy się w ostatnim czasie nosicielami solastalgii? Uświadomiliśmy sobie, jaka beztroska była naszą dotychczasową codziennością.

Ale Albrecht opisał wspomniane przez pana uczucie nowym słowem, mając na myśli właśnie przemiany klimatyczne. Solastalgia dotyczy więc obserwacji długofalowych środowiskowych skutków naszych działań, a historia środowiskowa bada właśnie m.in. historię takich przemian. Zajmuje się wzajemnymi zależnościami między ludźmi a środowiskiem, w którym żyjemy, i pozwala pomyśleć o człowieku jako o składowej tego środowiska.

Uwrażliwienie się na środowisko oznacza jednak także uwrażliwienie na człowieka, każdego człowieka, i daje możliwość spojrzenia na nas samych jako na wrażliwe podmioty tego, co dzieje się wewnątrz środowiska.

Dostrzeżemy wówczas, że nasze działania nie są neutralne, podobnie jak działania wszystkich innych środowiskowych podmiotów, i wszystkie te działania opierają się na zasadzie sprzężeń zwrotnych. Jeżeli zmienimy perspektywę z zewnętrznej wobec świata przyrody na wewnętrzną, w której jesteśmy jedną z części tego wspólnego świata, być może nasze relacje ze środowiskiem przestaną się wreszcie charakteryzować taką skalą przemocy.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

ADRIAN WYKROTA

MAŁGORZATA PRACZYK *jest historyczką. Profesorka Wydziału Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zajmuje się m.in. historią środowiskową, studiami nad pamięcią oraz studiami postkolonialnymi.*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Kłótnia braci

W znanym midraszu sprzed dwóch tysięcy lat (*Bereszit Rabba*) komentowano na trzy różne sposoby jedno zdanie z opowieści o śmierci Abla. „Potem rzekł Kain do brata swego Abla: Wyjdźmy na pole!". Tam się spotkali i tam wdali w spór zakończony zabójstwem. „O co się mogli kłócić? Podzielmy świat, powiedzieli sobie. Jeden weźmie ziemię, a drugi wszystko, co jest ruchome. Wtedy jeden rzekł: stoisz na ziemi, która jest moja, a drugi odrzekł: to, co masz na sobie, jest moje. Jeden odrzekł: zdejmij to, drugi odpowiedział: odfruń". Inni rabini nauczali: „Obaj wzięli ziemię i to, co ruchome. To o co się kłócili? Jeden rzekł: Na tym miejscu, gdzie złożyłem ofiarę, stanie Świątynia, a drugi odparł: Nie, na moim". Trzecie wyjaśnienie wymaga już więcej wyobraźni. „Jehuda ben Rabi powiedział: Spierali się o pierwszą Ewę. Pierwsza zamieniła się w proch ziemi. Na co dodał rabin Huna: Z Ablem urodziła się bliźniaczka. Jeden rzekł: Będzie moja. Drugi odrzekł: Jestem pierworodny, więc ja ją wezmę, a Abel odparł: Ja ją wezmę, ponieważ ze mną się urodziła".

W tych czytaniach o śmierci Abla nie ma odniesienia do ofiary złożonej przez braci. Spotkanie na polu jest samo dla siebie wystarczające, by rozumieć zabójstwo brata. Wykluczona jest więc zawiść, o co często podejrzewamy Kaina. Rzekomo nie mógł znieść wzgardy Boga i za to ukarał brata.

Kłótnia braci niesie w sobie dość napięć i tylko w tym sporze należy szukać źródeł pierwszego morderstwa. Trzy są jego przyczyny: w pierwszej chodzi o własność, pieniądze, majątek. Druga odnosi się do zaszczytów, honoru, uznania. Kłócili się o to, na czyjej ziemi stanie święty przybytek Żydów. Trzecia odnosi się do seksu oraz nakazu płodności. Trzy są, wedle rabinów, podstawowe ludzkie motywacje. Każda tak samo ważna, gwałtowna i każda z nich wystarczy, by popełnić najstraszniejszą zbrodnię.

Bracia rzucili się sobie do oczu. Nie było nikogo, kto by ten spór rozstrzygnął. Bóg milczał, jak zwykle. Nie wtrąca się On do ludzkich bijatyk, kłamstw czy okrucieństw. Najwyżej ostrzega ludzi przed złem, które w nich się czai. Wdali się bracia w straszny spór, a wiemy wszak, że zbrodnia nie ma tylko postaci fizycznej. Kamienujemy ludzi nienawistnym słowem, złym okiem, złą myślą. Abel miał swój udział w bratobójczym konflikcie. Nie jest już przedstawiany jako pierwsza, symboliczna, niewinna ofiara. Rozkręcił kłótnię. Część odpowiedzialności spada na niego. Tu nie ma też mowy o jednoznacznej winie Kaina. Nie uosabia on pierwotnego zła, które stoi przeciw dziełu Stworzenia i dobru w nim zawartym. Jest tym, kto został wciągnięty w wir wydarzeń i przez przypadek, bezwiednie, zabił brata. Kłótnia, jakich wiele, stoi u początku historii. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Wiosenne szaleństwo

Bezduszna ta wiosna. Jak gdyby nigdy nic szaleje i za nic ma nasze zmartwienia. Przeciwnie: jeszcze je wyostrza. Za oknami cud-pogoda, a ty, człowiecze, siedź w czterech ścianach zawsze za ciasnego mieszkania. Pozwólmy jednak wiośnie na robienie tego, co do niej należy. Ona jest szczytem i źródłem kosmicznej liturgii życia. Na swój sposób mówi o tym Jan Kochanowski:

„*Jakoby też rok bez wiosny mieć chcieli,*
Którzy chcą, żeby młodzi nie szaleli".

Wtóruje mu Johannes Scheffler, czyli Angelus Silesius:

„*Wiosną się ożywia dotąd świat uśpiony,*
A więc słusznie mówisz: wiosną był stworzony".

W ocenie Boga był to świat bardzo dobry. Trudno dać wiarę tym zapewnieniom, kiedy co chwila słyszy się przeraźliwie wyjące ambulanse. Łatwiej już przyznać rację tym, którzy twierdzą, że ten świat jest potwornie zepsuty i dalej ulega degradacji, gdyż panią świata jest wszechobecna śmierć. Znamy jednak ludzi, którzy wątpią w tę jej potęgę. Wisława Szymborska pisze na przykład:

„*Kto twierdzi, że [śmierć] jest wszechmocna,*
sam jest żywym dowodem,
że wszechmocna nie jest.
Nie ma takiego życia, które by choć przez chwilę
nie było nieśmiertelne.
Śmierć
zawsze o tę chwilę przybywa spóźniona".

Na wiele wieków przedtem Piotr Apostoł „donośnym głosem powiedział: »Judejczycy i wszyscy mieszkańcy Jeruzalem! (...) wy rękami przestępców ukrzyżowaliście [Jezusa] i zabiliście. Ale Bóg wskrzesił Go i uwolnił od więzów śmierci. Nie było bowiem możliwe, aby ona nad Nim panowała«". To „nie było możliwe" warte jest zapamiętania. Paweł w liście do Koryntian dopowiada: „Jeśli się więc naucza, że Chrystus zmartwychwstał, jakże mogą mówić niektórzy spośród was, że nie ma zmartwychwstania? Jeśli bowiem nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał". Z tej wypowiedzi ważne jest „jeśli nie ma zmartwychwstania". A więc nie jest możliwe, żeby nie było zmartwychwstania. Tę konieczność wiecznego istnienia Piotr i Paweł opierają na wierze w miłość Boga do Chrystusa, a zatem i do nas – też dzieci Boga. „Dzięki [Jezusowi] – mówi Paweł – wierzycie w Boga, który Go wskrzesił z martwych i obdarzył chwałą. Dlatego zawsze kierujcie waszą wiarę i nadzieję ku Bogu!". Jeśli dzisiaj Chrystusowe zmartwychwstanie wydaje się jedynie czczym marzeniem, to dlatego, że brak nam ukierunkowania na Boga, wiary w Jego ojcostwo. ©

Słodki Boże,
od wewnątrz rozpalony,
od zewnątrz kwitnący!

MECHTYLDA Z MAGDEBURGA

Do Boga należy to,
co w niebiosach,
i to, co na ziemi.

KORAN

Wybrał PIOTR SIKORA

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Jezus Ewangelizator

Niesamowite są paschalne perykopy, czyli czytania ewangeliczne. Pokazują nam Jezusa, który wyprowadza ludzi z niewiary i zwątpienia, i czyni ich na nowo swoimi uczniami. Powinniśmy każdą z tych historii przemedytować. Zacznijmy od spotkania Jezusa z Marią Magdaleną (J 20, 11-18). Pozwala nam ono odkryć trzy istotne motywy Jezusowej ewangelizacji.

Motyw pierwszy ukryty jest w pytaniu: „Niewiasto, czemu płaczesz?" – Jezus nie potrafi przejść obojętniej wobec jej łez! Być może to właśnie płacz Magdaleny zatrzymuje Go w drodze do Ojca? Zbagatelizowanie czyichś łez jest przetrąceniem ewangelizacji już na jej progu. „Znajdź ranę – uczy papież Franciszek – i ulecz ją!" – to może być początkowym doświadczeniem Dobrej Nowiny w życiu człowieka; może być bramą dla kolejnych etapów przekazu wiary.

Motyw drugi: „Mario!". Zawołał ją po imieniu. Ja Dobry Pasterz, który zna i woła każdą ze swoich owiec po imieniu. Dokąd mówił do niej: „Niewiasto" – nie rozpoznawała Go; jej oczy wiary były na uwięzi... Kiedy jednak zawołał ją po imieniu, odwróciła się ku Niemu z okrzykiem „Rabbuni".

Bo ewangelizacja jest wydarzeniem skierowanym do osoby – nawet jeśli odbywa się w wielotysięcznej wspólnocie ludzi, staje się Ewangelizacją dopiero wtedy, gdy każda z nich czuje się osobiście dotknięta i zaadresowana. Tu mamy jako Kościół w Polsce jeszcze wiele zadań do odrobienia: by się cieszyć spotkaniem indywidualnym; by przestać z lękiem liczyć dominicantes i communicantes; by nie uciekać od osobistego kierownictwa duchowego; by nie ustalać limitów osobowych, od których takie czy inne spotkania grup formacyjnych nabierają sensu.

Trzeci motyw: Posłanie: „Idź do Moich braci i powiedz im...". Wydaje się niejednokrotnie najmniej oczywiste w całym procesie ewangelizacyjnym. Co więcej, czasami można mieć nawet obawy, typu: „Będę chciał czegoś więcej, to ucieknie". Jesteśmy gotowi wręcz wszystko zrobić dla ludzi, i za ludzi, byle tylko... „zostali". A tymczasem zostaną, jeśli tylko damy im zrozumieć i doświadczyć, że są potrzebni. Że ich twórcza obecność we wspólnocie jest niezastąpiona. Że zostali przez Ducha Świętego wyposażeni w dary, których inni nie mają, a więc ich wkład jest równie istotny, jak i konieczny. Ktoś, kto czuje się potrzebny – zostaje.

Zobaczyć płacz – przemówić po imieniu – otwierać przestrzeń do działania; uzdalniać/wyposażać i posyłać. Takie jest działanie Jezusa. Ewangelizatorze, idź i Ty czyń podobnie. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (26 IV – 10 V)

3. niedziela wielkanocna: Dz 2, 14. 22b-32; Ps 16; 1 P 1, 17-21; Łk 24, 13-35;
Poniedziałek: Dz 6, 8-15; Ps 119; J 6, 22-29;
Wtorek: Dz 7, 51 – 8, 1a; Ps 31; J 6, 30-35;
Środa: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 103; Mt 11, 25-30;
Czwartek: Dz 8, 26-40; Ps 66; J 6, 44-51;
Piątek: Dz 9, 1-20; Ps 117; J 6, 52-59;
Sobota, Uroczystość NMP Królowej Polski: Ap 11, 19a; 12, 1. 3-6a. 10ab; Ps: Jdt 13, 18. 19-20; Kol 1, 12-16; J 19, 25-27;
4. niedziela wielkanocna: Dz 2, 14a. 36-41; Ps 23; 1 P 2, 20b-25; J 10, 1-10;
Poniedziałek: 2 Tm 2, 1-13; Ps 18; Mt 10, 28-33;
Wtorek: Dz 11, 19-26; Ps 87; J 10, 22-30;
Środa: 1 Kor 15, 1-8; Ps 19; J 14, 6-14;
Czwartek: Dz 13, 13-25; Ps 89; J 13, 16-20;
Piątek, Uroczystość św. Stanisława: Dz 20, 17-18a. 28-32. 36; Ps 100; Rz 8, 31b-39; J 10, 11-16;
Sobota: Dz 13, 44-52; Ps 98; J 14, 7-14;
5. niedziela wielkanocna: Dz 6, 1-7; Ps 33; 1 P 2, 4-9; J 14, 1-12.

PREZES WIRUSOWI SIĘ NIE KŁANIA

W obozie władzy skończyło się wzajemne zaufanie. Problem w tym, że w opozycji też nikt nikomu nie ufa.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Gdy partyjna polityka w całym mniej lub bardziej demokratycznym świecie usunęła się w cień, zredukowana do roli usługowej wobec służb zwalczających epidemię, w Polsce jest dokładnie odwrotnie: wpycha się na pierwszy plan. Związane z epidemią konflikty w obozie rządzącym doprowadziły do największego kryzysu od przejęcia przez PiS pełni władzy i stawiają pod znakiem zapytania dalsze trwanie Zjednoczonej Prawicy.

Rozpad rządu? Polityczne transfery do PiS? Nowe wybory do Sejmu? Wszystko jest możliwe. Akurat to, że wszystko zostanie po staremu, wydaje się najmniej realne.

Logistyczna nonszalancja

Zarzewiem konfliktu stała się data wyborów prezydenckich. Lider PiS Jarosław Kaczyński nie bacząc na epidemiczne ograniczenia i na sondaże pokazujące niechęć Polaków do głosowania, lekceważąc niezliczone kłopoty organizacyjne, chce za wszelką cenę doprowadzić do przeprowadzenia wyborów już za kilkanaście dni.

Wybory prezydenckie zostały rozpisane na 10 maja w zupełnie innej atmosferze. Choć pod względem epidemicznym nie jesteśmy – na szczęście – Włochami, Hiszpanią ani Stanami Zjednoczonymi, to pomysł jest i zdrowotnie ryzykowny, i logistycznie nonszalancki. Czyli dokładnie w stylu Kaczyńskiego.

Głosowaniu 10 maja początkowo sprzeciwiała się znacząca grupa polityków PiS na czele z premierem, którego wspierał minister zdrowia Łukasz Szumowski. Sądzili, że wysłanie milionów ludzi

Posiedzenie Sejmu, Warszawa, 6 kwietnia 2020 r.

do urn podczas epidemii to ogromne ryzyko. A poza tym, organizując wybory angażujące tysiące ludzi, władza straci wiarygodność w wezwaniach do kwarantanny i ascezy.

Jednak premier i minister to pragmatycy. Pospiesznie wycofali się, gdy Kaczyński tupnął nogą. Po ich rejteradzie do gry wkroczył wicepremier Jarosław Gowin, który postawił weto. Był twardszy, mógł sobie na to pozwolić: bez 18 posłów jego partii PiS nie ma większości w Sejmie. Nie ustąpił nawet wówczas, gdy Kaczyński zaproponował głosowanie 10 maja wyłącznie korespondencyjnie.

Gowin podsunął własne rozwiązanie: zmianę konstytucji przedłużającą kadencję Andrzeja Dudy do siedmiu lat. Po tej kadencji, kończącej się w 2022 r., Duda nie mógłby się ubiegać o reelekcję. Taki wariant był dla PiS do przyjęcia. Czemu? Bo Kaczyński chce wyborów jak najszybciej lub jak najpóźniej. Spodziewa się spadku notowań PiS za kilka-kilkanaście miesięcy, dlatego proponowane przez opozycję wybory na jesieni lub wiosną przyszłego roku go nie interesują.

Kaczyński chce mieć rząd i prezydenta, by władza była skonsolidowana w czasie kryzysu. Zgoda na wybory za pół roku czy za rok związałaby mu ręce. Przez ten czas trwałaby permanentna kampania wyborcza wokół koronawirusa, przez co PiS nie mógłby podejmować trudnych decyzji. A po raz pierwszy od objęcia rządów słychać w partii i o cięciu socjalnych benefitów, i o ograniczeniu zapisów ochronnych w kodeksie pracy, by zachęcić pracodawców do utrzymywania zatrudnienia.

Gowin obiecywał Kaczyńskiemu poparcie (niezbędne przy takich zmianach) części opozycji. Poufne rozmowy rozpoczął od PSL, kontaktował się z jego szefem Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Zgoda PSL na przesunięcie wyborów o dwa lata ułatwiłaby nacisk na Koalicję Obywatelską. Tyle że nic z tego nie wyszło. Po publicznej prezentacji przez Gowina projektu Kosiniak-Kamysz z miejsca się od niego odciął. Wtedy Kaczyński uznał, że Gowin jest niewiarygodny i że nie ma szans na zmianę. Postawił Gowinowi ultimatum: albo wybory w maju, albo koniec koalicji.

W ostatniej, jak twierdzą politycy PiS i Porozumienia, emocjonalnej rozmowie Gowin uznał, że sam będzie panem własnego losu. Podał się do dymisji, choć jednocześnie uznał, że nie wychodzi z koalicji. Dlatego większość jego posłów poparła projekt PiS o głosowaniu korespondencyjnym w majowych wyborach.

Wedle plotek podczas tej rozmowy Gowin miał powiedzieć Kaczyńskiemu, że zawiódł się na nim i na PiS, choć gdyby to była prawda, oznaczałaby skrajną naiwność. Po niemal sześciu latach bliskiej współpracy z Kaczyńskim Gowin nie ma prawa być ani zdziwiony, ani zawiedziony jego kalkulacjami, w których jedynym celem jest władza.

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Grawitacja ich nie dotyczy

Wydawać by się mogło, że rejtanowski gest Gowina winien pobudzić opozycję. Po pierwsze dlatego, że to destabilizacja pancernego dotąd rządu PiS. Ustawa o głosowaniu korespondencyjnym wróci przecież w początkach maja z Senatu i dojdzie do kolejnego głosowania w Sejmie. To będzie głosowanie ostateczne: albo za wyborami w wersji Kaczyńskiego, albo przeciwko nim. Czy raczej: za trwaniem koalicji Zjednoczonej Prawicy lub za jej końcem, bo tak to stawia Kaczyński.

Po wtóre – z powodu arytmetyki. Bo możliwa jest koalicja opozycji z formacją Gowina przeciwko PiS. Taki pomysł – Gowin na premiera rządu anty-PiS-u – rzucił nawet nestor PO Bogdan Borusewicz. W PiS uznano to za grę Donalda Tuska obliczoną na podgrzanie konfliktu wewnątrz koalicji, bo Borusewicz jest sojusznikiem Tuska i ma w tej intrydze zasadniczą zaletę: z racji dawnych zasług dla Solidarności Kaczyński darzy go szacunkiem i dostrzega jego wypowiedzi.

Rozmów z Gowinem o jego rozwodzie z Kaczyńskim nikt na poważnie nie podjął. Jedynie dawni wiceprezesi PiS, a dziś parlamentarzyści Koalicji Obywatelskiej – Kazimierz Michał Ujazdowski oraz ↦

↦ Paweł Zalewski – poparli pomysł zmiany konstytucji. Wśród opozycji dominuje jednak nieufność wobec Gowina i przekonanie, że prowadzi z Kaczyńskim własną grę, od której lepiej trzymać się z dala.

W kręgach wrogów PiS, kiedy mowa o kondycji opozycji, często pada słowo „niemoc". To zbyt łatwe podsumowanie. Jeden z liderów Platformy zwraca mi uwagę: – Trudno jest konkurować z przeciwnikiem, który nie uznaje żadnych zasad. To mistrzowie zmieniania zasad podczas gry, nawet w ostatniej chwili. Oni mogą wszystko, grawitacja ich nie dotyczy.

To prawda. Nie da się zrobić wyborów tradycyjnych w maju? To Kaczyński kolanem przepycha wybory korespondencyjne, choć sam je ograniczył w 2018 r., przekonując, że to droga do fałszerstw i handlu głosami.

Nie da się zdążyć z przygotowaniami na 10 maja? To wstecznie zmieni się zarządzenie marszałka Sejmu o organizacji wyborów i przesunie się je na 17 maja. A jeśli i to mało, to da się premierowi prawo ogłoszenia każdego dnia w czasie epidemii dniem wolnym od pracy i rozpisania wyborów na kolejny poniedziałek, wtorek, środę, czwartek, piątek lub sobotę.

Zakaz zgromadzeń i zamknięte cmentarze? Obchody dekady smoleńskiej pokazały, że Kaczyńskiego i polityków PiS to nie dotyczy. Nie ma zasad, nie ma pewników, nie ma opoki. Wszystko jest wypadkową aktualnych potrzeb prezesa.

Na ile wystarczy propaganda

W tym sensie koronawirus – patrząc na to czysto politycznie, wręcz cynicznie – powinien stanowić nadzieję dla opozycji, że Kaczyńskiemu powinie się noga. Zaraza pokazała dobitnie, że prezes PiS to fałszywy prorok. Przez ćwierć wieku szukał strategicznych defektów państwa w sądownictwie, specsłużbach, prokuraturze, czyli w warstwie siłowej, a nie w usługach z obszaru opieki społecznej, które dziś szczególnie zawodzą.

Służba zdrowia? Rząd walczył z lekarzami, podburzając przeciw nim opinię publiczną. W dodatku oddziały geriatryczne traktowane były jak piąte koło u wozu – a teraz okazało się, że koronawirus poluje na ludzi starszych. Edukacja? Prezes bawił się w likwidację gimnazjów, a nie unowocześniał szkół, przez co e-nauka to dziś chaos i wielka improwizacja. Z nauczycielami też, rzecz jasna, walczył.

Fałszywe proroctwa Kaczyńskiego uderzają w rząd. Jeszcze kilka tygodni temu szczycił się budżetem bez deficytu – dziś okazał się kompletnie spłukany.

Rezerwy strategiczne? Agencja Rezerw Materiałowych służyła za magazyn niepotrzebnych rzeczy lub surowców, skupowanych po to, aby podreperować finanse państwowych spółek albo rolników. I co najważniejsze: państwowy skarbiec Kaczyński traktował jako rezerwę złota do kupowania sobie poparcia i niemiłosiernie go przetrzebił przez ostatnie cztery lata.

Dziś wszystkie te fałszywe proroctwa uderzają w rząd PiS ze zwielokrotnioną siłą. Rząd, który jeszcze kilka tygodni temu szczycił się pierwszym w 30-leciu budżetem bez deficytu, okazał się kompletnie spłukany. Ujawnił to Gowin, twierdząc, że gdyby trzeba było płacić odszkodowania dla firm zamkniętych przez rząd z powodu epidemii, pieniędzy starczyłoby co najwyżej na kwartał.

PiS, jak to PiS, nadrabia działaniem nakazowo-rozdzielczym, wspomaganym propagandą. A to Orlen wyprodukuje płyn dezynfekujący, a to KGHM z Lotosem kupią partię chińskich maseczek i kombinezonów, a dla wywołania wrażenia przywiozą je do Warszawy największym samolotem świata. Ale na ile wystarczy taka propaganda?

Opozycja nie liczy na zyski

Jest jednak słowo, które trafniej niż „niemoc" opisuje sytuację opozycji. To „obawa". Opozycja nie chce słyszeć o wyborach w maju; kandydatka Koalicji Obywatelskiej Małgorzata Kidawa-Błońska zawiesiła nawet swą i tak cherlawą kampanię. Nie chce też słyszeć o Gowinowych propozycjach zmiany konstytucji. Zdaniem opozycji jedyne sensowne rozwiązanie to wprowadzenie jednego z opisanych w konstytucji stanów nadzwyczajnych. Chodzi o stan klęski żywiołowej, ewentualnie stan wyjątkowy. Podczas każdego z nich i 90 dni po nim wybory odbyć się nie mogą.

Ale to wersja prezentowana publicznie. Rozmowa z liderami PO pokazuje, że opozycja sama boi się stanów nadzwyczajnych, bo, co trzeba ciągle podkreślać, Kaczyńskiemu chorobliwie nie ufa.

– Podczas stanu wyjątkowego mogą wprowadzić cenzurę, pozamykać krytyczne wobec PiS gazety i portale internetowe, zawiesić partie opozycyjne, przejmować prywatne firmy. Jeśli mają większość w Sejmie, mogą to przedłużyć w sumie do pięciu miesięcy. Ale to i tak krótko. Bo stan klęski żywiołowej mogą przedłużać bez końca i rządzić latami bez wyborów! To diabelska alternatywa: wybory prezydenckie w maju albo stan nadzwyczajny – takie scenariusze kreśli w rozmowie ze mną jeden z liderów PO.

Dlatego po stronie opozycji niewiele jest przewrotnej nadziei, że zyska na kłopotach epidemicznych Kaczyńskiego.

Wojna Platformy z PSL

Opozycja jest zresztą tak podzielona, jak dawno nie była. Platforma i wspierające ją środowiska nawołują do bojkotu wyborów. Nie pali się do tego szef i kandydat PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, za co z okolic Platformy sypią się gromy na jego głowę. Oczywiście, to nie są równe wybory, bo kandydaci opozycji nie mają żadnych szans dotrzeć do wyborców, skoro nie można organizować imprez innych niż spotkanie twarzą w twarz, i to w maskach. Ale jednocześnie dla PO bojkot wyborów to zręczny sposób uniknięcia kompromitacji własnej kandydatki, która w sondażach wyraźnie traci. Z kolei Kosiniak-Kamysz, choć przecież gra według tych samych, szulerskich reguł Kaczyńskiego, jest na fali. Wiele sondaży daje mu drugie miejsce w stawce. Procentowo daleko za Dudą, ale jednak z szansami na drugą turę.

Widać więc wyraźnie, że PO i PSL mają dziś całkowicie odrębne interesy polityczne. Zaufanie zostało nadszarpnięte już wcześniej, gdy PSL wsparte przez Lewicę zgodziło się na wprowadzenie systemu internetowego głosowania w Sejmie. Kaczyński natychmiast to wykorzystał. W środku nocy, podczas prac nad pakietem pomocowym dla firm i pracowników dotkniętych epidemią, zaczął gmerać przy prawie wyborczym. Wprowadził pierwszą wersję głosowania ko-

respondencyjnego, które początkowo miało obejmować chorych, przebywających w kwarantannie oraz osoby starsze (bo te ostatnie często głosują na PiS).

Platforma nie godziła się na internetowe głosowanie w Sejmie właśnie dlatego, że nie ufa Kaczyńskiemu i przypisuje mu szulerskie ciągoty. I tym razem miała rację. Ludowcy zaś czują się upokorzeni. Nie dość, że narazili się na starcie z Platformą oraz wspierającymi ją mediami i celebrytami, to jeszcze zostali przez Kaczyńskiego po prostu ośmieszeni. W nocnych głosowaniach poświęconych pakietowi kryzysowemu PiS zmienił ustawę o Radzie Dialogu Społecznego (to mało efektywne ciało, w którym rząd, związki zawodowe i pracodawcy rozmawiają o prawie pracy, przepisach społecznych i gospodarczych). Po nocnej zmianie wprowadzona została lustracja RDS, a premier zyskał prawo wyrzucania członków Rady. Wszystko po to, by pozbyć się szefa RDS Andrzeja Malinowskiego – byłego posła PSL, któremu media kojarzone z PiS zarzucają współpracę z komunistyczną bezpieką.

– Staraliśmy się nie walczyć z PiS, a nawet iść im na rękę w związku z sytuacją epidemiczną. Ale po tym, co zrobili, nie ma szans na minimalne zaufanie – mówi mi członek ścisłych władz PSL.

Między innymi dlatego Gowinowi nie udało się przekonać ludowców do zmiany konstytucji. Ale w tej kwestii także inne czynniki odegrały rolę. Rosnące notowania Kosiniaka-Kamysza powodują, że ludowcom nie uśmiechają się wybory dopiero za dwa lata, chcą głosowania wcześniej. Była w tym również mała zemsta na Gowinie, bo w minionej kadencji niemal rozmontował im klub sejmowy, podkupując posłów.

Gowin próbował też odnowić swe kontakty z czasów, gdy był w Platformie. Bezskutecznie – zwiększył raczej podejrzliwość nowego kierownictwa PO. Borys Budka i jego ludzie wnikliwie obserwują działania byłego szefa PO Grzegorza Schetyny. Nie chodzi tylko o to, że Schetyna nie pogodził się ze stratą fotela (w jego sportowym umyśle to spadek do podrzędnej ligi) i wciąż kontestuje nową ekipę. Budka i jego ludzie podejrzewają Schetynę o spiskowanie z Gowinem – obaj przecież dekadę temu w tandemie knuli przeciwko ówczesnemu szefowi PO Donaldowi Tuskowi.

Bez względu na finał tej rozgrywki politycznej **Kaczyński nie wybaczy Gowinowi**. Traktuje go jak zdrajcę, który zawiódł w najtrudniejszym momencie.

Gowin kontra Szumowski

Co zrobi Gowin, gdy ustawa korespondencyjna wróci z Senatu? Grono jego najwierniejszych współpracowników jest zdeterminowane, aby wystąpić przeciw PiS. – Wszystko odbywa się według planu, który zakładaliśmy. Najpierw przykręcili ludziom śrubę, żeby zahamować zachorowania, a potem stworzyć klimat do poluzowania ograniczeń przed wyborami. I to właśnie się dzieje – mówi jeden z ludzi Gowina o działaniach PiS. – Na podstawie statystyk mogą sugerować, że sytuacja w Polsce jest opanowana. Ale opanowana nie jest. Szczyt zachorowań dopiero przed nami.

Choć minister zdrowia Łukasz Szumowski politycznie wyrósł pod okiem Gowina (był jego wiceministrem w resorcie nauki), to dziś relacje między panami są szorstkie. Szumowski każdego dnia umacnia się politycznie, bo PiS oddał w jego ręce gigantyczną władzę. Nie ma w PiS żadnej polemiki z działaniami Szumowskiego, nie ma miejsca na ich krytykę. Jedyny krytyczny ośrodek stworzył Gowin jako minister nauki, zapraszając do współpracy grono ekspertów, którzy proponowali nieco inne metody walki z epidemią. Zakładali oni izolację starszych i chorych, przy jednoczesnym dopuszczeniu do pracy pozostałych obywateli. Także tę rozgrywkę Gowin przegrał.

Żołnierz na poczcie

Wśród gowinowców żywy jest pomysł, żeby dogadać się z opozycją w Senacie i przysłać do Sejmu projekt głosowania korespondencyjnego, ale z przesuniętą datą wejścia w życie (długie *vacatio legis*), by Kaczyński nie zdążył w maju obsadzić Dudy na prezydenckim stołku. No ale brzmi to jak przystawianie liderowi PiS pistoletu do skroni. Kaczyński miałby zaakceptować dotkliwą polityczną porażkę, do której rękę przyłożył jego koalicjant?

On sam nie bierze tego pod uwagę. Przygotowania do wyborów korespondencyjnych idą pełną parą, a prowadzi je nowy szef Poczty Polskiej Tomasz Zdzikot, wierny żołnierz PiS, były wiceminister obrony i MSWiA. Dla obozu władzy nie ma znaczenia, ile osób pójdzie do urn. – Frekwencja nie ma wpływu na ważność wyboru – podkreśla mój rozmówca z obozu władzy, który brał udział w pracach nad ustawą korespondencyjną. – Oczywiście, w razie niskiej frekwencji opozycja będzie kwestionować mandat zwycięzcy, czyli zapewne Andrzeja Dudy. Ale nawet gdyby wybory odbyły się w normalniejszych warunkach, i tak by kwestionowała. Zdanie opozycji nie ma znaczenia prawnego, Duda będzie legalnym prezydentem.

A choćby i sejmowe

Pewne jest jedno: bez względu na finał tej najważniejszej od lat rozgrywki Kaczyński nie wybaczy Gowinowi. Politycy PiS twierdzą wręcz, że traktuje go jak zdrajcę, który zawiódł w najtrudniejszym momencie.

W całej tej rozgrywce Gowin popełnił jeden zasadniczy błąd. Założył, że bez względu na jego harce Kaczyński nic mu nie zrobi w obawie przed rozpadem koalicji, upadkiem rządu i przyspieszonymi wyborami.

Pomylił się. Rozmowy w obozie władzy wskazują na to, że prezes PiS jest gotowy na wszystkie warianty. Rozpad koalicji? Wielu posłów Gowinowego Porozumienia jest przekonywanych przez emisariuszy z Nowogrodzkiej do rokoszu przeciw liderowi. W razie ostatecznego starcia Gowin nie ma gwarancji pełnej lojalności swych ludzi. Inna rzecz, że wystarczy mu raptem kilku, żeby zablokować wybory w maju.

Dlatego wysłannicy PiS zawczasu rekrutują posłów innych ugrupowań. A Kaczyński ma być gotowy nawet na przyspieszone wybory sejmowe, co brzmi jak groteska, biorąc pod uwagę kłopoty z wyborami prezydenckimi. Faktem jest jednak, że tak jak w przypadku prezydentury dla Dudy, tak i w przypadku wyborów sejmowych Kaczyńskiemu sprzyjają sondaże. Kto wie, może ostatni raz?

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Powrót do lat pięćdziesiątych

ANNA DZIEWIT-MELLER, ANNA PAMUŁA

Jak koronawirus zmienił życie Polek i Francuzek? „Równość" w czasie epidemii to tata w pracy, a mama na trzech etatach.

Koronawirus zaatakował nie tylko górne drogi oddechowe. W unieruchomionych społeczeństwach problemy zaczęły nagle puchnąć do nowych, nieznanych wcześniej rozmiarów. Także w rodzinach, pozamykanych na małych przestrzeniach mieszkań. Rosnąca przemoc domowa to tylko jeden z najbardziej jaskrawych przykładów konsekwencji pandemii, działającej jak studnia pogłosowa społecznych problemów. Pokazuje ona wszelkie istniejące już dysproporcje z dokładnością mikroskopu. Na przykład nierówności płacowe między płciami, które w momencie, gdy darmowa praca opiekuńcza staje się jeszcze bardziej niezbędna, by świat mógł dalej funkcjonować, tworzą pole nowych konfliktów. Niewidzialna praca domowa we wszystkich krajach świata wykonywana jest głównie przez kobiety. W dobie pandemii jeśli coś się zmienia, to raczej na ich niekorzyść.

W związkach dokonują się rachunki zysków i strat – ten, kto zarabiał mniej, łatwiej zostanie poświęcony na ołtarzu nowych obowiązków, które pojawiły się w domach w czasie przymusowego zamknięcia. Mniej zaś zwykle zarabiają kobiety. W 2019 r. Europejski Instytut ds. Równości Kobiet i Mężczyzn (EIGE) opublikował najnowsze wyniki Gender Equality Index. W zestawieniu Polska zajęła 24. miejsce (na 28 krajów UE), a Francja trzecie, po Szwecji i Danii. W stosunku do roku poprzedniego spadliśmy o sześć punktów, podczas gdy Francuzi zrobili od 2005 r. największy postęp w kwestii równouprawnienia. Jak przekłada się to na życie kobiet w czasie kwarantanny?

Jakbym była na urlopie

– W domu „siedzę" od 11 marca – mówi P., pracownica dydaktyczna dolnośląskiej uczelni, mama 6-latka. – Mąż w czasie pandemii nie pracuje zdalnie, wciąż chodzi do pracy. Oczywiście zarabia o wiele więcej ode mnie. Pierwsze dni po zamknięciu przedszkola było dobrze. Wyspałam się i spędzałam *quality time* z dzieckiem. Potem zaczęły się chaotyczne maile z uczelni. W końcu okazało się, że mam nauczać zdalnie i ma się to odbywać w czasie zajęć zgodnie z planem.

Wtedy właśnie pojawił się problem z podziałem obowiązków w domu. – Moja rola, a raczej zadania jej przypisane, urosły do olbrzymich rozmiarów – mówi P.

Prowadzone przez nią zajęcia *online* ze studentami odbywają się w godzinach 11-17 od wtorku do piątku. P. wstaje więc grubo przed obudzeniem się dziecka, by zdążyć ze wszystkim. – Do momentu, kiedy zacznę zajęcia, muszę mieć gotową zupę i przynajmniej plan na drugie danie – opowiada. – Już w trakcie zajęć odpowiadam na jego pytania, w przerwie wstawiam pranie albo je wieszam, podaję zupę, sprawdzam, czy nie robi rzeczy zagrażających jego życiu. Jak skończę ze studentami, mam czas dla dziecka i domu. I szykuję enty posiłek wieczorem. Do tego jeszcze poczucie winy, że dziecko spędza za dużo czasu na Netfliksie. Gdzie w tym wszystkim jest mój mąż? W pracy.

Mąż P. kilka dni pracował zdalnie, ale ta wyglądała zupełnie inaczej niż jego żony. – On po prostu pracuje. Jego mózg i ciało nie zajmują się niczym innym! Gdy wraca z firmy, zachowuje się jakbym ja była na urlopie, a on przecież wrócił z pracy i jest zmęczony. I o ile przed uziemieniem dysproporcja między naszymi domowymi obowiązkami nie była aż tak duża, teraz doprowadza mnie do frustracji. Przewaga finansowa rodzi swego rodzaju przewagę psychiczną. Łykam to jednak, bo jego pensja jest dla nas

ALVARO CALVO / GETTY IMAGES

w pewnym sensie ważniejsza. Podział ról w moim małżeństwie jest taki, jak był, tylko że moja rola urosła, a męża pozostała mniej więcej taka sama. To jest okres próby. Próby dla mnie: ile jestem w stanie udźwignąć, zanim się rozsypię. I próby dla naszego związku.

Dlaczego się irytuję

Kasia jest psycholożką dziecięcą, pracuje w szkole i dwóch przedszkolach w Krakowie, więc w czasie kwarantanny ma mniej pracy zawodowej i obawia się o swoje zatrudnienie w przyszłości. – Pomyślałam, że skoro już jestem zamknięta w domu z córkami, to będziemy robiły te wszystkie świetne rzeczy, które zawsze chciałam z nimi robić – opowiada. – Miałam bardzo bogate plany, które rzeczywistość boleśnie zweryfikowała. Okazało się szybko, że 24 godziny na dobę 7 dni w tygodniu jestem sama z całym domem na głowie.

Jej mąż zarabia dużo więcej, jak w większości polskich domów. Rytm dnia jeszcze przed pandemią podporządkowany był raczej jego obowiązkom zawodowym.

– Jednak dopóki ja chodziłam do pracy, nasz model rodziny był stanowczo bardziej partnerski – mówi Kasia. – Teraz widzę, że coś się zmieniło: mój mąż zrobił wyraźny krok w tył w zakresie dzielenia się obowiązkami. Nawet mniej z dziećmi rozmawia, gdy już w końcu oderwie się od swoich zajęć. Kiedy teoretycznie kończy pracę, to praktycznie i tak jej nie kończy, zawsze ma coś jeszcze do zrobienia. Czas jego pracy rozciąga się jak guma do żucia. Mam też poczucie, że kompletnie nie rozumie, dlaczego ja się irytuję, że on się tak wycofał. Myślę nawet czasem, że może przesadzam z tym swoim pragnieniem, by zaspokajać tak intensywnie potrzeby emocjonalne dzieci. Widzę teraz, że to się dzieje moim kosztem, bo przestałam mieć jego wsparcie. Ale dzieci potrzebują nas obojga, nie tylko mnie.

Dzieci nie rozumieją

Problem opieki nad dziećmi w czasie pandemii jeszcze inaczej widzi M. z Warszawy, zatrudniona w dużej firmie z branży mediowej. Pracuje zdalnie. – Mąż robi zakupy i gotuje – opowiada M. – Zarabiamy podobnie, ja mam etat i trzy miesiące wypowiedzenia, więc czuję się spokojna. Mąż ma własną działalność w branży, która obecnie zamarła. W domu się wspieramy, więc tu wszystko działa dobrze. Różnicę czuję w pracy: jestem w moim dziale jedyną matką. Dwa razy dziennie mierzone są postępy prac. One robią po 120 procent, ja 40-50, bo ze względu na dzieci pracuję tylko od ósmej do czternastej. To mi daje parę godzin względnego spokoju. Ale potem jest hardkor. Dzieci nie rozumieją, że musimy pracować. Efekt? W zeszłym tygodniu, co się raczej nie zdarzało wcześniej, wróciły mi dwa duże projekty do poprawy. No ale ja nie jestem w stanie się skoncentrować. Nie mam dokąd uciec i się odciąć. A koleżanki zachwycone, bo praca zdalna zawsze była ich celem. Mówią, że odzyskały po dwie godziny, które traciły na dojazdy.

Życzeniowo o związkach

– W Polsce o działaniu społeczeństwa, o funkcjonowaniu ekonomii, o kwestii usług społecznych nie myśli się niestety w perspektywie różnic płci – mówi socjolożka Elżbieta Korolczuk. – Badaczki feministyczne próbują od lat pokazywać, jak zmienia się perspektywa, gdy w PKB zaczynamy ujmować pracę reprodukcyjną, to całe ogarnianie życia domowego i opiekę. W czasach kryzysu zaś dodatkowo nie ma miejsca na analizy dotyczące sytuacji kobiet, bo debata publiczna toczy się już niemal wyłącznie wokół sfery medycznej. Jak będzie po kryzysie? Będziemy żyli w stanie większej niepewności ekonomicznej i większego nadzoru politycznego. W sferze domowej więc, gdzie były problemy przed kryzysem, a państwo interweniowało słabo, teraz nie będzie interweniowało w ogóle.

Zdaniem Korolczuk widoczny już kryzys będzie się nierównomiernie rozkładał na różne grupy społeczne. W klasie średniej paradoksalnie procesy retradycjonalizacji okazują się bardzo silne, zwłaszcza w rodzinach, w których nie ma równości ekonomicznej między małżonkami. – Kobiety z klasy średniej mają zresztą tendencję, by opisywać swoją sytuację życiową jako bardziej równościową, niż ona rzeczywiście jest. Trochę myśląc życzeniowo o związkach, w których funkcjonują. Teraz zaś następuje mocne *reality check* – podsumowuje badaczka.

Matka nie może zapomnieć

A jak jest we Francji? C., mama 7-latka, jest wykładowczynią uniwersytecką. Mieszka na przedmieściach Paryża. Po rozwodzie, jak mniej więcej połowa francuskich kobiet.

Jej były mąż opiekuje się synem dwa weekendy w miesiącu i połowę czasu wakacji. – Oświadczył, że w trakcie kwarantanny nie będzie tego robił. Obraził się za jakąś bzdurę i w ten sposób postanowił mnie „ukarać" – opowiada C. ze złością. – Zadzwoniłabym do adwokata, ale w trakcie kwarantanny sądy są przeciążone. Tymczasem ja pracuję w domu i to jest horror. Pierwsze dwa tygodnie były fajne, ale odłożyłam masę pracy na później. Miałam nadzieję nadrobić, kiedy syn będzie u taty.

Tak się nie stało, więc plan dnia C. jest napięty: wstaje nieprzytomna o szóstej, by przygotować zajęcia ze studentami, od dziewiątej do dwunastej odrabia z synem zadania domowe (umawia się na Skypie z innymi mamami – bo to zawsze są mamy – i wymyślają dla nich zabawy edukacyjne), jednocześnie przygotowuje szybki obiad. Potem chłopiec siedzi przy iPadzie, a ona sprząta i zamawia zakupy przez internet. Wykonuje typową, niewidzialną pracę kobiet. We Francji zaledwie jedna trzecia par dzieli się obowiązkami domowymi.

– Jeśli dodać, że zaledwie połowa ojców płaci alimenty, to można sobie strzelić w łeb – dodaje C. – Mam koleżankę, której mąż przez epidemię jest na bezrobociu, więc zadzwonił tylko powiedzieć, że nie będzie płacił, bo nie ma z czego. Jak wyżywić dzieci, to jej problem. Inna koleżanka z dwójką małych chłopców zachorowała na koronawirusa. Miała gorączkę i problemy z oddychaniem, a były mąż odmówił opieki nad dziećmi ze strachu przed zakażeniem.

Według C. koronawirus nie tyle odsyła kobiety do pełnienia ról z lat 50., kiedy Francuzki bez zgody męża nie mogły mieć konta w banku, ile uświadamia, że nigdy z tych lat 50. nie wyszły. Uzyskały prawo do aborcji, pigułki antykoncepcyjne i łatwość rozwodu, ale cała reszta nierówności jest wciąż obecna. – Kobiety mydlą sobie oczy, przecież normą jest to, że mama zajmuje się dzieckiem. Facet może wyjść, nie przyjść, zapomnieć. Matki tego nie robią, bo nie mogą – podsumowuje C. ↦

Zgłoś aptekarzowi

D. jest mamą czteroletniej dziewczynki, za miesiąc ma urodzić chłopca. Pochodzi z Gwinei. Jej mąż, Malijczyk, pracuje w Londynie. Mieszka z bratem na podparyskim blokowisku, w regionie, gdzie wskaźniki zakażenia są jedne z najwyższych we Francji. D. pracuje dla stowarzyszenia wspierającego osoby bezdomne.

– Mam umowę o pracę, więc w trakcie pandemii czuję się względnie bezpieczna – mówi spokojnym głosem D. – Gorzej mają koleżanki na umowach-zleceniach. Mają prawo do zwolnienia lekarskiego i pomocy od państwa, ale to niewielkie sumy. Te, które są samozatrudnione, np. sprzątaczki, nianie czy nawet artystki, jeśli ich dochody zmalały o minimum 50 proc. w stosunku do ich uśrednionej pensji liczonej od stycznia 2019 do marca 2020 r., dostaną dodatek 800 do 1500 euro miesięcznie przez trzy do sześciu miesięcy. Najtrudniej mają kobiety, które pracują dorywczo bez umowy, ale nie znam ich dużo, nawet w naszej dzielnicy.

> We Francji wiele spraw sądowych zostało odwołanych, ale te dotyczące przemocy domowej są utrzymane i rozstrzygane błyskawicznie, **by oprawca jak najszybciej został odseparowany.**

Według D. mało która kobieta zostanie na lodzie. Jeśli któraś nie będzie umiała poradzić sobie sama, to pomogą jej stowarzyszenia, a te dostaną zapomogi od państwa, by móc funkcjonować.

– Na blokowisku równość nie polega na tym, że mąż dzieli się z żoną obowiązkami pół na pół – śmieje się D., bo sama myśl, że to możliwe, ją rozbawiła. – „Równość" to tata w pracy, a mama na trzech etatach: na kasie w supermarkecie, jako niania dla dzieci, sprzątaczka i kucharka. Mąż mojej koleżanki będąc na trzytygodniowym urlopie rodzicielskim gapił się w telewizor, a ona marzyła, by wreszcie wrócił do pracy, bo denerwowały go dzieci i musiała ciągle wychodzić z nimi na spacer.

Niektóre rodziny mają sześcioro dzieci i gnieżdżą się z nimi na 60 metrach mieszkania socjalnego. – Od początku pandemii odbieram kilka telefonów w tygodniu od kobiet, które biją mężowie. Nie wiedzą, co zrobić, przecież nie mogą uciec. Nie ma nic gorszego, jak być w izolacji z agresywnym facetem. Sytuacja jest napięta, dzieci krzyczą w domu, więc wszystko staje się pretekstem, by uderzyć: źle wysprzątana kuchnia, niewystarczająco dobre jedzenie – tłumaczy D.

Przemoc domowa we Francji wzrosła w trakcie kwarantanny o 35 proc., a to tylko statystyki. By jej zapobiec, wprowadzono nową zasadę, dzięki której kobieta może zgłosić problem aptekarzowi, który dzwoni od razu na policję. Można też złożyć skargę przez internet, policja przyjeżdża w 15 minut. Wiele spraw sądowych zostało odwołanych, ale te dotyczące przemocy domowej są utrzy-

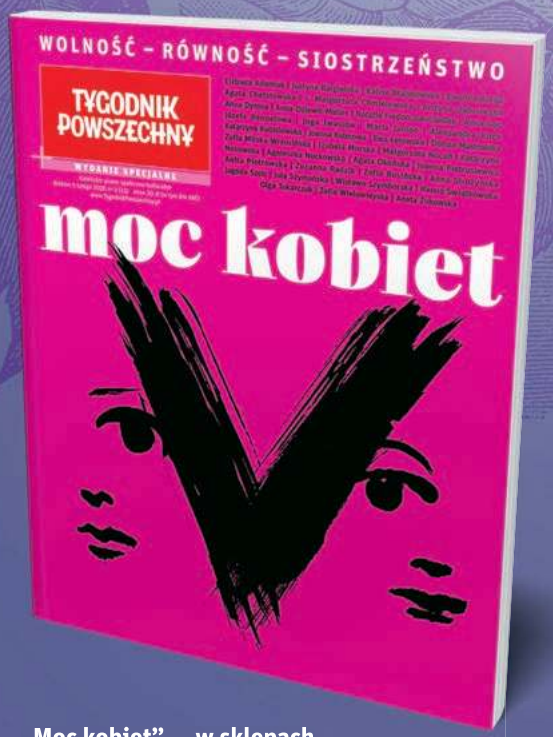

Wydanie specjalne „Moc kobiet"
BEZ TABU, BEZ LUKRU

„Wiedźmy są od wiedzenia. A także od tego, co streszcza się w tej pięknej sentencji, że „grzeczne dziewczynki idą do nieba, a niegrzeczne idą tam, gdzie chcą".

JAGODA SZELC

„Moc kobiet" – w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/mockobiet

weź, czytaj!

WYDAWCA TYGODNIK POWSZECHNY
WSPÓŁWYDAWCA FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
PARTNERZY ZAiKS SIEMENS Ingenuity for life

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

mane i rozstrzygane błyskawicznie, by oprawca jak najszybciej został odseparowany. – System jest skuteczny – uważa D. – Rozmawiałam z kobietami, które skorzystały z pomocy, dostały miejsce w hotelu z dziećmi i pieniądze, by przetrwać, ale problem w tym, że niewiele kobiet decyduje się na taki krok. Tak samo jak przed pandemią, teraz tym bardziej boją się o przyszłość.

Łatwiej się dogadać, kiedy są pieniądze

F. (38) jest mamą 7-letniego chłopca i 10-letniej dziewczynki. Pracuje jako projektantka mody. Pochodzi z Niemiec. Mieszka w Paryżu z mężem architektem, we wspólnocie mieszkaniowej, którą dzieli z kilkoma innymi rodzinami. Popołudniami każdy z rodziców (robią to też ojcowie) ma godzinną „szychtę" i pilnuje całej bandy, by specjalnie nie dotykali się, grając w berka.

– Mój tata przez tego wirusa pierwszy raz odrabiał ze mną zadania. Wcześniej robiła to mama albo niania – mówi córka F. – Kwarantanna to fajny czas, bo wreszcie spędzam dużo czasu z rodzicami. Normalnie pracują codziennie do dwudziestej...

– Nie przesadzaj – oponuje jej mama. – Pracuję cztery dni w tygodniu, w środy cały dzień spędzam z dziećmi [we Francji to dzień wolny od szkoły – red.]. Kwarantanna pokazała mi jednak, że robię dużo więcej od mojego męża.

Para w miarę sprawiedliwie podzieliła się obowiązkami. Mąż nigdy nie posłużył się argumentem, że F. zarabia o połowę mniej. Ona pracuje rano, on po południu. Gotuje ten, kto zajmuje się dziećmi. Wieczorami i w weekendy nie pracują, ale i przed epidemią potrafili oddzielić czas pracy od czasu z rodziną. We Francji mało kto pisze maile o północy czy w sobotę. – Po dwóch tygodniach kwarantanny jesteśmy spokojni, bo wiemy, że nasza sytuacja finansowa raczej się nie zmieni w najbliższych miesiącach – mówi F.

Nawet gdyby została na chwilę zawieszona w obowiązkach, to może przejść na tzw. bezrobocie techniczne i państwo wypłaci jej 80 proc. wynagrodzenia. Od początku pandemii z tej możliwości skorzystało już ponad 600 tys. firm zatrudniających około 6 milionów Francuzów. – Poczucie względnego bezpieczeństwa zagwarantowanego przez państwo pewnie nie pozostaje bez wpływu na to, że potrafimy się z mężem dogadać w domu – ocenia F.

Ze względu na utrudnienia z dostępem do szpitali szybko zmieniono przepisy, by aborcja była możliwa do dziewiątego, a nie jak dotąd siódmego tygodnia. Pigułki antykoncepcyjne można zaś wykupić w aptece nawet z nieważną receptą. Przykład Francji pokazuje, że pewne prawa uzyskane przed pandemią działają skutecznie. Niemniej ogólna sytuacja kobiet pogarsza się z powodu skutków koronawirusa bardzo wyraźnie. Niewidzialna praca kobiet, jak szacowała w styczniu brytyjska organizacja pomocowa Oxfam, przynosiła zyski w wysokości 10,9 bln dolarów. Co będzie, kiedy pandemia ustąpi, strach dziś myśleć.

© ANNA DZIEWIT-MELLER, ANNA PAMUŁA

REKLAMA

FUNDACJA PANOPTYKON

WOLNOŚĆ SIĘ LICZY

Fundacja Panoptykon broni wolności i prywatności w cyfrowym świecie (również w czasie pandemii)

DOŁÓŻ SWÓJ 1%
KRS: 0000327613

panoptykon.org/wspieram

Pochwała czystego okna

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Nie ma bardziej żałosnego widoku niż uwięziony w domu przyrodnik.

Nie wiem tego na pewno, ale myślę, że mieszczuchom kochającym przyrodę śni się ten sam sen. Tylko oni, lornetka i przyroda. Poranny marsz przez budzący się las. Rezolutny strzyżyk przemykający wśród zielonych mchów. Harmider ptasich głosów, z wszechobecną piosenką zięby. „Czekaj, czekaj, coś zrobiła, a widzisz" – tłumaczy na ludzki niezastąpiony Sokołowski.

Ze snu na chwilę wyrywa wycie karetki. I znowu śni się mroźny poranek i podnoszące się nad rzeką mgły. Odległe nawoływanie żurawi. Polujący w trawie lis i pasące się spokojnie sarny. Znowu przebudzenie, tym razem z niejasnego niepokoju. O rodziców, o pracę, o to, co będzie za pół roku. Chwila wsłuchiwania się w bicie własnego serca i kolejny sen. Pole pulsujące elektryczną paplaniną skowronka i ta chwila, kiedy na białych prześcieradłach chmur zjawiają się krzyżyki wędrujących ptaków drapieżnych.

NA POCZĄTKU KWIETNIA, jak co roku, miałem jechać do Holandii. Trasa prowadzi przez niemiecką wyspę Helgoland i jej wysokie, zapierające dech klify. Jedyne czerwone klify na Morzu Północnym. W 1850 r. ten modny wówczas kurort odwiedził Ignacy Prądzyński, generał powstania listopadowego. Człowiek wielu talentów. Zdolny dowódca, zdolny inżynier i nie mniej zdolny literat. Autor „Pamiętników", w których bardzo przekonująco stworzył własną legendę: przenikliwego stratega i człowieka, który umiał wygrać powstanie listopadowe. Na Helgolandzie generał Ignacy Prądzyński zakończył życie, tonąc w czasie leczniczej kąpieli. Kurort nie przysłużył się jego zdrowiu.

Nie odwiedzam jednak Helgolandu, by co roku czytać pamiątkową tablicę poświęconą Prądzyńskiemu. Wyspa to od połowy XIX wieku miejsce badań ptasich wędrówek, zapoczątkowanych przez Heinricha Gätkego, malarza, poetę i ornitologa. Na Helgolandzie gniazdują tysiące nurzyków. Słabo latające ptaki skalistych klifów, których krótkie, trójkątne skrzydła lepiej sprawdzają się jako wiosła. Stłoczone, odwrócone plecami do morza, na wąskich półkach skalnych przypominają mi z jakiegoś powodu prażone łupiny słonecznika. Gwiazdami wyspy są jednak głuptaki. Piękne, nieskazitelnie białe ptaki, szybują bez wysiłku, wykorzystując każdy podmuch morskiego wiatru. Jedyną ich głupotą była ufność wobec człowieka: głuptaki dawały się zabijać na gniazdach. Nie uciekały. Nie chciały porzucać jednego jedynego jaja.

Później jechałbym na błotniste poldery Fryzji i wpatrywał się godzinami w srebrzystobiałe kalejdoskopy pasących się na wałach bernikli. Kawałek wybrzeżem, wzdłuż Morza Wattów, płytkiego, błotnistego akwenu opasanego wianuszkiem Wysp Fryzyjskich. Ostatnia z nich, Texel, to mekka ptasiarzy, kraina bezkresnych plaż, trawiastych wydm, wrzosowisk i owiec. Przed oczami stoją mi poważne, nieruchome biegusy morskie, jak zawsze przytulone do falochronu na północnym krańcu wyspy, blisko latarni morskiej.

A może w końcu pojechałbym nad Biebrzę, tak jak sobie obiecywałem? Odetchnąć wilgotnym powietrzem bagien. Wejść na wieżę obserwacyjną w Burzynie i długo wypatrywać człapiących w wodzie łosi. Łosi stojących na białej ścianie brzeziny.

Albo kawałek dalej w Mocarzach skręciłbym w prawo przy dębie na rozstaju i pojechał tam, gdzie kończy się droga. Dalej poszedłbym pieszo, aż do rozlewisk, które kończą się przy płotach gospodarstw. Wypatrywałbym rdzawych rycyków, jak tokują w locie, kładąc się raz na lewym, raz na prawym boku. Potem, wracając, na Długiej Luce, poszedłbym kładką aż do samego końca, wsłuchując się w ten ksylofon podpróchniałych desek, z których każda inaczej jęczy pod ciężarem przechodzącego. Na zachód słońca chciałbym być w Rusi, na pagórkach. Stamtąd do zmroku patrzyłbym w taflę wody, na koziołkujące rybitwy czy chmary jaskółek.

Domowe lekcje czytania

Literatura jest niezbędnym elementem dobrego życia.
Jak czytać, żeby lepiej myśleć i działać?

W każdą **środę o godzinie 12:00** na facebookowym profilu „Lekcji czytania" dyrektor programowy Festiwalu Conrada **Grzegorz Jankowicz** analizuje wybrany tekst i odpowiada na Wasze pytania.

W **środę 22 kwietnia** czytamy i rozmawiamy o opowiadaniu **„Szynel" Mikołaja Gogola**. Zapraszamy!

TYGODNIK POWSZECHNY · FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · SALESmanago marketing automation · fanpay · /LekcjeCzytania

TO JEST DZIWNY ROK. Coś chyba zwiastowały te znaki na niebie i ziemi. Przyroda próbowała zachować się adekwatnie do niedorzecznie ciepłej zimy. W połowie stycznia w Kozienicach znaleziono gniazdo kosa z wysiadującą jaja samicą. Niestety po paru dniach nie było już po nim śladu. Wychodzący kot? Kuna? Pod koniec miesiąca za płotem sąsiedniej kamienicy kwitły przebiśniegi. Z leszczyn zwisały tłuste, napęczniałe od pyłku kotki. Znajomi wszystkożercy robią z nich placki albo po prostu wrzucają do mąki i na rozgrzany olej. Smak opisują nieco zawile: „gorzkawe, ale trochę miodowe, trochę jak miód gryczany. Na pewno gorzka orzechowość. Słodkie w mdławy sposób".

W połowie lutego, w suchym, szeleszczącym jak papier Lesie Bielańskim ganiały się cytrynki. Ciągle wydawało mi się, że jest już marzec. W marcu zaczęły się dyskusje, czy to odpowiedzialne jeździć na ptaki. Czy to rozsądne. Ale jeszcze trochę się jeździło. Nad jeziorko, nad rzekę, na mokradło. A potem przyszedł zakaz (na szczęście odwołany warunkowo w ostatnich dniach). Nie ma większego dramatu, nie ma bardziej żałosnego widoku niż uwięziony w domu przyrodnik. Przypomniało mi się, że brytyjscy ornitolodzy osadzeni w niemieckim oflagu wciąż prowadzili obserwację migracji i notowali zwyczaje lęgowe gniazdujących na terenie obozu ptaków. Tysiące ptasiarzy i ornitologów, idąc nieświadomie tym tropem, zaczęło energicznie myć okna.

Przy słonecznej pogodzie dobrze lecą drapieżniki. Ciepłe powietrze unosi je wysoko do góry. Pozazdrościłem kolegom, którzy mają balkony. Dawid widział w Bydgoszczy rybołowa. Grzesiek w Białymstoku orlika krzykliwego. Maciek w Pruszkowie sfotografował, jak nad blokiem zatacza koła piękna bagienna sowa – uszatka błotna. Ja też trzymam już aparat na parapecie. Był bocian biały, był żuraw, były dwa myszołowy. Był też dron, który lata nad parkiem. Dron to najczęściej występujący gatunek na moim niebie.

A kiedy już łzawią oczy od patrzenia przez okno – polecam nieużytki. Wertepy. Ani to las, ani tym bardziej park. W mieście raczej dzikie stepowate śmietniska porośnięte krzakami. W czasach zamknięcia parków i lasów były idealne na codzienny, legalny spacer. Wszędzie odradza się życie, nawet tam. Pamiętajmy o wertepach, szczególnie jeżeli zakazy powrócą. ©

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI *jest publicystą i ornitologiem amatorem. Prowadzi blog „Dzika Ochota". Autor reportażu historycznego „Pirat stepowy". Za książkę „Dwanaście srok za ogon" otrzymał Nagrodę Nike Czytelników 2017, a także nominacje do Paszportu „Polityki" 2016 oraz Nagrody Literackiej Gdynia 2017.*

„Ptak, który nie latał", mural Sama Batesa ps. Smug, Glasgow

JANE BARLOW / PA IMAGES / FORUM

ANNA

Dziewit-Meller: *Stryszek*

To się jeszcze nie dzieje, ale mam wrażenie, że wkrótce zacznie. Ucieczka z miasta. I to nie taka, jak z zagranicznych gazet. Nowojorskie dzienniki niedawno pisały o tłumach bogatych mieszkańców, którzy masowo zaczęli szturmować Hamptons i inne okoliczne miejscowości letniskowe, budząc popłoch miejscowych. We Francji opinia publiczna zszokowana była najazdem mieszkańców Paryża na Côte d'Armor w Bretanii – do tego stopnia, że władze musiały pozamykać tam plaże i straszyć wysokimi karami. W Polsce pojawiły się co prawda informacje o tym, że w niektórych miejscowościach turystycznych na Mazurach otwarte jeszcze pensjonaty zapraszały „na kwarantannę", ale po zmianie przepisów sytuacja uległa zmianie. Zresztą kraje Europy Środkowo-Wschodniej i ich mieszkańcy wedle opinii ekspertów znacznie karniej niż na Zachodzie stosują się do zasad narzuconych przez władze (lata praktyki!).

Nie o takie jednak ucieczki z miasta mi chodzi. Mam poczucie (i obym się myliła), że miasta w Polsce, a osobliwie Warszawę, czeka odpływ mieszkańców. Na przykład taki K., lat 35. Na kilka miesięcy przed pandemią, zmęczony wieloletnią pracą w firmie PR działającej dla sektora finansowego, przeszedł na własną działalność i robił nadal zlecenia dla macierzystej agencji, jednocześnie szykując uruchomienie start-upu, na który wydał wszystkie oszczędności. Miało być pięknie, a tymczasem przyszedł COVID-19 i wszystko z dnia na dzień uległo dramatycznej zmianie. Pracy brak, oszczędności utopione we wstrzymanym projekcie. Wsparcie od państwa – sami państwo wiecie, co o tym myśleć.

Co zrobi? Na razie usiłuje przetrwać, pożyczając pieniądze. Ale w dalszej perspektywie wynajem mieszkania w stolicy (kawalerka, ale koło metra) bez możliwości zarobkowania zdaje się nierealny. Jaki ma plan B? Powrót do rodziców.

Klasa średnia z Paryża ucieka na bretońskie plaże po to, by gdy już wszystko minie, wrócić do własnościowych mieszkań w stolicy. Nasza rodzima klasa średnia staje w obliczu utraty dachu nad głową. Przecież wielu z jej przedstawicieli od bezdomności dzielą jedynie trzy raty niespłaconego kredytu albo czynszu, a wizja ta z każdym dniem lockdownu staje się bardziej wyrazista.

Rodzina N. Oboje na umowach cywilno-prawnych, z jednym dzieckiem, mieszkający w Olsztynie, w wynajętym mieszkaniu, szykują się psychicznie na powrót do rodzinnej wsi obydwojga, 60 km od miasta. Rodzice powiedzieli im, że jak nie ma wyjścia, to niech przyjeżdżają. Zaczęli już nawet, korzystając z przymusowego zamknięcia, przystosowywać strych na przyjęcie gości. N. i tak uważają się za szczęściarzy – mają dokąd pojechać.

Zarówno K., jak i N. ufają, rzecz jasna, że ta sytuacja będzie tymczasowa – w końcu wszyscy żyjemy w jakimś zamroczeniu, czekając na „otwarcie gospodarki", jakby ten moment miał po prostu magicznie przywrócić stan sprzed pandemii. Utwierdza nas w tym narracja o zawieszeniu składek i wakacjach kredytowych mających trwać maksymalnie pół roku, jakby po tym okresie cud gospodarczy dmuchnąć nam miał wiatru w żagle i pozwolić na elegancką spłatę wszystkiego, co na razie łaskawie odroczone. Wciąż się zastanawiam: jak to możliwe, że w to wierzymy?

Czy nie lepiej, jak rodzina N., zacząć szykować jakieś strychy? Jaki bowiem będzie dla wielu ludzi sens życia w wielkich miastach, które okazały się zresztą całkowicie dysfunkcyjne w czasie pandemii, a po niej mogą się okazać pułapką na tych, co mimo zapowiedzi władz jednak nie dadzą rady?

Joanna Kusiak, socjolożka i badaczka miast z Uniwersytetu w Cambridge, pisała ostatnio o tym zjawisku w „Gazecie Wyborczej". W jej analizie znalazło się miejsce na odrobinę nadziei, gdy wspomniała o tym, że w związku ze zdalną pracą, która nagle stała się możliwa w tak wielu miejscach, powroty mieszkańców do mniejszych miejscowości wcale nie muszą oznaczać wyłącznie życiowej klęski. I zapewne tak mogłoby być, gdyby władze już teraz zaczęły brać pod uwagę te najpewniej nieuniknione zmiany. Obawiam się jednak, że będzie jak zawsze, skoro zamiast nad „szykowaniem stryszku", władza dyskutuje nad wpuszczaniem dzieci na polowania.

No, chyba że wiedzą znacznie więcej od nas i umiejętności łowieckie będą wkrótce na wagę złota. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 1170/19, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierzu Mullerze, zm. 23 października 2017 r. w Drożdżówce, ostatnio stale zamieszkałym w Domu Opieki Kaśmin w Drożdżówce, gm. Siennica.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 846/19, na skutek wniosku kuratora spadku po Natalii Sękowskiej i po Mirosławie Janie Fabijańskim, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Halinie Zofii Fabijańskiej, zm. 21 października 1993 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałej w Sulejówku; a także po Januszu Grzegorzu Fabijańskim, zm. 6 grudnia 1996 r. w Sulejówku, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

„TP" 13/2020

„Łapki" na znak pokoju

Przeczytałam tekst „Świat w stłuczonym lustrze" Edwarda Augustyna i Artura Sporniaka o Kościele w czasie nadzwyczajnym. Poczułam, że i ja chciałabym się czymś podzielić.
Za mną dwie niedziele mszy świętych online. Czuję się członkinią wspólnoty skupionej wokół ojców misjonarzy Matki Bożej Pocieszenia (Consolata) w Kiełpinie koło podwarszawskich Łomianek, choć nie jest to parafia, tylko kaplica przydomowa. I przyznam się sama przed sobą: od dawna nie czułam uczestnictwa w mszy w taki sposób, jak mając na własnym stole tablet z kamerą nakierowaną na ołtarz. Właściwie byłam przy tym ołtarzu, ciesząc się, że widzę bliskie mi twarze. Uczestniczyło 97 osób (wyświetliło się), w tym mój cioteczny brat z żoną, z którymi zresztą wysłaliśmy sobie „łapki" na znak pokoju. Podobnie Komunia duchowa była dla mnie tak samo ważna jak wtedy, gdy stoję w długim ogonku. Nic mnie nie rozpraszało, podczas gdy w kościele bywa, że pełzające po podłodze dzieci, liżące w dodatku podłogę i drące się czasem wniebogłosy, oraz jeden pan, który chrapie, powodują, że nie mogę się skupić. A może jestem jednak katoliczką wsobną?
Jeden z ojców z Etiopii przypomniał nam też przy okazji, że w jego własnej parafii msze odbywają się trzy, cztery razy w roku i tyleż samo razy udzielana jest Komunia.
I że Kościół jest w nas oraz w naszych domach! O tym my, mający trzy kościoły w zasięgu ręki, nie myślimy nigdy. Uczymy się więc, czym naprawdę jest Kościół powszechny.

ANNA MAZURKIEWICZ

„TP" 13/2020

Starość zaczyna się dziś

Zamieszczone kilka tygodni temu w „Tygodniku" materiały, w których przedstawiono zagadnienia związane ze starością, są ważne i potrzebne. W artykule „Nadciśnienie" Przemysław Wilczyński z wyczuciem próbuje wniknąć w świat seniorów. Z kolei felieton Anny Dziewit-Meller „Sto lat" można potraktować jako glossę do wyżej wspomnianego materiału. Pragnę dorzucić trzy grosze. Moją uwagę zwrócił fragment wypowiedzi socjologa prof. Piotra Szukalskiego: „Część młodych ludzi po prostu nie zna dobrze żadnych seniorów poza swoimi dziadkami, dlatego operują stereotypami". Kluczowe słowo: żadnych. Moim zdaniem ci młodzi ludzie znają bardzo dobrze przynajmniej jedną osobę w wieku senioralnym. Seniorami w tym przypadku są oni sami, tylko czterdzieści lat później. Ci młodzi ludzie powinni sobie to wyobrazić. Potrzebna bywa odwaga, aby rozważnie spojrzeć w przyszłość. Powinniśmy w ramach przeróżnych zajęć kształtować „wyobraźnię gerontologiczną".
Przywołam zdarzenie z prowadzonych przeze mnie zajęć. Otóż przed kilkoma miesiącami poprosiłem moich seminarzystów, aby wyobrazili sobie chwilę, kiedy ukończą czterdziesty rok życia. I niech w tej wyimaginowanej sytuacji odpowiedzą na pytanie, czy przez te czterdzieści lat budowali mosty, czy też ścianę, która izoluje ich od otaczającej rzeczywistości? Kanwą tego pomysłu była czterdziesta rocznica rozpoczęcia sprzedaży albumu „The Wall" Pink Floyd. Słuchacze przyznali, że mają znaczny kłopot w wyobrażeniu siebie za osiemnaście czy siedemnaście lat.
Teraz nadarza się bardzo dobra okazja, by to zadanie domowe odrobić. Otóż zamiast w ramach zajęć online pakować do kanałów komunikacyjnych kolejne i kolejne informacje, poprośmy studentów, by stanęli przed lustrem i zobaczyli się w wieku powyżej sześćdziesięciu lat. Kim wówczas będą, z kim będą mogli porozmawiać, kto do nich zadzwoni, jaki będzie stan ich zdrowia. Trzeba uświadomić młodym ludziom istotną przesłankę – ich starość zaczyna się dzisiaj. To, kim będą za czterdzieści lat, zależy od tego, kim pragną być teraz. Czy tego chcemy, czy nie, nasze drogi prowadzą do starości. Jednak sami możemy je kształtować. Nadszedł niechciany, ale dobry czas na myślenie.

JACEK KACZMAREK

Autorzy opublikowanych listów dostaną od nas notes TUROWICZ na 75-lecie.

PROŚBA O POMOC

Od lat wspieramy Polaków na Wileńszczyźnie. Kurpiowska gmina Kadzidło współpracuje z rejonem solecznickim. Pomagamy tamtejszemu gimnazjum, zespołowi Solcza, gminie Dziewieniszki. Przekazujemy pomoce szkolne, stroje ludowe, książki, lektury, żywność. Odnowiliśmy grób profesora Ordy na wileńskiej Rossie. Zderzamy się z niewyobrażalną biedą, chorymi, samotnymi ludźmi. Szczególnie tragiczny jest los dzieci. Nasi rodacy nigdy nie zapomnieli o Polsce. Pielęgnują pamięć, tradycje, tęsknoty. W przekazywaniu darów uczestniczą uczniowie gminnych szkół. Uczą się wrażliwości i bezinteresowności. Obiecaliśmy powrócić do Dziewieniszek. Rozpoczęliśmy zbiórkę żywności, ale epidemia koronawirusa zniweczyła nasze plany.
Z inicjatywy wicedyrektora Michała Bogdańskiego została zainicjowana zbiórka pieniężna. Wierzymy, że przed Bożym Narodzeniem odwiedzimy Dziewieniszki. Rodacy potrzebują pilnej pomocy. Ufają, że przyjedziemy. Nie możemy ich zawieść. Byłoby to niewybaczalnym zaniedbaniem. Bardzo prosimy o wpłaty. Adres strony: **pomagam.pl/polacynalitwie**. Poprzez stosowne sprawozdanie rozliczymy najdrobniejszy datek.
Z wdzięcznością.

DARIUSZ ŁUKASZEWSKI
wójt gminy Kadzidło

POŻEGNANIE

Ks. Eligiuszowi Piotrowskiemu
składamy wyrazy współczucia z powodu śmierci
Taty
PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

OPINIE

PAŃSTWO POSZŁO W LAS *czyli* RYGORYŚCI I CYKLIŚCI

Nigdy po 1989 roku Polska nie była tak dobrze przygotowana na iluzoryczne zagrożenia i tak słaba wobec faktycznych wyzwań.

KLAUS BACHMANN

Ten sam weekend w Polsce i w Niemczech. Przed moim oknem w Warszawie dwójka policjantów legitymuje i poucza samotnego młodego rowerzystę, którego podejrzewają o jazdę bez „ważnego powodu". Na deptaku przy Wiśle patrole policyjne urządzają zasadzki na rodziny, jeżdżące tam w grupach trzy- i czteroosobowych. Powyżej wału młodzi motocykliści pędzą 160 km/h bez przeszkód na niezbędne zakupy niedzielne. Zamknięto lasy państwowe, parki narodowe, zielone tereny w miastach.

W Polsce w ów weekend było kilka tysięcy ujawnionych przypadków infekcji COVID-19 i mniej niż sto przypadków śmiertelnych przypisanych pandemii. Kilkaset kilometrów dalej, w Niemczech, w tym samym czasie było już prawie 100 tys. zainfekowanych, z których prawie 1500 zmarło. Ale lasy i parki pozostały otwarte, władze wręcz zachęcają ludzi do uprawiania sportu, a policja pilnuje tylko, aby przestrzegali niezbędnego odstępu.

Dla jednych to dowód, że Niemcy są bardziej niefrasobliwi niż Polacy, dla innych, że w Niemczech jest demokracja, a w Polsce jej już nie ma. Kwestia, kto rządzi w każdym z tych krajów, faktycznie nie jest bez znaczenia, ale wcale nie jest najważniejsza. Nie ma w tej chwili wątpliwości, że Polska, będąca w rozwoju pandemii kilka tygodni za Niemcami, reaguje szybciej, ale też częściej wylewa dziecko z kąpielą. Gdyby w Polsce rządziła inna partia niż PiS, byłoby podobnie, bo ta różnica nie wynika z mentalności rządzących, lecz z ustroju państwa. Obecny kryzys mówi więcej o funkcjonowaniu naszych państw niż o mentalności elit politycznych.

Tęsknota za twardą ręką

Na początku kryzysu wydawało się, że gdy trzeba szybko podejmować daleko idące decyzje (zamykanie szkół, zakaz większych zgromadzeń, wysyłanie obywateli na kwarantannę, zamykanie granic), państwa rządzone centralistycznie będą reagowały sprawniej i szybciej niż państwa o rozproszonej władzy. Teraz już wiemy, że ten schemat niczego nie wyjaśnia. Centralistyczna Francja radzi sobie źle, niektóre pozornie bardzo silne państwa o dużej centralizacji władzy, jak Białoruś i Rosja, po prostu ukrywają skalę pandemii w swoich krajach. Równocześnie trudno zaliczyć Stany Zjednoczone (federacja z silną władzą wykonawczą) do tych, którzy wychodzą z kryzysu obronną ręką. Bardzo dobrze radzą sobie centralistyczny Tajwan i skrajnie zdecentralizowane Niemcy, a bardzo źle – zdecentralizowane Włochy i Hiszpania.

Nie chodzi o liczbę chorych i ofiar śmiertelnych w stosunku do całej ludności danego kraju, bo to wypadkowa wielu czynników, na które rządy miały niewielki wpływ. To, ilu ludzi jak szybko się zaraziło, zależało nie tylko od szybkości reakcji państwa, ale też od mobilności obywateli i powiązań danego kraju z najbardziej dotkniętymi regionami, to znaczy z Chinami, a potem Włochami. Statystyki ujawnionych zachorowań i śmierci mówią więcej o wydolności danego systemu opieki zdrowotnej niż o skali pandemii w danym państwie. Ale nie tylko jakość służby zdrowia decyduje o sukcesach i porażkach rządów. Liczy się też siła całego państwa: na ile było przygotowane na wstrząsy, ile ma rezerw i czy może liczyć na to, że decyzje władz zo-

staną przyjęte i wcielone w życie przez obywateli.

Ostatnie trzy dekady po 1989 r. ugruntowały w elitach politycznych i znacznej części zainteresowanych polityką obywateli przekonanie, że Polska jest państwem słabym i trzeba to zmienić. Ten wątek przewija się przez podsłuchy u Sowy i Przyjaciół („kamieni kupa", „państwo teoretyczne") i w słynnym „szarpnięciu cugli" Jana Rokity. Silne państwo ma być państwem umiejącym szybko i brutalnie rozprawić się z tymi, których rządzący identyfikują jako wrogów. Państwem, które wysyła jednocześnie prokuraturę, policję, inspekcję celną, podatkową, sanepid i służby specjalne do rozprawy z „mafią węglową", „obcą agenturą" i „czerwonymi pajęczynami", aby je raz na zawsze rozbić. Wizja atrakcyjna dla rządzących – jednak partie, które przeszły do opozycji, szybko przestały o niej marzyć, kiedy zauważyły, że może obrócić się przeciw nim.

PiS hołduje takiej koncepcji bardziej niż jakakolwiek inna partia, ale tęsknota za rządami silnej ręki pojawia się też w liberalnym centrum, na lewicy i w części ich elektoratów. To jeden z elementów postaw autorytarnych, równie dziś popularnych jak za PRL. W czasach kryzysu każda władza może się o nie oprzeć: wystarczy wskazać wroga i spektakularnie go ukarać, a lud będzie miał satysfakcję i złudne poczucie, że problem został rozwiązany.

W czasach pandemii problem polega jednak na tym, że wirusa nie da się spektakularnie ukarać. Dlatego teraz to pozornie silne państwo kieruje swoją twardą rękę przeciwko nam, obywatelom, stosując restrykcje i kary na oślep, przesadnie, bez widocznego sensu i często nawet osiągając przeciwieństwo tego, co deklarowało jako swój cel.

Polityka we mgle

Dzieje się tak też dlatego, że w ostatnich pięciu latach PiS przygotował państwo na zagrożenia istniejące tylko w fobiach i lękach kierownictwa partii, nieco zapominając o bardziej realnych niebezpieczeństwach. Dlatego mamy Wojska Obrony Terytorialnej, które miały nas chronić przez rozruchami uchodźców, tyle że oni nigdy nie dotarli. Mamy IPN, który może dać odpór

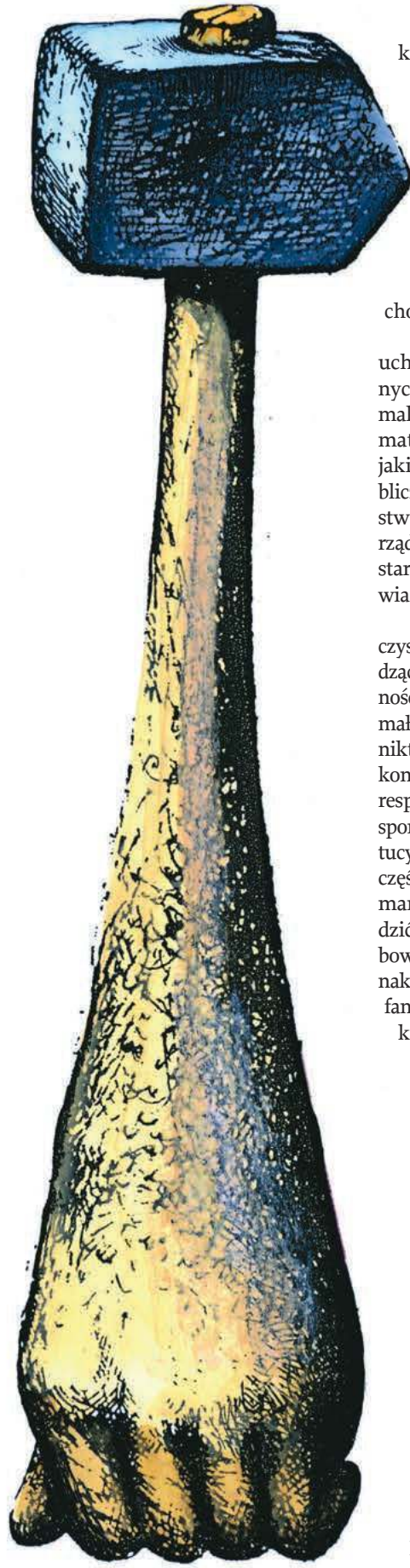

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

każdemu kłamstwu o polskiej historii, ale ma zero wiarygodności poza kręgiem rządzących. W obrębie obozu władzy działają liczne think tanki zajmujące się zagrożeniami ze strony Rosji, Niemiec, UE, Ukrainy, fake newsami, wojną hybrydową i islamistami, ale nie ma żadnego, który by się zajął epidemiami albo chociażby Chinami.

Rządzący ostrzegali nas przed LGBT, uchodźcami i terroryzmem, gdy w innych krajach trwały debaty o powrocie malarii do Europy w wyniku zmian klimatu, o epidemii eboli i wyzwaniach, jakie dla służby zdrowia i finansów publicznych stwarza starzenie się społeczeństwa. Obecna pandemia, jakby na złość rządzącym, łączy wszystkie te elementy: starzenie się, brak reformy służby zdrowia i pustą kasę na wypadek kryzysu.

Mamy silnie scentralizowane, wyczyszczone i opanowane przez partię rządzącą służby specjalne, których wiarygodność w oczach samych rządzących jest tak mała, że kiedy ostrzegały przez pandemią, nikt ich nie słuchał. Teraz, kiedy eskaluje konflikt o wybory prezydenckie, zamiast respektowanego przez wszystkie strony sporu mediatora mamy Trybunał Konstytucyjny postrzegany przez opozycję i dużą część obywateli jako narzędzie rządu do manipulacji prawem. Aby przeprowadzić wybory prezydenckie, rząd potrzebowałby sprawnej Poczty Polskiej, tę jednak przekształcił w technologicznie zacofaną agencję do szerzenia patriotycznego kiczu.

Każdemu, komu przyszłoby rządzić w warunkach pandemii, przydałoby się medium, które w sposób wiarygodny wyjaśnia działania rządu i przedstawia wiarygodne statystyki. Zamiast tego obecny rząd ma TVP, której wiarygodność spadła jeszcze niżej niż jej oglądalność i której audycje albo wywołują politowanie, albo ożywiają teorie spiskowe o zatajeniu lub fałszowaniu przez rząd informacji. Rządzący nie mają wiarygodnych informacji o obywatelach, obywatelom brakuje wiarygodnych informacji o działaniach i intencjach rządzących, w rezultacie polityka zmienia się w jazdę we mgle. Rządzący wydają decyzje naruszane ↦

↦ albo ignorowane przez obywateli, a bezsilni wobec biernego oporu stosują coraz bardziej drakońskie sankcje. Bezradne państwo bierze do ręki ostry miecz i wali nim na oślep.

Państwo bezradne, więc surowe

Koronnym przykładem takiego podejścia były pierwsze restrykcje w marcu. Pokazują one, że szybka reakcja sama w sobie jeszcze o niczym nie świadczy. Mogliśmy w ostatnich tygodniach obserwować rządy, które reagowały wolno i źle (w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Rosji i na Białorusi), i takie, które reagowały szybko, ale równie źle.

Na wieść o pojawieniu się wirusa w Polsce rząd zamknął granice i lotniska. Potem zdał sobie sprawę, że w ten sposób zamyka drogę Polakom, którzy byli już za granicą i którym w krajach, gdzie przebywali, groziły restrykcje miejscowych władz. Po kilku dniach zaczęto wysyłać samoloty LOT-u, aby ich zebrać po całym świecie, zapominając jednak o Polakach w Niemczech, którzy utkwili w gigantycznych korkach przed granicą. Polacy z biletami innych linii niż LOT zamiast do Polski mogli wrócić tylko do ostatniego lotniska przesiadkowego i musieli się przedostać pociągami i busami do granicy polskiej, aby ją przekroczyć pieszo. Mieli o wiele więcej okazji, aby się zarazić, niż gdyby pozwolono im po prostu lecieć do Polski.

O warunkach, w jakich odbyły się repatriacje LOT-em, pisano już wystarczająco dużo, tak samo jak o obywatelach krajów bałtyckich, Czech, Słowacji, Ukrainy i Gruzji, dla których tranzytowa Polska stała się nagle barierą nie do pokonania. Nigdy się nie dowiemy, jak bardzo te decyzje przyczyniły się do rozprzestrzeniania się wirusa, ale możemy to sobie wyobrazić.

Inne kraje o własnych flotach lotniczych stosowały prostszy i skuteczniejszy zabieg: utrzymały regularne loty tak długo, jak kraje docelowe na to pozwoliły, kompensując swoim liniom puste przeloty w jedną stronę i koszty darmowego przebukowania dla pasażerów. W ten sposób obywatele krajów UE szybko i sprawnie dotarli do swoich domów na pokładach samolotów Lufthansy, Air France i KLM, nie mając okazji rozprzestrzenić wirusa w pociągach, busach, na dworcach albo na zakorkowanych granicach.

W Niemczech kwarantanną objęto tylko powracających z krajów dużego ryzyka i tych, którzy albo mieli bliski kontakt z chorym, albo sami mieli symptomy choroby i pozytywny wynik testu. W Polsce testowano mało, ale wysłano na kwarantannę każdego powracającego, obojętnie skąd przybył i czy miał jakiekolwiek symptomy. W rezultacie liczba ludzi podlegających izolacji wielokrotnie przekroczyła możliwości policji i sanepidu. Przepisy tak szybko się zmieniały, że policjanci nie nadążali i sanepid zaczął błędnie obliczać okres odosobnienia, wysyłając niektórych (zdrowych) obywateli na kwarantannę podwójną, podczas gdy do innych obywateli nią objętych nigdy żaden policjant nie zapukał.

30 marca rząd zauważył, że system stał się fikcją, ale zamiast dopasować restrykcje do realnych możliwości państwa, zaostrzył je, dodatkowo obciążając pracowników służb: od 1 kwietnia kwarantannie zaczęły podlegać też osoby mieszkające z powracającymi z zagranicy. Im bardziej bezradne jest to państwo, tym surowiej traktuje swoich obywateli.

PiS doprowadził do skrajności system nocnego uchwalania nieprzemyślanych i wewnętrznie sprzecznych przepisów, które potem natychmiast trzeba nowelizować – zapewne dlatego, że jego politycy uważają gotowość do konsultacji i kompromisów za oznakę słabości. Na naszych oczach powstają teraz przepisy nieżyciowe, kontrproduktywne, tak szybko nowelizowane, że dzienniki urzędowe nie nadążają z publikacjami. Decyzja o zamykaniu lasów zapadła już tylko ustnie i została niemal natychmiast ustnie „znowelizowana".

Rząd nie musi zatajać danych o pandemii ani nimi manipulować. Wystarczy dalej prowadzić obecną politykę, a sami obywatele zadbają o to, aby liczba ujawnionych zachorowań była maksymalnie niska.

Ta polityka ma swoje ukryte koszty. Im więcej restrykcji i kar państwo nakłada na „podejrzanych" obywateli, tym bardziej zachęca ludzi, którzy obserwują u siebie symptomy wirusa, do ukrywania swojego stanu. W tej chwili obywatel polski z umiarkowanymi symptomami nie ma żadnej zachęty, aby się zgłosić do służby zdrowia. Dowie się ewentualnie (jeśli zakwalifikuje się do testu), czy jest nosicielem wirusa, czy nie, ale ta wiedza mu nic nie da, bo leków i tak jeszcze nie ma, a w przypadku pozytywnego wyniku czeka go mnóstwo nieprzyjemnych konsekwencji: 14 dni kwarantanny dla niego i wszystkich domowników, drakońskie kary za jej naruszenie, nachodzenie przez policję, inwigilacja za pomocą aplikacji (zgromadzone przez nią dane służby specjalne mogą jeszcze przez 6 lat wykorzystać). Jeśli natomiast swoje podejrzenia zachowa dla siebie, stwarzając tym samym zagrożenie dla otoczenia, ze strony państwa nic niemiłego go nie spotka.

Innymi słowy: rząd nie musi zatajać danych o pandemii ani nimi manipulować. Wystarczy dalej prowadzić obecną politykę, a sami obywatele zadbają o to, aby liczba ujawnionych zachorowań była maksymalnie niska. W ten sposób rząd udaje, że walczy z wirusem, obywatele udają, że przestrzegają przepisów, chorzy udają, że są zdrowi, tylko dla ludzi z grup ryzyka to zbiorowe udawanie może być śmiertelne. Ma ono długie tradycje: zepchnięcie problemów społecznych do podziemia przy jednoczesnym udawaniu, że ich nie ma, i epatowaniu własną moralnością znamy dobrze z polityki wobec uzależnień i aborcji. Jest jednak różnica: podziemie aborcyjne i narkotykowe nie zagraża ludziom poza nim. Podziemie wirusowe będzie śmiertelne dla wielu.

Zaufanie się opłaca

Nigdy po 1989 roku państwo polskie nie było tak dobrze przygotowane na iluzoryczne zagrożenia i tak słabe wobec faktycznych wyzwań. PiS się przyczynił do mnożenia nierealnych scenariuszy, ale przy obecnym ustroju każdy inny rząd też poległby w walce z pandemią. Polska jest państwem scentralizowanym, w którym decyzje w czasach kryzysu zapadają na najwyższym szczeblu, daleko od ludzi, którzy muszą je wcielić w życie, i daleko od obywateli, których dotykają. Mogło wyglądać niepoważnie, kiedy kanclerz Merkel negocjowała z szefami rządów krajów związkowych, czy wprowadzić godzinę policyjną, w końcu jednak zapadła decyzja (negatywna) dopasowana do potrzeb wszystkich krajów niemieckich i ich specyfiki. Decyzja, która może być przestrzegana przez obywateli przekonanych o jej użyteczności.

Silne państwo jest silne nie dlatego, że może karać, ale przede wszystkim dlatego, że cieszy się zaufaniem obywateli, wobec tego karać musi tylko w wyjątkowych przypadkach i nigdy na oślep. Z takim zaufaniem mamy w Polsce problem niemal od zawsze. W Niemczech większe jest nie tylko zaufanie obywateli do instytucji państwa, ale też zaufanie wewnątrz elit politycznych. Negocjując kwestię godziny policyjnej, Merkel rozmawiała z czołowymi politykami opozycji, którzy rządzą kilkoma z krajów związkowych – i potem wszyscy zgodnie bronili ustalonych wspólnie restrykcji. System federalny zadziałał jak rząd jedności narodowej.

To ma swoje skutki w życiu codziennym. Obecnie rząd Niemiec promuje aplikację mobilną, która ustala, z kim miała kontakt osoba zarażona, i informuje o tym anonimowo tych ludzi. Wtedy mogą zdecydować, czy przeprowadzić test. W Niemczech dostęp do testów jest stosunkowo łatwy, a warunki kwarantanny łagodne i dostosowane do warunków mieszkaniowych. Obywatel niewiele ryzykuje, instalując tę aplikację, tym bardziej że prześwietliły ją organizacje zajmujące się ochroną praw obywatelskich. W Polsce, gdzie warunki kwarantanny są ciężkie, kary wysokie i testów jest mało, rząd najpierw lansował podobną aplikację jako dobrowolną, a po dwóch tygodniach narzucił ją jako obowiązkową, choć działa na tyle niesprawnie, że łatwo ją oszukać.

Pomocniczość, głupcze

Polski rząd może się łudzić, że pandemia spowodowała wzrost poparcia dla partii rządzącej i jej kandydata na prezydenta, ale pod powierzchnią widać oznaki buntu. Po pierwsze, ten wzrost poparcia jest w Polsce znacząco niższy niż w wielu innych krajach europejskich. Po drugie, obywatele odmawiają przyjęcia około jednej czwartej mandatów nałożonych przez policję w związku z pandemią, a po trzecie, sondaże kilku ośrodków badawczych z ostatnich tygodni pokazały, że największą niechęć respondentów budzą obecnie trzy grupy ludzi: ci, którzy ignorują zalecenia mające chronić innych, członkowie episkopatu i członkowie rządu. A od ostatniej rocznicy 10 kwietnia w Warszawie tych ostatnich już można zaliczyć do pierwszej grupy.

Obecna sytuacja w Polsce – w warunkach państwa centralistycznego – wręcz woła o tworzenie ponadpartyjnego rządu. Zamiast tego mamy głębszy niż kiedykolwiek spór o datę wyborów i sposób ich przeprowadzenia oraz mniejsze niż kiedykolwiek zaufanie między politykami przeciwnych obozów. Ale to też konsekwencja ustroju. W Niemczech Merkel nie może skutecznie rządzić bez konsultacji z krajami związkowymi (a one nie mogą rządzić bez konsultacji z samorządami), bo jej decyzje byłyby albo nielegalne, albo bojkotowane na niższych szczeblach.

W Polsce premier mógłby też się konsultować, ale ustrój państwa go do tego nie zmusza. No i mamy zakaz wstępu do lasu i zamykanie bulwarów na poziomie rządu centralnego, a potem się okazuje, że w niektórych miastach są parki i bulwary, które stanowią najkrótszą drogę między osiedlami a miejscami pracy i ich otwarcie zapobiegłoby powstaniu kolejek i tłumów w tramwajach. Nikt inny poza rządem nie mógł podjąć decyzji o zamykaniu granic i lotach ewakuacyjnych – ale ani ustrój, ani prawo nie zakazały konsultowania tego z ekspertami i partnerami zagranicznymi.

> Decyzje powinien podejmować ten, kto ma najwięcej informacji i kompetencji. A premier nie wie, jakie funkcje pełni deptak w Kielcach albo las w Koniecpolu.

Silne państwo to państwo przyjazne wobec obywateli, które może liczyć na ich zaufanie. Nic temu tak nie sprzyja jak przestrzeganie zasady pomocniczości, zgodnie z którą decyzje powinien podejmować ten, kto w danej sprawie ma najwięcej informacji i największe kompetencje. A premier nie wie i wiedzieć nie musi, jakie funkcje pełni deptak w Kielcach albo las w Koniecpolu. Jeśli mimo to podejmuje w takich kwestiach decyzje bez konsultacji, ryzykuje, że dotrą one w sposób zniekształcony do adresatów i nie będą przestrzegane. Możemy to właśnie obserwować. W sprawie lasów, parków i ścieżek rowerowych rząd podejmował odgórną, pospieszną decyzję, aby ograniczyć rozprzestrzenianie się wirusa. Na dole, do policjantów, dotarła ona jednak (i niektórzy mówią to wprost dziennikarzom) jako polecenie, aby ukrócić „przemieszczanie się ludzi".

Dlatego pod moim oknem policjanci pouczają samotnych rowerzystów, którzy nikogo zarazić nie mogą. Ta mała scena to nic dramatycznego. W tej chwili jednak miliony podobnych scen rozgrywają się w całym kraju, a ich rezultat może być taki, że ci rowerzyści stracą tak mozolnie przez dekady zbudowane zaufanie do policji (jedno z największych osiągnięć wszystkich rządów III RP), albo że policjanci przestaną stosować represje, w których nie widzą sensu. W obu przypadkach państwo będzie jeszcze słabsze.

© KLAUS BACHMANN

WIARA

KOŚCIÓŁ NA KWARANTANNIE

Nikt nas nie uczył duszpasterstwa stanów nadzwyczajnych. Ale już widać, że przemycanie za wszelką cenę przeszłości nie ma sensu.

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

Duszpasterska działalność Kościoła nie jest – a przynajmniej: nie powinna być – zawieszona w teologicznej próżni. Zależy od dwóch czynników: od tego, jak Kościół rozumie zbawienie, i od tego, jak pojmuje swoją rolę w zbawianiu człowieka. W teologii pastoralnej nazywa się to pośrednictwem zbawczym. Zamknięcie świątyń ujawniło, jak różnie rozumiane jest to pośrednictwo zbawcze, a zwłaszcza rola sakramentów i kapłanów. Jedni uznali, że narzucone Kościołowi regulacje to tylko czasowe, zewnętrzne ograniczenia. I starali się – jak tylko mogli – podtrzymywać duszpasterstwo w dotychczasowej formie. Drudzy rozpoznali tę sytuację jako teologiczny *kairos*, który może stać się szansą i okazją do weryfikacji dotychczasowego myślenia.

Przymusowa kenoza

Epidemia COVID-19 zbiegła się z Wielkim Postem. Paradygmat postu, pustyni, kenozy, izdebki, w której to „Pan widzi w ukryciu", narzucał się sam. Początkowo jednak wydawało się, że nie trzeba wiele zmieniać. Owszem, frekwencja trochę spadła, poczucie lęku przed nieznaną chorobą wzrastało. Jeszcze wtedy, gdy ograniczono zgromadzenia religijne do 50 osób, próbowano utrzymywać zwyczajne duszpasterstwo. Wciąż ogłaszano terminy spowiedzi, nabożeństwa Gorzkich Żali i Drogi Krzyżowe, gdzieniegdzie tylko odwoływano rekolekcje. Korekty były natury sanitarnej: usunięcie wody święconej, komunia na rękę – tu higiena silnie łączyła się z teologią – czy zalecenie częstszego dezynfekowania konfesjonałów zaopatrzonych w folie. Rzeczywisty problem pojawił się w momencie, gdy religijne zgromadzenia ograniczono do pięciu osób, a potem uświadomiono sobie, że ten liturgiczny *numerus clausus* obowiązywać będzie także w Wielkim Tygodniu i na samą Wielkanoc. To w tym momencie epidemia stała się prawdziwym duszpasterskim wyzwaniem.

Biskupi zaakceptowali sytuację, którą abp Stanisław Gądecki w orędziu wygłoszonym przed Wielkim Tygodniem określił słowami: „Na tej drodze – na której wierni zostali pozbawieni możliwości bezpośredniego dostępu do Eucharystii i sakramentów – obudziliśmy się nagle z głodem Eucharystii". Stwierdzenie to korespondowało z decyzjami Watykanu dotyczącymi przebiegu liturgii Wielkiego Tygodnia, ze szczegółowymi zarządzeniami biskupów, z przypomnieniem przez teologów praktyki komunii duchowej i żalu doskonałego. Odwołano spowiedzi wielkanocne, zamknięto drzwi świątyń na obrzędy Triduum Paschalnego, przypomniano, że obowiązek komunii wielkanocnej można w Polsce spełnić aż do uroczystości Trójcy Świętej. Nastał czas, który określiłem mianem „chrześcijaństwa ↦

JAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA

Błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem w Nidku koło Andrychowa, 5 kwietnia 2020 r.

nidex trans
KWA 28635

↦ bezliturgicznego", gdy wierni – z małymi wyjątkami – zostali pozbawieni bezpośredniego udziału w liturgii Kościoła.

Liturgia domowa

Pierwszym i najpowszechniejszym sposobem kontynuacji dotychczasowego duszpasterstwa były transmisje telewizyjne, radiowe czy internetowe, które po raz kolejny sprowokowały dyskusję o możliwości transmitowania liturgii. Punktem zapalnym dyskusji stało się słowo „udział", które rozumiane było bardzo różnie: już to jako obecność fizyczna w miejscu, już to jako łączność duchowa. Czy łączność duchowa wystarczy, by „uczestniczyć"? Nie miejsce tutaj, aby przywoływać wszystkie przytaczane w dyskusji argumenty za i przeciw. Dość powiedzieć, że pojawili się także tacy teologowie, którzy gotowi byliby równoważyć obie formy uczestnictwa: bezpośredniego i pośredniego.

Dobrze jednak przypomnieć to, co powiedział we wspomnianym orędziu abp Gądecki: „Nie da się transmitować wiary, nadziei i miłości, przekazywanej przez żywą liturgię Kościoła". Transmisja stanowi ważną duchową pomoc, ale nie zastąpi ani liturgii, która dokonuje się w miejscu, skąd jest transmitowana, ani żywej modlitwy tego, kto pozostaje w domu. Oglądanie to jedynie i aż środek ułatwiający modlitwę, ale jeszcze modlitwą nie jest. W tym kontekście powstało wiele różnych propozycji – także propagowanych przez samych biskupów – przeprowadzenia domowych liturgii Triduum Paschalnego. Proponowano m.in. czytanie opisów Męki Pańskiej z podziałem na role, wielkoczwartkowe mycie nóg, czyli obrzęd *mandatum* spełniany w rodzinie, wielkopiątkową adorację domowego krzyża, wielkosobotnie odnowienie przyrzeczeń chrzcielnych czy liturgię światła.

Propozycje te uświadomiły nam – chyba bardziej niż transmisje mszy – że liturgia jest ostatecznie nietransmitowalna, że oglądanie filmu o znaku nie jest tym samym, co czynienie znaku, oglądanie nie jest formą współdziałania. Zaproponowano więc – prócz oglądania znaków – ich czynienie w domu. Dało to świeckim doświadczenie liturgicznego upodmiotowienia. Soborowa Konstytucja o liturgii mówi bowiem, że w liturgii „Mistyczne Ciało Jezusa Chrystusa, to jest Głowa ze swymi członkami, sprawuje pełny kult publiczny" (7). Podmiotem liturgii nie jest wyłącznie szafarz święcony, czyli – nieco upraszczając – ksiądz, ale cały Kościół jako Mistyczne Ciało, którego członkowie sprawują liturgię adekwatnie do kompetencji, jaka wynika z powszechnego kapłaństwa. Przypomnieliśmy sobie więc, że świeccy też są liturgami.

Klerykalizm objawia się także w przekonaniu, że Jezus jest tylko tam, gdzie są sakramenty, a sakramenty tam, gdzie kapłan.

Święconka z Messengera

Że może to być świadomość niełatwa dla obu stron: duchownych i świeckich, najlepiej pokazała kwestia poświęcenia pokarmów na stół wielkanocny, które dotąd dokonywało się w kościołach czy pod krzyżem bądź kapliczką. Biskupi zgodnie proponowali, aby pobłogosławienie pokarmów odbywało się w domach, a szafarzami obrzędu stali się ojcowie rodzin – choć nic nie stoi na przeszkodzie, by były to także kobiety. Nie wszędzie ta decyzja spotkała się ze zrozumieniem, i to z obu stron. Sam otrzymałem kilka próśb, by pobłogosławić koszyczek za pomocą Messengera. Ludzie byli gotowi stawiać pokarmy przed telewizorem i czekać na ich pobłogosławienie przez ekran, byleby to zrobił ksiądz. Czy uważali, że ich własna modlitwa będzie niewystarczająca, nieskuteczna, czy może czuli się niegodni, by ją sprawować?

Nie zabrakło także duchownych, którzy uznali, że nie mogą pozostawić wielkanocnych koszyczków bez pokropienia wodą święconą. Stosowano różne metody: samotny spacer z kropidłem, poświęcenie z roweru, przejażdżka kabrioletem, bryczką czy wozem strażackim. Wcale się nie dziwię, że akcje te spotkały się z zadowoleniem wiernych. Czy jednak – jak mnie przekonywano – „wzruszenie na twarzach" jest wystarczającym argumentem? Staram się zrozumieć motywacje podejmujących podobne działania księży. Ich – piszę: ich, wszak sam nie jestem proboszczem – kontakt z parafianami został nagle radykalnie ograniczony, by nie powiedzieć – uniemożliwiony. Wewnętrzne niepogodzenie się z myślą, że parafianie mogą się poczuć opuszczeni przez swojego proboszcza, motywowało ich do poszukiwania takich form, które przeczyłyby tezie o księżach, którzy pozamykali się na plebaniach.

Podłącz proboszcza

Jedni bazowali na tradycyjnych, inni szukali nowych metod. Kiedy zbliżał się Wielki Tydzień, otrzymywałem coraz więcej próśb, by subskrybować kolejny kanał transmitujący mszę świętą. Nie zdziwiła mnie taka prośba, gdy dostałem ją od zaprzyjaźnionego kapłana, który duszpasterzuje wśród katolików języka hebrajskiego. Ale czy każda parafia musi teraz mieć liturgię online? Można by argumentować, że przecież wystarczą transmisje przygotowywane przez telewizję publiczną czy stacje komercyjne. Ich liczba i zróżnicowane pory powinny zaspokoić potrzeby wszystkich katolików. A jednak nie.

Jeden ze znajomych proboszczów, który nie jest wielkim fanem technologii, powiedział mi, że sam nie widział potrzeby organizowania transmisji z własnego kościoła. Uświadomili mu to jednak jego parafianie, którzy stwierdzili, że – owszem – msza jest mszą, gdziekolwiek by nie była odprawiana, ale oni chcą widzieć swojego proboszcza. Niektórzy poszli dalej, rozwijając różnego rodzaju formy duszpasterstwa internetowego, jak transmisja prowadzonej adoracji, tele-Żywy Różaniec czy wspólnotowe rozważanie słowa Bożego bądź modlitwa Liturgią Godzin za pomocą różnego rodzaju komunikatorów. W ten sposób wytwarzała się telewspólnota, której członkowie byli razem, choć osobno. Byli do siebie „podłączeni". Kanadyjski uczony Derrick de Kerckhove nazwał ten wymiar internetu mianem *connectivity* (konektywność). To właśnie konektywność internetowa stała się technologią, dzięki której zaczęto kreować nowy wymiar wspólnoty parafialnej. Konektywność stała się drugą – obok liturgii domowej sprawowanej w ramach kapłaństwa powszechnego – praktyczną odpowiedzią Kościoła na czas bezliturgiczny.

Kapłan na peryferiach

Nie wszyscy jednak duchowni uznali taką obecność za wystarczającą. Żeby

zademonstrować swoją bliskość z wiernymi, organizowali różnego rodzaju „procesje” z Najświętszym Sakramentem. Jedną z form było „oblatywanie” parafii z monstrancją na pokładzie samolotu. Organizowano także objazdy bądź obchody granic parafii czy poszczególnych ulic. Tak, zdaję sobie sprawę z dobrych intencji pomysłodawców tych inicjatyw. Sam pisałem na portalu „Więzi” na początku epidemii: „Proboszcz za oknem z monstrancją w ręku może być dla kogoś większą pociechą niż kilka godzin transmisji z najświętszego nawet miejsca. Może to jest właśnie pasterz na peryferiach, ten, który chce być blisko swoich owiec?”.

Z drugiej jednak strony nie można nie zauważyć, że ta gorliwość często ignorowała prawdę teologiczną dni Triduum Paschalnego. I tak, w Wielki Czwartek Kościół raczej ukrywa Najświętszy Sakrament, niż go odsłania, gdyż w miejscu adoracji Eucharystia zamknięta jest w puszce i schowana do tymczasowego tabernakulum. To nie jest dzień do wynoszenia Najświętszego Sakramentu w monstrancji poza kościół. Podobnie w Wielką Sobotę, gdy Kościół – o czym Watykan przypomniał – pozwala wyłącznie na zanoszenie komunii umierającym. Owszem, wystawia się Najświętszy Sakrament w Grobie Pańskim, ale z jakąkolwiek procesją Kościół czeka aż do Zmartwychwstania, co zresztą miało miejsce także w tym roku, gdy przepisy nakazywały wyjść przed budynek świątyni i pobłogosławić parafię. Powoływanie się na średniowieczne procesje jest ignorowaniem faktu, że od Rytuału Rzymskiego z roku 1614 procesje błagalne winny być organizowane bez Najświętszego Sakramentu. Na koniec dobrze jeszcze przypomnieć, że Kodeks Prawa Kanonicznego zastrzega biskupowi diecezjalnemu prawo do określania, w jaki sposób winien być sprawowany kult Eucharystii w formie procesji (kan. 944).

Najbardziej znaczącym doświadczeniem wiernych jest w ostatnich tygodniach nieobecność (na) Eucharystii. Niektórzy duchowni próbowali tę nieobecność rekompensować, choćby mszami „na zapisy”, pomysłami organizowania liturgii jak w kinie samochodowym czy w wynajętym autobusie. Nawet gdy te pomysły się udawały, to jednak dawały one zaspokojenie tylko niektórym i niewielu. Większość parafian od dłuższego czasu jest w stanie przymusowego postu eucharystycznego. Pytanie, jak dzielić z nimi ten głód, kiedy samemu jest się w stanie eucharystycznego zaspokojenia, nie jest łatwe. Przykład, jaki dali kapłani sprawujący liturgię w Wielki Piątek w świątyni Opatrzności Bożej, jest radykalny: powołując się na przykład św. Augustyna, powstrzymali się od przyjęcia Ciała Eucharystycznego i w duchu solidarności ze wszystkimi pozostającymi w domu przystąpili do komunii duchowej. Wiemy, iż z racji ściśle teologicznych nie jest to przykład do naśladowania w każdą niedzielę kwarantanny.

Internet czy żal doskonały?

Kościół katolicki ma strukturę sakramentalną, co ma konsekwencje także dla kultu, modlitwy i liturgii. Istotne jest jednak, aby nie pomylić sakramentalności Kościoła z sakramentalnym i liturgicznym klerykalizmem. Objawia się on w przekonaniu, że Jezus jest tylko tam, gdzie są sakramenty, a sakramenty tam, gdzie kapłan. W ostatnim czasie niejednokrotnie przypominano, że Bóg nie jest związany sakramentami i ma inne drogi zbawienia. Do tego należałoby dodać, że życie chrześcijańskie – choć jego fundamentem są sakramenty – nie ogranicza się do uczestnictwa w ich sprawowaniu.

Liturgiczność naszego życia katolickiego ma pewien efekt uboczny, jakim jest zapomnienie o innych formach duchowości, życia wewnętrznego, pobożności, która nie zamyka się w liturgii. Niemożność udziału w sakramentach pokazała, że o wielu źródłach naszej duchowości i formach pobożności zapomnieliśmy. Zapomnieliśmy także o wielu sposobach obecności Jezusa, jak choćby w słowie Bożym czy w aktach miłości bliźniego. Jestem przekonany, że w trakcie epidemii niektórzy po raz pierwszy usłyszeli o pozasakramentalnych sposobach odpuszczenia grzechów powszednich, że o żalu doskonałym czy duchowej komunii nie wspomnę, a są to stare dary Kościoła.

Kwestia święconki pokazała w sposób niemalże karykaturalny, jak bardzo klerykalną mamy wizję Kościoła. Niektórzy uznali, że bez księżowskiego pokropienia ani rusz. A była to szansa przeniesienia „święconki” do domu, uczynienia z niej obrzędu rodzinnego i uwolnienia ciszy Wielkiej Soboty od gwaru. Także dyskusja o możliwości zapośredniczonego uczestnictwa w sakramentach pokazała, że nie należy pomylić „dostępu do księdza” z „dostępem do łaski”. Jak powiedział kard. Antonio Marto, biskup Fatimy, „w nagłych przypadkach nie mam nic przeciwko spowiedzi poprzez wideorozmowę, ale uważam taką spowiedź za niepotrzebną. Duch Święty bowiem może działać na wiele sposobów, niekoniecznie poprzez sakramenty”. Mówiąc inaczej: taka spowiedź byłaby technologicznie możliwa, ale czy teologicznie potrzebna? Jak się wydaje, odpowiedzi, jakie formułuje Stolica Święta, idą w stronę teologicznej bezzasadności takiej praktyki. Ale – jak mi powiedział kiedyś pewien duchowny, z którym o tym dyskutowałem – łatwiej o internet niż o żal doskonały. ↦

POŻEGNANIE

Zawiadamiamy, że 7 kwietnia 2020 roku w wieku 89 lat odeszła na wieczny spoczynek

Kochana Żona, Mama, Babcia, Prababcia

Ś.† P.

prof. dr hab. Aurelia Polańska

Ceremonię pogrzebową z cmentarza Witomińskiego można obejrzeć pod linkiem: https://youtu.be/NFWdf8f4GG4

Pogrążona w smutku

RODZINA

Zbawienie w izdebce

Duszpasterstwo czasu pandemii jest dużo trudniejsze niż w zwyczajnych okolicznościach. Powiedzmy sobie szczerze: wielu wiernych całe świętowanie Zmartwychwstania ograniczyło do „pójścia na mszę" na Wielkanoc, czasami poprzedzając to spowiedzią. Jak świętować, gdy podstawowa, a czasami jedyna forma świętowania stała się niedostępna? Nie chodzi tu jednak o „technologię duszpasterstwa", ale o teologię duszpasterską. Teologia pastoralna, zwana praktyczną, nie zajmuje się dostosowywaniem pomysłów do okoliczności. W ten sposób rodzą się jedynie „sprawni" duszpasterze, który potrafią szybko wymyślić dostosowawcze strategie.

Facebookowy komentarz jednego z kapłanów do któregoś z bardziej szalonych pomysłów duszpasterskich zaczynał się od słów „Zastanawiałem się, co tu zrobić...". I to jest właśnie błąd. Przed pomyśleniem, co zrobić, trzeba najpierw się zastanowić, co to znaczy być Kościołem w takim nietypowym czasie i jak w takim czasie rozumieć zbawienie. Bóg ciągle zbawia, ale teraz – jak zresztą zapowiadał na początku Wielkiego Postu – czyni to w izdebce, w ukryciu, wśród ludzi, którzy żyją bardziej pragnieniem niż zaspokojeniem. W izdebce jest jednak inaczej niż w świątyni czy na placu. Inaczej też musi objawić się tam i Kościół, i kapłan.

Nie wiemy, jak długo potrwa epidemia. Nie wiemy, kiedy i jakie regulacje zostaną zniesione. Nie wiemy, kiedy zniknie lęk, który motywuje raczej do pozostania w izdebce niż do wyruszenia do świątyni. Nie wiemy, jak długo nasze życie wiary będzie się dziać w ukryciu. I kto wie, czy epidemia to nie jest tylko katalizator zmiany, która i tak miała nastąpić. Dokonujące się zmiany mogą być nieodwołalne. „Zawsze tak było" właśnie przestaje być aktualne. Nie da się już przemycać kościelnej przeszłości.

© KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

Autor jest księdzem diecezji zielonogórsko-gorzowskiej, teologiem, profesorem Uniwersytetu Szczecińskiego i Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".

ALEKSANDRA SZMIGIEL / REPORTER

Spowiedź wielkanocna na parkingu świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie, 10 kwietnia 2020 r.

Przedłużone rekolekcje

MARIUSZ SEPIOŁO

Kiedy na wsi instytucja Kościoła przestaje działać normalnie, w życiu wiernych i księży zmienia się niemal wszystko.

Parafia na prowincji wciąż znajduje się w centrum lokalnego życia. Przedsięwzięcia inicjowane przez Kościół są często jedynymi, wokół których mieszkańcy mogą się zebrać. To przy udziale parafii odbywają się dożynki, dni wsi i gminy, koncerty, spotkania i wydarzenia sportowe. Kobiety organizują się przy przystrajaniu kościoła na różne okazje. W przypadku wielu ludzi jedyną społeczną funkcją, jaką pełnią, jest udział w radzie parafialnej.

Zrobiło się nerwowo

Są parafie, w których życie w czasie pandemii się zatrzymało. Odwoływane są chrzty, śluby, przerywane kursy przedmałżeńskie. Zapadają też decyzje o przełożeniu pierwszych komunii i bierzmowania, co nie wszystkim się podoba. W wielu miejscach aż buzuje.

– U nas ksiądz już ogłosił, że prawdopodobnie pierwsza komunia zostanie przełożona. Ale nie wiemy na kiedy. Na razie do rodziców zadzwoniła pani katechetka i powiedziała, że o komunii na wiosnę trzeba raczej zapomnieć – mówi Agnieszka z jednej z małych parafii pod Płockiem. – Od razu posypały się esemesy od znajomych: że mają już pokupowane alby, wynajęte knajpy na imprezy, że dzieciaki płaczą, bo spodziewały się święta. Tak jakby najważniejsze dla ludzi były imprezy, nie sakrament. Generalnie ludziom się wydaje, że cała ta epidemia na pewno niedługo przejdzie, więc nie trzeba nic przekładać.

Dodaje: – Epidemia, zamiast ludzi zjednoczyć, znowu podzieliła. We wsiach naokoło ludzie źle patrzą na tych, którzy chodzą w niedzielę do kościoła. I odwrotnie: ten, co nie chodzi, jest gorszym katolikiem. Od starszej sąsiadki usłyszałam: „Taka pani mądra, do sklepu chodzi, a do kościoła nie?". Przeprowadziłam się na wieś, bo myślałam, że tu będzie sielanka. A tutaj jak się wchodzi do kościoła, to jedna połowa obserwuje, jak jesteś ubrana, a druga połowa odwraca głowy, żeby nie musieć skinąć na „dzień dobry".

Proboszcz w podpoznańskich Wirach w sobotę przed Wielkanocą święcił pokarmy, jeżdżąc samochodem z odkrytym dachem. W parafii w Szaflarach na Podhalu proboszcz organizował przed świętami akcję „Komunia Święta do domu".

Ustalił, do których domów i kiedy dotrze z sakramentem. Wielu mieszkańców było oburzonych, część księdza nie przyjęła. Wsie podzieliły się na tych, co „za", i na tych, co „przeciw".

Padło na księdza

Proboszcz Henryk Borzęcki z małej parafii w Białopolu pod Chełmem odprawił mszę 9 marca. Niedługo później źle się poczuł. Sam zgłosił się do szpitala w Chełmie. Miał w tym doświadczenie, bo wiele lat chorował ciężko na oskrzela. Objawy nie wskazywały na zakażenie koronawirusem, więc księdza umieszczono na oddziale pulmonologii. Lekarze przeprowadzili test i potwierdzili, że w wyniszczonym organizmie jest wirus. Zapadła decyzja o transporcie do szpitala w Puławach. Tam stan księdza się pogorszył. Zmarł 24 marca nad ranem.

Kościół parafialny został odkażony. Mieszkańcy modlili się za zdrowie kapłana. Zachodzili w głowę: jak to możliwe? Przypuszczają – jak podaje lubelska „Gazeta Wyborcza" – że mógł się on zarazić od osoby z Włoch, która była obecna na jednym z pogrzebów. A że długo chorował, mógł być osłabiony. Wirus nie wybiera – padło na proboszcza, który stanowisko piastował od 1991 r.

Henryk Maruszewski jest wójtem Białopola od 1994 r. Z księdzem znali się bardzo dobrze, współpracowali. Wójt podkreśla, że chociaż stała się tragedia, to dziś już życie w gminie toczy się jak w każdej innej. Paniki nie ma. Strach był może na początku, kiedy kolejne wyniki wracały pozytywne, m.in. u organistki czy kierowcy busa pracującego dla gminy. Urząd został zamknięty, 25 osób, w tym wójt, trafiło na kwarantannę.

– Mieszkańcy trzymają się podstawowych zasad bezpieczeństwa, zachowują odstępy w sklepach, nie przemieszczają się, noszą rękawiczki i maseczki. Poza tym rolnicy jak co roku pracują na polach – mówi Maruszewski. – Życie musi toczyć się dalej, także w parafii. Od dziekana otrzymałem decyzję, że do czasu wyboru nowego proboszcza liturgię w naszym kościele będzie sprawował ksiądz z sąsiedniej parafii w Buśnie.

W Wielkim Tygodniu i podczas świąt parafianie ściśle przestrzegali ograniczenia mszy do pięciu osób. Teraz czekają na nowego proboszcza. Na razie administratorem jest ks. Piotr Rawlik z Buśna. – Przy kościele w Białopolu wywiesiłem ogłoszenie, że we wszystkich sprawach można się zgłaszać do mnie. I parafianie chętnie z tego korzystają. Zamawiają intencje mszalne w Buśnie, załatwiają sprawy administracyjne, a od niedzieli także kościół w Białopolu wraca do normalnego funkcjonowania. Ja biorę na siebie odprawianie mszy św. Każdemu służę pomocą. Podczas kwarantanny w Białopolu nasz kościół był dla wszystkich otwarty. Parafianie z Białopola do nas przyjeżdżali, w końcu to tylko trzy minuty drogi – mówi ks. Rawlik.

Z rezerwacją

Ks. Zbigniew Wyka, proboszcz parafii Matki Boskiej Bolesnej w Mierzynie w województwie zachodniopomorskim, nie chciał czekać na koniec kryzysu. W Niedzielę Palmową zorganizował... 46 mszy. Liturgie odbywały się co godzinę w kościele, dwóch namiotach oraz w sali na plebanii. Na msze trzeba było rezerwować miejsca, by podczas każdej z nich liczba wiernych nie przekroczyła pięciu osób. Rezerwacje szybko się wyczerpały. Tego dnia do kościoła z palmami mogło więc przyjść łącznie 230 osób.

– Rezerwacje rozeszły się w ciągu kilku dni. Było trochę hejterskich komentarzy, zawsze znajdą się ludzie, którym nic się nie podoba. Ale sporo było też pozytywnych głosów – wspomina Grzegorz Krakowiak, który opiekuje się stroną internetową i fanpage'em parafii na Facebooku. – Myślę, że cała ta sytuacja spowoduje duży przypływ wiernych. Ludzie widzą, że proboszcz im pomaga w taki ludzki sposób. Może staniemy się dla siebie serdeczniejsi.

W Mierzynie to nie pierwszy pomysł na to, jak iść z duchem czasów. – Zaczęło się kilka lat temu od transmisji audio z mszy. Potem przeszliśmy na wideo. Od niedawna transmitujemy msze na żywo. Oprócz tego mamy własny kanał na YouTubie – opowiada Krakowiak.

System rezerwacji działa na stałe za pośrednictwem strony internetowej parafii. Można też na niej wpisać intencję modlitewną do Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Wpisów jest 118. Zbigniew prosi „o Boże miłosierdzie dla Heleny i rodziny". Sylwia o „dar życia wiecznego dla zmarłego synka".

Po wybuchu epidemii ks. Wyka podjął decyzję, która nie wszystkim się spodobała. Postanowił przekazać prawie 70 tys. zł na zakup respiratorów dla szpitala w Szczecinie. Pieniądze pochodzą ze zbiórki na budowę nowego kościoła. W liście do parafian tłumaczy, że budowa może poczekać, życie ludzkie jest ważniejsze.

– Znam księdza proboszcza od kilkunastu lat. To człowiek, który zna realia życia codziennego. I kiedy trzeba, to po prostu pomaga – mówi Krakowiak.

W normalnym trybie

„Przecież ich z kościoła nie wygonię" – miał powiedzieć proboszcz jednej z małych wiejskich parafii w diecezji płockiej po tym, jak część wiernych zwróciła mu uwagę, że do kościoła przychodzi nawet 30 osób i w normalnym trybie odbywają się spowiedzi.

Parafia liczy kilkaset dusz. Nie ma strony internetowej. Komunikacja między proboszczem a wiernymi odbywa się podczas mszy, raz w roku podczas kolędy, na co dzień za pośrednictwem tablicy z ogłoszeniami. A na niej ani śladu informacji, że w kościele może przebywać do pięciu osób. Proboszcz podczas kazań mówi o tym, że trzeba być dzielnym i dbać o słabszych. Ale o obostrzeniach nie wspomina. Spowiada, udziela komunii, spotyka się z parafianami.

W Podkowie Leśnej po wielkanocnej mszy – miało w niej brać udział nawet 70 osób – do akcji wkroczyła policja. Podobnie w Sromowcach Wyżnych w powiecie nowotarskim, gdzie wiernych miało przyjść 60. Skandalem skończyła się msza w Wołowie pod Wrocławiem. Do portalu OKO.press zgłosił się czytelnik, który zdążył zrobić zdjęcia wnętrza kościoła podczas sobotniej liturgii – uczestniczyło w niej kilkudziesięciu wiernych. Wykonał kilka fotografii, zanim podbiegł do niego ksiądz i próbował wyrwać telefon.

Cyberpobożność w zamian

Ks. Jacek Dziel w 2019 r. objął probostwo w małym Giewartowie w Wielkopolsce, wkrótce odbyła się pierwsza kolęda. Epidemia zastała go więc w momencie, w którym zaczynał poznawać parafian i miejsce swojej posługi.

– W tej chwili życie parafii toczy się przede wszystkim internetowo – mówi. – Tak się komunikujemy. Przesyłam materiały formacyjne dla poszczególnych grup. Poza tym prowadzimy transmisje mszy św., w Wielkim Tygodniu organizowaliśmy online rekolekcje ostatniej ↦

szansy, a w czasie Triduum Paschalnego katechezy każdego dnia.

Spowiedź? – Nie organizujemy spowiedzi na konkretne godziny, żeby nie doszło do zebrania się w jednym czasie większej liczby osób. Ale cały czas podkreślam, że jestem na miejscu, do dyspozycji – mówi ks. Dziel. – Każdy może zadzwonić na plebanię i się umówić. Wtedy wychodzę i spowiadam. Odbywa się to różnie, czasem to po prostu wspólny spacer. Ale zawsze zachowujemy bezpieczną odległość, dezynfekujemy dłonie. Jeśli spowiadam w konfesjonale, to zawsze przez specjalną folię zainstalowaną w kratce. Po spowiedzi folia jest wymieniana.

Pogrzeby? – Żeby wyjść rodzinom naprzeciw, robimy transmisje mszy pogrzebowych. Nie publiczne, ale dostępne dla bliskich za pośrednictwem specjalnego linku. Epidemia to nasze wspólne nieszczęście i widzę, że ono nas jednak integruje.

Przed świętami ks. Dziel zorganizował konkursy dla dzieci na najładniejszą palmę i najlepiej przystrojony koszyk wielkanocny. Wszystko po to, żeby zaangażowanie nie wygasło.

– W całej tej sytuacji widzę i szanse, i zagrożenia – mówi. – Duży plus to zaangażowanie młodego pokolenia za pośrednictwem nowoczesnych technologii. Młodzi sami stworzyli zbiórkę pieniędzy na funkcjonowanie parafii na portalu crowdfundingowym. Bardzo mnie to cieszy, bo widzę, że czują współodpowiedzialność. Jest też pewne niebezpieczeństwo. Niektórzy mogą przyzwyczaić się do „cyberpobożności", do transmisji w telewizji czy przez internet. Może dojść do rozluźnienia dyscypliny sakramentalnej, jeśli chodzi o spowiedź i komunię świętą. Będziemy musieli to odbudowywać.

A jak proboszcz małej parafii osobiście znosi kryzys? – Brakuje mi tego, żeby z kimś usiąść, porozmawiać, zapytać o codzienne sprawy. Ale staram się ten czas traktować jako przedłużone rekolekcje. Wyciszenie się, kontemplacja – odpowiada. – Wie pan, to wyzwanie naszych czasów. Mam nadzieję, że po tym wszystkim po prostu zatęsknimy za normalnymi, zdrowymi relacjami. Staram się ciągle wzbudzać w sobie poczucie, że nie jestem sam. Nawet jeśli sprawuję mszę w pustym kościele przed kamerą, myślę o tym, że ci ludzie jednak gdzieś tam są.

© MARIUSZ SEPIOŁO

Średniowieczny taniec ze śmiercią

MACIEJ MÜLLER

Zastanawiając się, jaki świat się wyłoni, gdy pandemia ustąpi, przejrzyjmy karty historii z zapisem świadectw wielkich europejskich epidemii.

„Wielu ludzi, jak słyszeliśmy, umiera bez sakramentu pokuty" – napisał w styczniu 1349 r. do swoich diecezjan biskup Bath i Wells w Anglii. Umierającym zalecił, by grzechy wyznawali nawet świeckim. Uspokajał: jeśli nie ma księdza, który udzieliłby ostatniego namaszczenia, wówczas „wystarczy wiara w sakrament".

Kiedy biskup sięgał po pióro, czarna śmierć, która dotarła do Anglii z kontynentu, a wcześniej przypełzła do Europy przez Anatolię, Konstantynopol i porty włoskie, nie osiągnęła jeszcze szczytu. Uderzyła w społeczeństwo osłabione trwającym od dwóch dekad głodem, będącym skutkiem niepogody i wyjałowienia gleb. Przyszło płacić rachunek za dwa wieki intensywnego rozwoju gospodarczego. Trwała do roku 1351 i wybiła przynajmniej 1/3 ludności Europy. Magdeburg stracił połowę mieszkańców, podobnie Hamburg. Były rejony, w których wymarły dwie trzecie ludności. W benedyktyńskim opactwie w Cluny liczba mnichów spadła z 260 do 120, w klasztorze w Montpelier ze 150 do 7. Opustoszałe wsie zarastała puszcza.

Dżuma wracała co kilkanaście lat, ogarniając wielkie obszary. Kronikarz z włoskiego miasta Orvieto notował: „Pierwsza dżuma powszechna miała miejsce w 1348 r. i była najsilniejsza. Druga dżuma 1363 r. Trzecia dżuma 1374 r. Czwarta dżuma 1383 r. Piąta dżuma 1389". Poniżej ktoś dopisał: „Szósta dżuma 1410 r.". Czarna śmierć męczyła Europę aż do XVIII wieku.

Triumf śmierci i taniec śmierci, 1485 r., fresk w Oratorium Pokutników w Clusone koło Bergamo, Włochy

ERICH LESSING / EAST NEWS

Czas strachu

Pod koniec XIV wieku żyły pokolenia, które bezpiecznych czasów nie znały nawet z opowieści dziadków. Zaraza, wojna i śmierć były tematami codziennych rozmów. Europę Zachodnią deptały zwarte w stuletniej wojnie armie królów Anglii i Francji, od wschodu nadciągała groza Imperium Osmańskiego, które w połowie XV wieku rzuci na kolana Cesarstwo Bizantyjskie. Papiestwo skompromitowało się podczas Wielkiej Schizmy: chrześcijaństwem rządziło dwóch, a w porywach trzech papieży, którzy obrzucali się wzajemnie ekskomunikami. O własne zbawienie bali się nawet wielcy święci: wybór złej obediencji groził wyłączeniem się z Kościoła. Dominikański święty, Wincenty Ferreriusz, nawrócił się z Awinionu na Rzym, ale pokutował do końca życia. Upadł też drugi filar *Christianitas*: cesarstwo roztrwoniło swój autorytet i nikt nie traktował go jako opiekuna chrześcijańskich królestw. Treścią życia milionów ludzi stał się strach.

W obliczu zarazy jedni tłumili go, ulegając najniższym instynktom, inni zachłannie gromadzili zasługi przed Bogiem, jeszcze inni popadali w eskapizm. Boccaccio tłumaczył postawę tych pierwszych: „Osłabła, a nawet całkiem sczezła siła tak człowieczych, jak i bożych praw. Jej stróże i wykonawcy bądź to poumierali, bądź chorzeli albo też tylu podwładnych utracili, że obowiązków urzędu swego dopełniać nie mogli. Każdy przeto mógł czynić, co chciał".

Na drugim biegunie byli zwalczani przez hierarchię kościelną biczownicy, przemierzający w ponurych pochodach ulice miast. Każdy trzymał bicz o trzech ramionach, z węzłami, do których przymocowano kolce, i uderzał w plecy poprzednika. Biczownicy, którzy podczas czarnej śmierci przeszli m.in. przez Śląsk i Polskę, wzywali nie tylko do pokuty, ale i do gromienia Żydów.

Bo naturalnym odruchem było szukanie siewców zarazy wśród „innych". W dobie czarnej śmierci ofiarą tych instynktów padali Żydzi – ale także uchodźcy z krajów wcześniej dotkniętych plagą bądź trędowaci, których choroba zawsze budziła postrach i odrazę. Członkowie gminy żydowskiej torturowani podczas procesu w Chillon nad Jeziorem Genewskim w 1348 r. zeznali, że truciznę wywołującą zarazę otrzymali od pobratymców z Toledo, którzy przygotowali ją z pająków i mięsa puchaczy.

Próbując przeciwdziałać pogromom, w 1348 r. papież Klemens VI potępił chrześcijan, którzy odpowiedzialnością za dżumę obciążali Żydów. W wydanej wtedy bulli trzeźwo pytał: dlaczego sami Żydzi padają ofiarą zarazy i dlaczego wybucha ona także tam, gdzie oni nie mieszkają?

Jesień średniowiecza

Przejście dżumy pozostawiało w ocalałych głęboką traumę. Obrazy wozów wyładowanych trupami, wrzucanych do masowych grobów, ognisk płonących na rogach ulic (średniowieczny pomysł na odkażanie), wspomnienia miesięcy izolacji bądź ucieczki – zostawały w psychice na zawsze.

Efektem była odraza nie tyle wobec śmierci, ile wobec samego życia, co nadało schyłkowi średniowiecza pesymistyczną tonację, negującą piękno i szczęście. Na freskach, obrazach i nagrobnych rzeźbach przedstawiano rozkładające się zwłoki, robaki wychodzące z dziur w uszkodzonym ciele. Widz miał poczuć smród gnijących ciał i wylewających się wnętrzności, ale nade wszystko – ślepy strach. Jak dowodził Johan Huizinga – obrazy te nie tyle wyrażały lęki, co miały tłumić rozbudzone przez strach gadzie instynkty, przede wszystkim seksualne. „Wizja zgnilizny trupiej była wałem obronnym przeciwko zgubnym urokom tego świata pełnego pokus i skazanego na zagładę" – uważał inny klasyk historiografii Georges Duby. W sztuce królował motyw tańca śmierci: kościotrupa ciągnącego w groteskowym korowodzie ↦

królów, papieża, biskupów, kupców, mnichów i chłopów. Tańczący przeskakiwali przez ciała umierających, mijali kochanków, na których czaiła się za rogiem kostucha, oraz dziecko usiłujące ssać pierś martwej matki.

To nie była śmierć wyzwalająca z ziemskiego padołu, ale niszczycielka; jedyne, co mogło pocieszać obserwatorów tych wizerunków, to fakt bezwzględnej równości wszystkich stanów w obliczu kościotrupa z kosą.

Sztuka umierania

Powszechny i paniczny lęk przed śmiercią usiłowali koić autorzy traktatów ze znanej już w starożytności dziedziny *ars moriendi* – sztuki dobrego umierania. Wypisy z tych dzieł wieszano u bram kościołów, w szkołach czy w szpitalach, tak by każdy porażony zarazą znał procedurę bezpiecznego przejścia do życia wiecznego. Nade wszystko należało mieć świadomość działania diabła, który w ostatnich chwilach życia chorego podsuwał pięć trudnych do odparcia pokus.

Pierwsza dotyczy wiary: szatan przekonuje, że piekła nie ma, nie trzeba się go obawiać – a więc i żal za grzechy jest niepotrzebny. Rada: trzeba rozmyślać o konieczności wiary dla zbawienia i przypomnieć sobie, że szatan jest królem kłamstwa.

W drugiej diabeł próbuje doprowadzić umierającego do rozpaczy, przypominając mu grzechy i dowodząc, że ich waga nie pozwoli Bogu go zbawić. Remedium jest myśl o wielkich biblijnych grzesznikach, których Chrystus oczyścił: jak Piotr, Paweł czy jawnogrzesznica.

Kolejna pokusa miała wzbudzić przekonanie o niesprawiedliwości przeżywanego cierpienia i niechęć do bliskich, którzy mieliby jakoby tylko przebierać nogami na myśl o podziale majątku odchodzącego.

Jeśli i tę pokusę chory zwalczy, szatan próbuje podejść go z innej strony, wzbudzając w nim pychę: komuś o tak silnej woli i o takich zasługach przed Bogiem zbawienie się wprost należy... Lekarstwem było rozważenie słów Ewangelii: „Beze Mnie nic nie możecie uczynić".

Ostatnią próbą diabelską było wzbudzenie w chorym żalu za majątkiem, który gromadził przez życie – i tęsknoty za najbliższymi, których musi zostawić na tym świecie. W starciu z nią pomagała myśl o ubogim Chrystusie, który z miłości do Ojca opuścił swoją ziemską rodzinę.

W zarazie widziano karę za ludzkie grzechy. Była jedną z plag egipskich, jednym z jeźdźców Apokalipsy. Ostrzegać przed jej nadejściem miały nieszczęśliwe koniunkcje planet.

Płaszcz Maryi

W zarazie widziano karę za grzechy. Sięgano do metafor: była jedną z plag egipskich, jednym z jeźdźców Apokalipsy. Ostrzegać przed jej nadejściem miały nieszczęśliwe koniunkcje planet: pierwszą czarną śmierć zapowiadało spotkanie Saturna i Jowisza pod znakiem Wodnika 3 lata wcześniej, jedną z kolejnych koniunkcja Jowisza i Marsa pod znakiem Lwa w 1381 r.

Odrodził się manicheizm. Według jednych świat miałby pozostawać całkowicie pod władzą mocy szatańskich, inni zastępowali Opatrzność Bożym gniewem, kojarzącym się z apokaliptycznym obrazem *dies irae*. Lęki te podsycali późnośredniowieczni kaznodzieje – głosiciele rychłego Sądu Ostatecznego, jak Ferreriusz, Bernardyn ze Sieny czy Jan Kapistran. Strach i pesymizm trwale zagnieździły się w teologii. Nie przypadkiem XVI-wieczne kontrreformacyjne katechizmy częściej mówią o diable, niż wspominają imię Chrystusa.

„Trzymając w ręce trzy włócznie potrząsał nimi nad światem: »Oto ludzkość cała pełna jest niegodziwości trojakiego rodzaju: pychy, nieczystości i chciwości. Dlatego też chcę ją zgładzić tymi oto trzema włóczniami«" – mówi Chrystus w wizji św. Dominika opisanej w „Złotej legendzie". Po XIV-wiecznych doświadczeniach powracającej epidemii motyw Boga ciskającego w miasta strzałami zarazy zakrólował w sakralnym malarstwie. Czasem ludzi zdąży osłonić swoim płaszczem Matka Boża. Nieraz jednak srogi Bóg Ojciec ciska strzały mimo modlitw Maryi klęczącej u Jego nóg i Syna pokazującego mu swoje rany.

Płaszcz Maryi próbowano zresztą ściągać na ziemię. Okrążano mury w procesji ze świecami, powierzając miasto jej opiece. Jawiła się ona jako doskonała opiekunka na czas zarazy nie tylko ze względu na umiejętność przebłagiwania Bożego gniewu (w wizji Dominika udało jej się powstrzymać rękę Syna), ale ze względu na wiarę w wniebowzięcie: jej ciało nie zaznało śmierci ani rozkładu.

Zemsta świętego

Nie była jednak Matka Boża jedyną, do której zwracano się o ocalenie od moru. Oddział wyspecjalizowanych w tych sprawach patronów liczył ponad 50 osób, na czele ze św. Sebastianem. Rozumowano tak: skoro niewierni próbowali zabić go, przywiązując do słupa i przeszywając strzałami (a przeżył!) – to będzie dobrym obrońcą przed ciskanymi z nieba strzałami zarazy. Obok Sebastiana (czy podobnie popularnego Rocha) działało Czternastu Wspomożycieli – m.in. Pantaleon, Barbara, Krzysztof czy Błażej, czyli męczennicy pierwszych wieków, zabici na ogół pośród przerażających tortur – jak wierzono, predysponowanych do zwalczania najboleśniejszych ludzkich utrapień. Choroby zaczęto łączyć z imionami patronów. Stąd taniec św. Wita, choroba św. Maura czy ogień św. Antoniego.

Święci wydawali się XIV-wiecznym chrześcijanom – rzadko kiedy wychowywanym na treściach Pisma Świętego – postaciami znacznie bliższymi, dostępniejszymi i lepiej rozumiejącymi ziemskie problemy niż Osoby Boskie. Dziesięciolecia kryzysu religijnego sprzyjały wyrodnieniu kultu świętych. Zanikała zdrowa teologia, według której święty patron był jedynie orędownikiem u Boga. Coraz częściej stawał się docelowym adresatem modlitw. Chrześcijaństwo coraz wyraźniej zlewało się z magią. Samo wpatrywanie się w wizerunek św. Krzysztofa, zapobiegawczo umieszczany na rozstajach dróg czy przy wyjściu z kościoła, miało chronić przed nagłą, a niespodziewaną śmiercią.

Kolejny krok prowadził do przekonania, że skoro święty od zarazy chroni, to niezadowolony z ludzkich postępków – może też nią porazić. Z postawy tej kpił Erazm z Rotterdamu: „Któż był za życia potulniejszy od Korneliusza, kto dobrotliwszy od Antoniego, kto cierpliwszy od Jana Chrzciciela? Ale jakie straszne zsy-

łają oni teraz choroby, kiedy nie są należycie czczeni!”.

Miotła Lutra

XIV-wieczne traumy mocno wpłynęły też na podejście do Chrystusa. Popularnymi motywami w sztuce stały się Pieta i Ecce Homo. Wizerunki te stawiały akcent na cierpienie; wtórowały im mnożące się i lubiane przez bernardyńskich kaznodziejów apokryfy, zmyślające okrutne szczegóły Męki Pańskiej. Wyraźną rolę w dewocji zyskał kult Jezusowych ran. Znane są figury Chrystusa z umieszczanym pośrodku pęcherzem pełnym krwi – po naciśnięciu w odpowiednim miejscu wypływała ona z ran na rękach i nogach.

Element emocjonalny coraz mocniej wypychał wiarę poza granice wyznaczone przez teologię i znajomość Pisma Świętego. Stawała się ona mocno rytualna, ale obrastała treściami czysto magicznymi. Rzadko przyjmowano komunię, wierzono za to, że wpatrywanie się w konsekrowaną hostię zapobiega nieszczęściu, uczestnictwo w mszy dawało też jednodniową gwarancję, że nie zapadnie się na ślepotę ani paraliż. Kwitł rynek fałszywych relikwii, spełniających rolę chroniących przed złem amuletów. Wierzono w skuteczność wyniszczających postów, wstrzemięźliwości seksualnej czy długotrwałych regularnych pacierzy. Panowało przekonanie, że dzień tygodnia, na który przypadnie święto Niewiniątek Betlejemskich (28 grudnia), będzie przez kolejny rok pechowy.

Wszystkie te zjawiska pogłębiały się przez XIV i XV wiek. Nic dziwnego, że w początkach kolejnego stulecia pewien profesor Pisma Świętego z klasztoru augustianów w Wittenberdze wezwał do oczyszczenia chrześcijaństwa z wiary apokryficznej i kultu świętych, oraz do powrotu do Biblii. Przy tym nie zapominajmy, że sam Luter był przekonany, iż zaraza jest Boską karą za ludzkie grzechy. W jego ujęciu karę tę należy jednak bez lęku przyjąć i nie uciekać przed nią, szczególnie jeśli oznaczałoby to porzucenie służby bliźnim.

Upadek duchowieństwa

Luter nawiązywał do faktu, że epokę czarnej śmierci zapamiętano jako czas kompromitacji duchowieństwa. Biskup Bath i Wells we wspomnianym na początku liście z 1349 r. nie musiałby zezwalać na spowiedź u świeckich, gdyby nie fakt masowych ucieczek księży z parafii. ↦

Triumf śmierci, 1465–1470, Pinakoteka Narodowa w Sienie, Włochy

FINE ART IMAGES / EAST NEWS

Angielscy kronikarze klasztorni pisali, że „taki był niedobór i brak księży, iż kościoły parafialne pozostały bez żadnych nabożeństw, a proboszczowie na beneficjach zaprzestali troszczyć się o swoje parafie ze strachu przed śmiercią, nie wiedząc, gdzie się mają podziać". Byli też księża, którzy „nie chcieli odprawiać nabożeństw bez wygórowanej zapłaty". Na przeciwnym biegunie znalazły się zakonnice paryskie, które „nie lękając się śmierci, do końca spełniały swą powinność z największą słodyczą i pokorą".

Szczegółowe badania nad przebiegiem czarnej śmierci w Anglii wykazały jednak, że śmiertelność wśród biskupów wynosiła 18 proc., natomiast wśród księży parafialnych 40 proc. – co pozwala podejrzewać, że hierarchowie gromili uchodzących przed zarazą plebanów listami pisanymi w zaciszu wiejskich rezydencji.

Według angielskiego historyka George'a Coultona dżuma otworzyła przeciętnemu człowiekowi oczy na prawdę, którą już dawno głosił choćby Bernard z Clairvaux, że „kapłani gorsi są od ludu". A na całych dalszych dziejach średniowiecza wycisnęło piętno spostrzeżenie, że kapłanów, klasę, którą niemal deifikowano, panika dotknęła w takim samym stopniu, co zwykłych ludzi.

Było to pożywką dla późniejszych rewolucyjnych apeli o naprawę chrześcijaństwa w opozycji do istniejącej hierarchii. John Wycliffe, a po nim lollardowie, nie widział potrzeby istnienia duchowieństwa i chciał powrotu Kościoła ubogiego. W latach 80. XIV wieku według ówczesnej kroniki „trudno było spotkać dwóch ludzi na drodze, z których jeden by nie był uczniem Wycliffe'a".

W kolejnych dziesięcioleciach – nie tylko w Anglii – postępował spadek prestiżu duchownych, a wśród wiernych rodziło się przekonanie, że do kontaktu z Bogiem nie są koniecznie potrzebni. Sprzyjał temu upadek obyczajów kleru: XV-wieczni wizytatorzy donosili o księżach odprawiających msze po całonocnych pijatykach, nieznających łaciny (albo i nieumiejących czytać w żadnym języku), natrząsających się publicznie z grzechów poznanych na spowiedzi albo głoszących kazania – jak przytoczone przez Aleksandra Brücknera – z których wynikało, iż „Chrystus zmartwychwstał jest, a pan Strzelecki zdrajca jest".

Wielki polski teolog Mateusz z Krakowa (nb. autor jednego z dzieł *ars moriendi*) utyskiwał w 1403 r.: „Gdzie dziś można spotkać pasterza zabiegającego troskliwie o swoje owce? Starsi wylegują się w puchach, plebani grają w kości w spelunkach, biskupi pochłonięci są sprawami swoich posiadłości. Im wyższa godność, tym niższy poziom moralny".

> W atmosferze zwątpienia w hierarchię i teologię **rozwijała się mistyka,** nakierowana na szukanie osobistej relacji z Bogiem.

Jeśli dodamy do tego narastający fiskalizm ze strony zwalczających się stolic papieskich, kumulowanie beneficjów przez wyższą hierarchię duchowną i jej zupełne nieraz zeświecczenie – nie zdziwi nas powszechne przeświadczenie o kryzysie Kościoła. Próbowały go zażegnać – choć nie do końca się to udało – kolejne późnośredniowieczne sobory.

Pobożność nowoczesna

Kryzys Kościoła nie oznaczał zaniku potrzeb duchowych. Wśród intelektualistów narastała krytyka wiary emocjonalnej, obfitującej w wyrzeczenia, ale niepogłębionej i zwyrodniałej przez kupieckie podejście do Opatrzności. W atmosferze zwątpienia w hierarchię i teologię rozwijała się mistyka, nakierowana na szukanie osobistej relacji z Bogiem. Pisma mistyków tłumaczono na języki narodowe, rozchodziły się wśród mieszczaństwa, a ich tezy przenikały także na wieś. Dominikańscy pisarze tradycji nadreńskiej, opierając się na naukach Mistrza Eckharta – choć ostrożnie, bo interesowała się nimi inkwizycja – pisali o pierwiastku boskości w człowieku, o niemożliwości opowiadania o Bogu za pomocą ludzkiego języka, o konieczności pokory wobec Jego wszechmocy. A także – co szczególnie spodobało się potem Lutrowi – o Boskiej inicjatywie w zbawianiu człowieka. Nieba nie dało się wypracować, należało wierzyć i dać się prowadzić Bogu.

Z mistyki wyrosła duchowość zwana *devotio moderna* – jednocząca swoich zwolenników w *quasi*-zakonne grupy, ale praktykowana także indywidualnie. Jednym z jej podręczników był popularny do dziś traktat „O naśladowaniu Chrystusa". Pobożni dążyli do oderwania się od życia światowego, skupiając całą uwagę na zbawieniu. Metodę walki ze złem widzieli w doskonaleniu własnej osobowości, do czego drogą była kontemplacja opowieści biblijnych, budowanie wewnętrznego kontaktu z Bogiem, zapanowanie nad uczuciami (choć wysoko ceniono płacz nad własną grzesznością – nie należało go jednak wywoływać na siłę). Naśladowanie Zbawiciela polegało m.in. na przeżywaniu własnego cierpienia w taki sposób, aby „połączyć je z cierpieniem, jakiego doznawał Chrystus, i dzielić je z Nim pospołu" – jak czytamy w jednej z reguł życia.

W Polsce duchowość taką praktykowała królowa Jadwiga. Z analizy poświęconych jej traktatów kaznodziejów Szczekny i Bitterfelda wynika, że poszukiwała równowagi między kontemplacją a życiem czynnym, modlitwa jej zaś opierała się bardziej na Biblii niż na żywotach świętych.

Świat od nowa

Czy wiara po epidemii wyzdrowiała? Na pewno pojawiło się w niej więcej pokory. W 1613 r. pewien kaznodzieja anglikański proponował taką procedurę duchowego postępowania w razie zarazy: „najpierw post i modlitwa, potem weź kwartę skruchy Niniwy, zmieszaj z nią dwie garście wiary w krew Chrystusową wraz z całą nadzieją i miłosierdziem, do jakich jesteś zdolny, i wlej wszystko w tygiel oczyszczonego sumienia, który niechaj wrze na ogniu miłości".

Jednak kiedy kard. Francis Aidan Gasquet wydał w 1893 r. dzieło poświęcone historii czarnej śmierci, pisał w nim z niejakim zdziwieniem: „Jakkolwiek wydawałoby się to dziwne, faktem wielokrotnie udowodnionym jest, że wielkie, powszechne dopusty Boskiej Opatrzności nie czynią ludzi lepszymi". Miał na myśli reformację, jeden z dalekich skutków zarazy. Niemniej – bardzo podobną myśl wyraził dokumentujący czarną śmierć w połowie XIV wieku karmelitański kronikarz Jean de Venette: „Kiedy morowe powietrze i zgony ustały, mężczyźni i kobiety, co uszli cało, pobierali się bez żadnego umiaru. Kobiety, które przeżyły, miały zadziwiającą liczbę dzieci. Niestety! Z tego odnowienia świata świat nie wyszedł poprawiony. Bowiem ludzie byli potem jeszcze chciwsi i skąpsi, bo pragnęli posiadać więcej niż przedtem, marnowali spokój na swary, podstępy, waśnie i procesy".

©℗ MACIEJ MÜLLER

#wygodniej
Czytaj cały rok!

TYGODNIK POWSZECHNY

Zawsze jest czas na rozpoczęcie prenumeraty! Teraz czy w kolejnych miesiącach najwygodniej dostawać pismo do domu, a do tego czytać „Tygodnik" na tablecie, komputerze lub telefonie.

Promocja #wygodniej to:

- **52 numery** „Tygodnika Powszechnego" z dostawą w cenie i pod wskazany adres

oraz

- **natychmiastowy roczny dostęp online** o wartości 150 złotych*, czyli dostęp do bieżących wydań oraz do stale powiększającego się Archiwum (ponad 60 tys. tekstów) na stronie TygodnikPowszechny.pl

~~520 pln~~ → **370 pln za rok!**

- **GRATIS** – wydanie „Tygodnik Powszechny Historia. Raport z przyszłości" **ORAZ** unikatowy notes „Książka do pisania. Jerzy Turowicz" **

PREZENT

Sprawdź szczegóły promocji i zamów pod adresem:
powszech.net/wygodniej

Kontakt w sprawie prenumeraty:

Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075
lub e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl
– wydania drukowane

Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl
– wydania cyfrowe

Regulamin prenumeraty i promocji na
powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

* dostęp zostanie uruchomiony do kilku godzin po zaksięgowaniu wpłaty
** notes i wydanie wysyłamy do trzech dni roboczych od zaksięgowania wpłaty
UWAGA! oferta dotyczy prenumeraty #wygodniej, nie łączy się z innymi zniżkami

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ROZMOWA

GRAŻYNA MAKARA

Przy obrazie autorstwa Albina Talika – prezencie od „Tygodnika" na 85. urodziny. Październik 2019 r.

MOJA I TWOJA NADZIEJA

KS. ADAM BONIECKI:

Dziś, bodaj po raz pierwszy, mówimy: nie ma nieważnych ludzi.

ANNA GOC: Jak przeżywasz pusty kościół?

KS. ADAM BONIECKI: Robi na mnie duże wrażenie. Ogołocona przestrzeń, puste ławki. Mówię „Pan z wami", „przekażcie sobie znak pokoju", błogosławię. Jakieś poruszenie przy drzwiach – jedyne, co mogę dostrzec. Troje ludzi stojących tak daleko, że nie widzę nawet ich twarzy. Mówię kazanie. Nie wiem, czy do kogoś trafia. A może ktoś oglądający mszę św. przez internet właśnie zakończył transmisję?

Spowiadałeś przed Wielkanocą?

Swój dyżur spowiednika miałem we wtorek. Dwie godziny, jak zawsze. Nikt nie przyszedł. Udało się chyba ludzi przekonać, że nie powinni ryzykować, zadziałały rządowe zakazy. Niektórzy przyjęli do wiadomości, że wystarczy żal doskonały za grzechy, żeby zostały odpuszczone. „Dobrze" – pomyślałem.

Ale w tym konfesjonale zaczęły mnie nachodzić też inne myśli: zmienił się nurt rzeki, jakaś jej odnoga umarła, ludzie przenieśli swoje domostwa na inne nadbrzeża, a my, księża, zostaliśmy w tym samym miejscu. Do tej pory czułem się jako ksiądz potrzebny. Wystarczył wirus, żebym przestał być potrzebny?

Zostałeś z tą myślą?

Nie, po chwili przyszła kolejna: skoro jeszcze dwa tygodnie temu byłem potrzebny, to pewnie i teraz jestem. Jedną z naszych mszy transmitowanych z bazyliki św. Floriana obejrzało prawie osiemset osób. Tylu w naszym kościele jeszcze nigdy nie było. Gdyby przyszli, nie zmieściliby się. Potem ktoś zadzwonił, podziękował, skomentował kazanie. Kazanie zawsze traktowałem jak wydarzenie międzyludzkie. Po tych świątecznych mszach odnalazłem w sobie umiejętność nawiązania kontaktu z ludźmi, którzy oglądają msze przed komputerami.

„Wpadał czasem do Krakowa i zdarzało się, że u mnie pomieszkiwał. Idąc rano do kuchni, widywałem go wówczas odprawiającego mszę: przy stole, na którym wieczorem stały kieliszki z winem i talerze makaronu,

tylko dla siebie i dla Tego, którego obecność przywoływał" – wspominał Twoje msze w samotności Michał Okoński.

Modlitwa jest sprawą intymną, trudno o niej opowiadać. Ona się zmienia, na różnych etapach życia jest inna. Powiem o mojej mszy św., o tych zmianach zewnętrznych, ale w konsekwencji także zmianach w przeżywaniu jej przeze mnie.

Przez kilkadziesiąt lat zawsze przewodniczyłem liturgii. Wtedy poczucie wspólnoty eucharystycznej z obecnymi jest spontaniczne. Taka jest struktura tej liturgii. To ja zapraszam do modlitwy, ja pozdrawiam zgromadzonych: „Pan z wami", oni mi odpowiadają „i z Duchem Twoim", ja prowadzę ten liturgiczny dialog i na końcu ja ich błogosławię. Teraz to się zmieniło. Przez cały tydzień w naszym kościele zakonnym jestem w koncelebrze. Mój udział jest bardziej wewnętrzny niż zewnętrzny. Kilka tekstów Modlitwy Eucharystycznej odmawiamy chóralnie, razem. Poza tym stoję, siedzę, słucham, odpowiadam na wezwania głównego celebransa tam, gdzie w liturgicznym dialogu mają głos wierni. Bo liturgii przewodniczy jeden ksiądz. I tak dzień pod dniu, z wyjątkiem dni, w których przewodniczę liturgii, soboty i niedzieli.

Tej formy odprawiania mszy św. musiałem się nauczyć. Od „*actio*" do „*contemplatio*". Dziś zdaję sobie sprawę, że przewodnicząc byłem i się czułem – bynajmniej do tego nie dążąc – w centrum uwagi. Koncelebrując jestem anonimowy, bliżej zgromadzonych w kościele ludzi. Znikam. Polubiłem ten sposób odprawiania. W moim odczuwaniu koncelebra jest bliska odprawianiu w samotności.

Te samotnie odprawiane msze św. zawsze były, i jeśli się zdarzają, to nadal są dla mnie silnym przeżyciem. W pustym pomieszczeniu, bez innych uczestników odczuwam wspólnotę z Kościołem, ze wszystkimi mszami, które na świecie się w tym momencie odprawiają. Nie jestem w centrum, bo jestem sam. Wtedy nie ma innego centrum poza Jezusem. Zbliżonym przeżyciem są dla mnie te msze św. w pustym czy prawie pustym kościele, w niewidzialnej łączności z tymi, którzy w swoich domach się łączą przez internet.

Samotność na domowej mszy jest dla wielu trudna. Jak sobie z nią radzić?

Często na takiej mszy św. spotykają się rodziny, przyjaciele, sąsiedzi. Oczywiście są i ludzie samotni w swojej domowej kwarantannie. Cóż, ja mam wprawę w samotności, więc trudno mi się tu mądrzyć. Ale z innymi ludźmi jesteśmy tylko do pewnego stopnia. Jest w nas taka strefa, w której zawsze jesteśmy samotni.

Powiedziałeś kiedyś, że starasz się ludzi ze sobą nie wiązać: „W tym punkcie im się przydałem, nasze drogi raz się przecięły, ale potem się rozchodzą. Wiem zresztą – mam nadzieję – że jeśli znów będę tym osobom potrzebny, to mnie znajdą".

Nie mogę się spodziewać, że ktoś zawsze ze mną będzie. Pogodzenie się z własną samotnością sprawia, że przestaję się miotać: nikt mnie nie rozumie, nikt mnie nie kocha. I mogę się cieszyć, jeśli ktoś mnie trochę kocha, trochę rozumie. My też nie kochamy i nie rozumiemy wszystkich, którzy by tego od nas oczekiwali i tak, jakby chcieli...

Mówi się, że człowiek umiera w samotności. Ale nie tylko w umieraniu jesteśmy samotni. Przez całe życie uczymy się jednocześnie bycia z innymi i samotności. Są progi naszego wnętrza, których innym ludziom niełatwo przekroczyć. Granice, za które nie wpuszczamy nikogo. Ostatecznie, w najważniejszych momentach, nawet przy bliskości tych, których kochamy, jesteśmy samotni. Od tego nikt nie ucieknie.

Mówisz o tym z dużym spokojem.

Może dlatego, że trenowałem to przez całe życie. Decyzję o kapłaństwie podjąłem radośnie, z młodzieńczym entuzjazmem. Kilka lat potem, jako świeżo upieczony kapłan, pojechałem w góry z namiotem. Rozbiłem się z dala od ludzi. Zapadła noc. Pamiętam ją dobrze, bo całą noc szlochałem. Boleśnie dotarło do mnie, że nigdy nie będę miał rodziny, żony ani dzieci. Kiedy teraz patrzę na tamte chwile, moje reakcje wydają mi się dość prymitywne. Przecież wybierałem świadomie, miałem mnóstwo czasu, żeby się wycofać, jak niektórzy moi koledzy. Ten szloch, ten żal... to było dla mnie samego zaskoczenie. Uważałem się za człowieka zrównoważonego, a tu coś takiego. Ale wtedy to były prawdziwe emocje.

Więc to jest punkt wyjścia: pogodzić się z własną samotnością.

Podobnie jest w małżeństwie. Wybieram kogoś, wiążę jego życie z własnym i wzajemnie. Potem całe życie się uczę i bycia razem, i tej samotności: swojej i drugiego.

Dzisiaj obejmuję refleksją historie moich relacji z różnymi ludźmi. Skąd się one wzięły, co było energią, która je napędzała, dlaczego jedne okazały się trwałe, a inne – nie. Dzwonią do mnie teraz ludzie, z którymi czasem nie rozmawiałem od wielu lat. Ciekawe dlaczego teraz? Może w notesie wyszukują staruszków, a więc osoby z grupy szczególnego ryzyka, do których, póki żyją, warto zadzwonić? A może przeglądając książkę telefoniczną odkrywają osoby, z którymi dawno się nie słyszeli, a które kiedyś były dla nich ważne. Na czas, który teraz mamy, patrzę więc jak na warsztaty z samotności.

Drugie ważne doświadczenie jest takie, że jak pewnie większość z nas zaczynam doceniać rzeczy, które uważałem za normalne i oczywiste. Na przykład wyjazdy za granicę. Łatwość, z jaką można wyjechać, przeżywam za każdym razem jako coś niezwykłego. Pokolenie, które urodziło się po upadku komunizmu, nie ma tego doświadczenia, a ja przekraczając granicę zawsze się cieszę jak głupi, że to jest takie cudowne, że mogę pojechać, gdzie chcę.

Wielu ludziom zawala się świat, który znali. Tracą pracę, nie mają za co żyć, nie wiedzą, co robić. Być może szukają wsparcia, ale nie wiedzą, gdzie szukać, bo w podobnej sytuacji są inni.

Znam to uczucie. Byłem wtedy dzieckiem, ale dobrze pamiętam ten moment: tatę zabiera gestapo i zostaje zabity. Wkrótce potem tracimy cały majątek. Kończy się bezpieczny świat. Jest nas sześcioro: mama i piątka dzieci.

Jak się z takich sytuacji wychodzi?

Punktem wyjścia dla nas wtedy było realistyczne powiedzenie sobie: tamto się skończyło. Tamten sposób życia, tamte formy bezpieczeństwa i pracy, to jest rozdział zamknięty. Tego już nie ma. Ale życie trwa nadal. Moja mama miała nas, dzieci. To ją na pewno trzymało. Wiedziała, że nie można się oglądać wstecz. Dla mojej matki nie było problemem, że w rubryce „zawód" podawała: „robotnica". Przez kilka lat dla jakiejś ↦

spółdzielni z siedzibą w Aninie szyła lalki wypchane trocinami, akompaniowała na zajęciach rytmiki w szkole, do której chodziły moje siostry. Nie żeby jej ktoś za to płacił, ale dzięki temu one mogły brać udział w zajęciach. Przez jakiś czas zajmowała się krową i kilkoma świniami, które ktoś wykradł z zarekwirowanego nam żywego inwentarza i nam dostarczył. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie robiła, a wtedy, z całą swobodą, podejmowała te wyzwania. Bynajmniej nie czuła się tym poniżona czy zdeklasowana.

Powiedziałeś kiedyś, że tego, co ważne, nauczyłeś się od mamy.

Nauczyła nas wierzyć we własną wartość, która nie polega na tym, ile się ma na koncie bankowym, tylko na tym, kim się jest. Brać pracę, jaka jest. Nie boleć w kółko nad tym, co na nas spadło.

Uczyliśmy się też wtedy, czym jest solidarność rodzinna. Jak cudowna jest przyjazna dłoń, która nas wspiera w momencie katastrofy. Co to znaczy, że ktoś jest blisko. Pomagali nam siostra mamy i brat taty. Ludziom kompletnie samotnym jest dużo trudniej. Choć we wspólnocie, która nazywa siebie wspólnotą chrześcijańską, takich ludzi nie powinno być w ogóle. Wracając do pytania, odpowiem: trzeba się nauczyć z tym żyć. Przecież dziś już wiadomo, że obecna zaraza ma trwać jeszcze miesiące. „Trzeba z tym żyć" – powiedzieli Polacy w okresie zaborów, w okresie okupacji, w PRL. Żyć i nie dać się unicestwić jako społeczeństwo, zachować to, co jest w naszej tożsamości cenne.

Takich osób w patowych sytuacjach jest dużo, pisał o nich ostatnio w „Tygodniku" Przemysław Wilczyński. Ci już dotąd wykluczeni – mieszkańcy Domów Pomocy Społecznej, osoby w kryzysie bezdomności, ofiary przemocy domowej – teraz są wykluczeni jeszcze bardziej.

W skrajnych sytuacjach wychodzą na jaw wszystkie już istniejące mankamenty życia społecznego i organizacji społecznej.

Powiedzmy szczerze, DPS-y nie były oczkiem w głowie ani w czasach Polski Ludowej, ani po upadku komunizmu. Co można zrobić? Wydaje mi się, że tu słowa niewiele dadzą. Nie ma żadnych magicznych formułek, zaklęć, które by pomogły ludziom zepchniętym na margines. Ale nie można ich zostawić. To sytuacje, kiedy trzeba działać. Tak łatwo wszystko spycha się na państwo. Na poziomie lokalnych wspólnot powinno się myśleć o najsłabszych. Natychmiast tworzyć bezpieczne przestrzenie dla osób, które są ofiarami przemocy – a ona w czasie narodowej kwarantanny straszliwie przybrała na sile. Ofiary skazane na przebywanie non stop z oprawcami nie mogą wezwać pomocy, nie mają dokąd uciec. Może gdzieś taką bezpieczną przestrzenią może być plebania albo dom parafialny? Ci, którzy nimi zarządzają, mówią dużo o wspólnocie. A wspólnota wymaga tworzenia ratunkowych struktur.

W drodze do kościoła, którą ostatnio przemierzam samochodem, widzę bezdomnych. Siedzą na murkach, coraz bardziej smętni, milczący. Kiedyś to było niezwykle ożywione towarzystwo. W klasztorach, w których dostawali ciepły posiłek, dziś przygotowują dla nich suchy prowiant. Nie widziałem, by nosili maseczki i rękawiczki, żeby jeden od drugiego zachowywał dystans dwóch metrów. Niektórzy z nich, moi znajomi, gdzieś znikli. Może trafili na przymusową kwarantannę, może do szpitala, może są w więzieniu.

Przypomniało mi się jedno z kazań, które w Wigilię wygłosiłeś jako młody ksiądz w zakładzie specjalnym dla starszych ludzi. Po latach znalazłeś notatki z tego kazania: „Mówiłem, że dziś wszyscy dzielą się z bliskimi opłatkiem i że do nich też przyszedł Ktoś Bliski podzielić się Opłatkiem Swego Ciała. Teraz, kiedy to po latach odczytuję, jest mi wstyd. Czy można tak robić? Stanąć przed człowiekiem wściekle samotnym, uśmiechnąć się słodko i powiedzieć: myślisz, że jesteś samotny? Ależ skąd, przyszedł do Ciebie Pan Jezus".

Są sytuacje, w których nie wiadomo, jak wesprzeć cierpiących ludzi. Weźmy tych samotnie chorujących w szpitalach zakaźnych. Teraz granicą dotarcia do nich jest telefon komórkowy. Zapewniamy o naszej pamięci, że myślami jesteśmy z nimi. Ale nie oszukujmy się: to tylko namiastka spotkania. A ilu nawet tego nie ma? Po prostu nikt do nich nie dzwoni.

Pocieszyć kogoś, kto jest zarażony. Nie móc się pożegnać z kimś, kto umiera. Dotąd jako kapłani mogliście towarzyszyć ludziom odchodzącym.

Teraz nie da się pocieszyć tak, jak byśmy chcieli. Trzeba się z tym pogodzić. Na pewno obecność, przyjazna, kochająca, jest pomocą. A udręka ludzi chorujących samotnie w odciętych szpitalach, odejścia ludzi bez możliwości pożegnania, zbiorowe pogrzeby – to sytuacje, w których jako księża nie zawsze wiemy, co robić. Nie mamy jeszcze podręcznych instrukcji działania. Możemy się modlić za żywych i umarłych.

Codziennie słyszymy komunikaty o liczbie zmarłych. Jeszcze się dają objąć wyobraźnią, jednak jest coś przejmującego w sprowadzaniu tych śmierci do liczb. Jakbyśmy mówili o inwentarzu. Jakby tylko to było ważne, czy liczba ofiar wzrasta, czy maleje. Wymienia się czasem wiek i choroby towarzyszące. A prze-

GRAŻYNA MAKARA

Po mszy w jubileusz 75-lecia „Tygodnika", z powodu epidemii odprawionej przy pustym kościele, ale transmitowanej w sieci. Bazylika św. Floriana, Kraków, 24 marca 2020 r.

cież ci ludzie ze swoimi chorobami towarzyszącymi pewnie mogliby żyć jeszcze długo. Okrutne jest to sprowadzanie człowieka do statystyki. Przecież to był czyjś ojciec, matka, zostali jego bliscy.

W jednym z ostatnich kazań mówiłeś o silnej potrzebie zmiany mentalności w Kościele.

Przez stulecia Kościół koncentrował się na budowaniu fasady. Byliśmy tym tak pochłonięci, że fasada stała się celem działalności księży. Tylko że ksiądz nie jest po to, żeby budować kościoły – budynki. Wywodzący się od Chrystusa Kościół w ogóle nie jest po to, żeby go budować. Kościół – budynek, jest po to, żeby gromadzić ludzi. Kościół, ten przez duże K, jest zbudowany z „żywych kamieni".

Wytrenowaliśmy się w tej wierze, dla której jedyną właściwą przestrzenią jest kościół. Nieważne, czy przystępujemy do komunii, bo głęboko przeżywamy jej przyjęcie, czy dlatego, że jest druga rocznica śmierci babci, ale kiedy przyjmujemy ją w kościele, wierzymy, że przyjmujemy Chrystusa.

A teraz możemy spojrzeć na to, co dotąd robiliśmy. Ile wkładaliśmy wysiłku w to, żeby ludzie chodzili na niedzielne msze. Ile razy liczyliśmy rozdane komunie i na ich podstawie szacowaliśmy religijność Polaków. Na ogół nie informowaliśmy wiernych, że poniedziałek wielkanocny nie jest „świętem obowiązującym". Chcieliśmy, żeby ludzie przyszli do kościoła, nieważne, czy z potrzeby serca, czy z obowiązku. Teraz zachęcamy, by w niedzielę włączyli telewizor z mszą, żałowali za grzechy w samotności, przyjęli duchową komunię. Ten czas może nam pomóc uświadomić sobie, że komunia sakramentalna jest w istocie komunią duchową i w ogóle bardziej docenić wymiar duchowy. Oczywiście bez wpadania w przesadę. Ojciec Oszajca napisał u nas niedawno: żebyśmy przenosząc msze do internetu nie stali się wirtualnym Kościołem.

Dotąd słyszeliśmy od księży, jak to wszystko jest ważne.

Można zadawać sobie pytania. Jeśli Eucharystia, przemiana chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa, jest działaniem Boga, to dlaczego ta sprawowana daleko od nas, w którą się włączamy duchowo, oglądając ją w telewizji, ma być mniej ważna od tej, w której uczestniczymy na miejscu, w kościele? Czy od Boga oddzielają nas ziemskie kilometry? Czy istotny jest zasięg głosu księdza, głośnika, a może miejsce w pierwszej ławce?

↦

↦ Dotąd ci, którzy przychodzili do kościoła na mszę, starali się na niej jakoś wytrzymać. Teraz, gdy ksiądz przemawia jak samozwańczy sędzia, jakby to on umarł na krzyżu za nasze grzechy, jednym kliknięciem można się przełączyć na innego kaznodzieję.

Obrzędowość, która zdominowała nasz katolicyzm, ma niewiele wspólnego z wiarą. Czy praktykujący katolik to ten, który chodzi co niedzielę do kościoła, co najmniej raz w roku przyjmuje komunię, wziął ślub i ochrzcił dzieci? Z Ewangelii wynika, że kryterium katolickości to pójście za Chrystusem, naśladowanie Chrystusa. Praktyki mają być w tym pomocą. Niestety, zaczęliśmy z nich korzystać w sposób magiczny.

Teraz się zrelatywizowały?

Tak to widzę. Nie musisz pędzić do kościoła – możesz uczestniczyć w mszy przy telewizorze. Nie musisz iść do spowiedzi – wzbudź w sobie żal za grzechy. Nie pędź do komunii – bo komunia to także pragnienie spotkania z Chrystusem. Jest Wielka Sobota – pobłogosław pokarmy w domu. Błogosławieństwo nie jest zastrzeżone dla księdza. Wszyscy możemy się nawzajem błogosławić, czyli prosić Boga, by swoją łaską i opieką objął tych, których błogosławimy.

Wydobywamy teraz stare tradycje chrześcijańskie. Przypominamy sobie, że zanim wybudowaliśmy świątynie, chrześcijanie spotykali się w mniejszych wspólnotach, często rodzinnych i przyjacielskich. Że być może te wspólnoty mogły na siebie bardziej liczyć. Były prawdziwsze? Możemy spytać: dlaczego gesty modlitewne w kościele przyjmujemy jako coś normalnego, a jak ktoś klęka do modlitwy w domu, to patrzymy na niego podejrzliwie? Traktujemy to jak spektakl?

Czas, w którym się znaleźliśmy, można więc potraktować jak kurację z klerykalizmu. Nagle się okazało, że ksiądz nie jest nam niezbędnie potrzebny do zbawienia. Co więcej, że niektórzy księża nie są nam do niczego potrzebni w sferze „posługi słowa" – jak się lubi nazywać to, co mówią. Bo po prostu nie mają nic do powiedzenia. Zastanawiam się nad tym doświadczeniem, krótkotrwałym jeszcze: co będzie, jak to się skończy?

Jakie masz intuicje?

Po upadku komunizmu, zwłaszcza w krajach, w których Kościół był ostro zwalczany i częściowo schodził do podziemia, obserwowałem tendencję, żeby w Kościele za wszelką cenę odbudować to, co było przedtem. Starano się odtwarzać stare struktury, na przykład wskrzeszano powstałą w latach międzywojennych Akcję Katolicką. Doświadczenie Kościoła w latach komunizmu okazało się zbyt męczące, trudne i niepewne. Kusiły stare, przedwojenne wzory, stare struktury, stary styl. Kiedy się udało je odtworzyć, poczuliśmy się w nich bezpieczni. Niestety, często okazywały się nieadekwatne do realnych potrzeb nowego czasu.

Nie wszystko trzeba odtworzyć. Nie zachęcam do tego, żeby udział w mszy był tylko przez platformy internetowe. Ale nie możemy zapomnieć, że jest i taka możliwość. Nie bójmy się uznać, że jest taka możliwość. Że wierni uciekną? A może dzięki temu doświadczeniu odkryją, czym jest wspólnota zgromadzona na Eucharystii? Może w tym dziele zniszczenia naszych religijnych nawyków zostaliśmy uwolnieni od jakichś rzeczy niepotrzebnych? Może zaczniemy kształtować nasze religijne przyzwyczajenia od nowa. Bardziej świadomie. Byle nie wchodzić w te same buty, sprzed zarazy, bo wszystko zmarnujemy. Ja nie wejdę.

Nieraz obserwowałeś świat, który z dnia na dzień się zmienia. Z czym można porównać dzisiejsze doświadczenie?

Jeśli miałbym z czymkolwiek porównać obecną izolację, to tylko z tym, co przeżywaliśmy w czasie okupacji. Trudno mówić o podobieństwie, ale jest jakaś analogia. Wróg, który czyha na człowieka w każdej sytuacji. Straszliwa niepewność. Kontakty z innymi ludźmi zawsze zaprawione jakąś dozą niebezpieczeństwa. Podczas wojny byłem w końcu dzieckiem, ale i tak dobrze pamiętam opresję, która obejmowała całe życie. Niepewność, kiedy to się skończy i jaki nastąpi czas potem.

Ostatnio jeden z moich znajomych powiedział, że wychodząc z pracy jeszcze nigdy nie żegnał się ze wszystkimi tak jak teraz.

Mamy się ze sobą nie spotykać, nie wiadomo przez ile miesięcy. Pozostała namiastka spotkania przez Skype'a. To nie to samo, co spotkanie w realu.

Jak to było fantastycznie móc się z kimś umówić, spotkać, porozmawiać, zjeść coś razem. Wiedziałem, że mam ludzi zaprzyjaźnionych, że mogę wsiąść w samochód, pojechać na obrzeża Krakowa, gdzie mieszkają. Nawet jeśli nie robiliśmy tego często, zawsze wiedzieliśmy, że to możliwe.

Dla mnie to wszystko jest z czasem coraz trudniejsze. Uwierające. Zauważyłem, że w kilku grupach, w których łączymy się przez internet, trudno nam się na koniec spotkania rozłączyć.

Tak, też to zauważyłam.

Chce się ten moment bycia razem przedłużyć. Gada się o byle czym, żeby tylko pobyć jeszcze chwilę razem. Momenty, które rozczulają. Ostatnio jedna z osób z „Tygodnika" przyniosła mi kawę. Właściwie cały zapas kawy. Patrzę, a to moja ulubiona, którą można znaleźć tylko w kilku sklepach w Krakowie. To mnie wzruszyło i zawstydziło jednocześnie.

Nie boisz się o siebie?

Nie mam poczucia, że wisi nade mną miecz Damoklesa i że śmierć mnie dopadnie. Raczej czuję się tak, jakby to dotyczyło wszystkich, ale nie mnie. Nie ryzykuję niepotrzebnie, ale tym wszystkim opiekuńczym głosom, które mówią: „uważaj", „nie wychodź", odpowiadam: „nie przesadzajmy".

Dziś wyszedłem po raz pierwszy w masce. Do sklepu, w godzinach dla staruszków, bardzo pilnowałem, żeby się w te godziny dokładnie wstrzelić. Jest taki odruch mijania ludzi na ulicy: jedni umykają pod ścianę, drudzy – na trawnik. Podzielamy ten sam strach przed bezsensowną śmiercią.

Karol Modzelewski mówił, że to, co myślimy o wolnych niedzielach, pokazało, co myślimy o solidarności. Myślisz, że z tego czasu wyjdziemy bardziej solidarni?

Są mądrzy ludzie, którzy obawiają się, że to nie jest możliwe. Doświadczenie uczy, że po końcu kryzysu na pierwszy plan nie wysuwają się ludzie najlepsi, najmądrzejsi, wrażliwi na los bliźniego, tylko ci, którzy chcą coś ugrać. Cyniczni gracze, kombinatorzy, którzy już teraz próbują zarobić, nawet na maseczkach.

Tadeusz Mazowiecki, ze swoją niesłychaną wrażliwością etyczną, przenikli-

wością moralną i aksjologiczną, nie miał szans w momentach przełomu. Do głosu dochodzili populiści, którzy pod werbalną przykrywką moralnych haseł, odwołując się do najmarniejszych instynktów, próbowali przejąć sytuację.

Zresztą od dawna byliśmy bombardowani informacjami o czekającym nas załamaniu klimatycznym i związanym z nim niebezpieczeństwie. WHO ostrzegała przed wirusem X. Lekceważyliśmy naukowców. Niby wszyscy wiedzieliśmy, że kilkudziesięciu oligarchów zgromadziło majątek taki jak połowa ludzkości, i co z tego? A teraz przychodzi wirus i zaczynamy się nad tym zastanawiać.

Przecież to nie jest ostatni wirus. I już się dowiedzieliśmy, że są siły, wobec których my – wspaniały rodzaj ludzki władający światem – jesteśmy bezradni. Ale kto potrafi zmusić ludzi, żeby z czegoś zrezygnowali, żeby się dzielili?

Uderzające jest dla mnie, że obecna sytuacja to jakby dopowiedzenie tego, o czym bez przerwy mówi papież Franciszek. Mogłoby się wydawać, że on jest monotematyczny, że mówi w kółko o niesprawiedliwościach świata, o naszej planecie, o klimacie, o zagrożeniach. Nagle się okazuje, że on ma rację.

Wczoraj oglądałam kilkuminutowe filmy z nowojorskich dzielnic. Codziennie o tej samej porze rozlegają się brawa dla lekarzy i personelu medycznego. Ulice są puste, ale hałas płynący z mieszkań przejmujący.

Niezwykła jest wdzięczność dla tych ludzi. Zapewnienie, że w tym, co robią, nie są osamotnieni. Może zmieni się nasz stosunek do pracowników ochrony zdrowia? Ludzie zaczynają sobie zdawać sprawę, że to nie są takie gadki szmatki, tylko że ci ludzie ryzykują dla nas życie. Tu się odkrywa piękno służby takiej jak ta medyczna.

Więc może wyjdziemy wrażliwsi?

Być może. Jest jedna nowość tej epidemii, w porównaniu z tymi historycznymi. Po raz pierwszy troszczymy się o jakiegoś starego Kowalskiego, który mieszka w DPS-ie. Piszemy o skandalu, jakim jest zostawienie takich miejsc samym sobie. Nawet jeśli nie potrafimy temu skandalowi zaradzić.

Dawniej się wołało: kara Boża, kto umarł, to umarł. Trudno. Zakładano zakony modlące się za ofiary epidemii. Tak zresztą powstali marianie. Albo się mówiło, że nade wszystko liczy się ekonomia. Francuzi w czasie epidemii hiszpanki zamknęli szkoły, ale nie zamknęli kawiarń, nie mówiąc o fabrykach. A dziś, bodaj po raz pierwszy, mówimy: nie ma nieważnych ludzi. Nawet jeśli czasem tylko mówimy, a niewiele robimy, to dowodzi, że posunęliśmy się naprzód w kulturze, że bardziej liczy się człowiek. Każdy. To daje nadzieję.

Czym dla Ciebie jest nadzieja?

Nadzieja w rozumieniu cnoty teologicznej odnosi się do zbawienia. Pan Bóg nas nie opuści w dążeniu do zbawienia, pomaga nam swoją łaską. Zbawia.

To ta chrześcijańska, o której ks. Tischner pisał, że ma pełnić funkcję demaskatorską wobec ziemskich. Ale ja chciałam spytać o nadzieje ziemskie.

Tak, myślenie, że epidemia wreszcie się kiedyś musi skończyć, daje jakąś nadzieję.

Spytałem kiedyś psychoterapeutkę, czy to nie jest przygnębiające, że wyciąga człowieka z jego chorobowych stanów, a on za chwilę zapada w nie znowu. Ona na to: wystarczy, że ten człowiek przespał spokojnie jedną noc, to już jest warte każdego wysiłku.

To nie jest nadzieja, że ktoś okaże się zbawicielem świata. Ale nadzieja na to, że będzie trochę jaśniej. Choćby miało być jaśniej tylko u jednego człowieka.

Trochę tak jak z nagłą awarią elektryczności. Można narzekać na ciemność. Ale też można zapalić świecę i postawić ją na klatce schodowej. Całych schodów nie oświetlimy, ale będzie trochę jaśniej. I do tego chyba sprowadza się ta przyziemna nadzieja. Żeby było jaśniej.

Wiara w sens dobra.

Nawet jeśli nie w szybkie jego zwycięstwo. Powiedziałbym, że wcale nie muszę mieć wiary w zwycięstwo dobra nad złem. Choć księdzu pewnie wypadałoby powiedzieć inaczej.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Weź, czytaj online!

Zamów prenumeratę cyfrową i zobacz,
jak wygodnie jest mieć nieograniczony dostęp
do strony TygodnikPowszechny.pl

- w każdą środę – **do bieżącego wydania**
- do ponad **60 tys. tekstów** archiwalnych, dodatków i podcastów

Wybierz idealny dla siebie czas dostępu – na 1, 3 lub 12 miesięcy na powszech.net/cyfra

i czytaj „Tygodnik” **bez ograniczeń!**

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ŚWIAT

KOLEJNY FRONT

Gdy Rosja uderzyła, poszli na wojnę jako jedni z pierwszych. Docierali z pomocą do miejsc niebezpiecznych i zapomnianych. Dziś ukraińscy wolontariusze walczą z epidemią.

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

Spotykamy się w jego biurze, na terenie monasteru św. Michała Archanioła o Złotych Kopułach. To główna świątynia Cerkwi Prawosławnej Ukrainy, która powstała półtora roku temu jako Cerkiew autokefaliczna – niezależna i zjednoczona. Ojciec Serhij Dmitriew jest w niej zastępcą szefa synodalnego zarządu ds. społecznych. Od początku epidemii pełni też obowiązki głównego medycznego kapelana Ukrainy.

– Mamy kilkunastu rannych żołnierzy, przywieźli ich do szpitala wojskowego w samych pampersach. Właśnie szukam dla nich ubrań – na wstępie tłumaczy, dlaczego nie ma za wiele czasu.

Wszystko w rękach ludzi

Ojciec Serhij mówi, że żołnierze, którzy zostali ranni na froncie, po ustabilizowaniu są transportowani do Kijowa – i tu trafiają w sam środek epidemii. Jednostki w Donbasie to osobny izolowany świat, dlatego zdiagnozowano w nich dopiero kilkanaście infekcji. Inaczej jest w stolicy.

– Chłopak stracił nogę na froncie i w każdej chwili może umrzeć, a teraz matka nie może go nawet odwiedzić w szpitalu – denerwuje się duchowny. – Nasz kraj od sześciu lat jest niszczony wojną z Rosją. Dziś dochodzi wirus.

Serhij jest też kapelanem 30. Brygady Zmechanizowanej. Dwa tygodnie temu odwiedził ją na froncie. Gdy rozmawialiśmy, wybierał się tam znowu, aby spędzić już siódmą swoją Wielkanoc w okopach:

– Oni tam na mnie czekają. Ze względu na kwarantannę maksymalnie ograniczę bezpośrednie kontakty. Można się wspólnie pomodlić również z odległości kilku metrów.

– Ludzkość przetrwała już wiele kataklizmów, do wszystkich się dostosowuje i wytwarza mechanizmy samopomocy. U nas jest znowu jak w roku 2014. Wszystko w rękach ludzi: wolontariuszy, organizacji charytatywnych, Kościołów. Przez tyle lat nie podjęto wysiłku reformy, która usprawniłaby działanie państwa w sytuacji kryzysowej! Mamy nowy kryzys, a na placówki najbardziej zagrożone przez epidemi ę znów docierają tylko wolontariusze, z pomocą uzbieraną w społecznych akcjach – mówi duchowny.

Ze wszystkich jednostek dochodzą sygnały, że środków ochronnych jest za mało lub nie ma ich wcale. Dlatego Serhij wozi teraz żołnierzom maski, rękawiczki, środki odkażające.

Gdy państwo zawodzi

Duchowny pomaga też pracownikom służby zdrowia. Jak? Na przykład – organizuje dla nich transport do szpitali, gdzie pracują.

Wyjaśnia, że lekarz chorób zakaźnych zarabia 7 tys. hrywien (równowartość 1100 zł), pielęgniarka 4,5 tys. hrywien (700 zł). Dla wielu wynajem mieszkania w Kijowie jest za drogi, mieszkają na obrzeżach. Teraz, gdy są najbardziej potrzebni, jeśli nie mają własnego auta, nie mogą dotrzeć do pracy. Zawieszono transport miejski, a zastępcze autobusy są przepełnione (tłumy czekają na przystankach po kilka godzin, by się do nich dostać).

Serhij przewodniczy też organizacji Eleos Ukraina – to prawosławny odpowiednik Caritasu. W samym tylko Kijowie organizacja zapewnia ciepły posiłek dla kilkuset bezdomnych dziennie.

Duchowny mówi, że władze stolicy sprawiają wrażenie, jakby nie wiedziały, co robić dziś z tymi ludźmi: – Nie ma dla nich państwowych ośrodków pomocy, policja ich przegania. Wyrzucili ich z dworców, parków i innych miejsc, gdzie żyli. Wcześniej byli dokarmiani przez restauracje, ale te są zamknięte. Ulice puste, więc nie da się żebrać. To już kwestia życia i śmierci. W dodatku bezdomni są bardziej narażeni na choroby, nie mają możliwości zabezpieczenia się przed koronawirusem. Dlatego tam, gdzie państwo zawodzi, wkraczamy my.

ANNA MARCHENKO / TASS / GETTY IMAGES

Wśród duchownych z Ławry Peczerskiej, należącej do Moskiewskiego Patriarchatu, stwierdzono ponad 90 infekcji. Kijów, 13 kwietnia 2020 r.

Kościoły i epidemia

Cerkiew Prawosławna Ukrainy stworzyła na Facebooku stronę z informacjami o COVID-19. Zamieszczane tam są porady lekarzy, odpowiedzi na pytania wiernych, instrukcje dla kapelanów czy apele, by pozostać w domu, także podczas świąt.

Serhij: – W prawosławiu jest np. zwyczaj całowania zmarłych. Tłumaczymy, że teraz nie należy tego robić. Ciąży na nas odpowiedzialność, aby tradycje nie naruszały kwarantanny. Dla bezpieczeństwa z niektórych trzeba zrezygnować.

Tymczasem Cerkiew Prawosławna Moskiewskiego Patriarchatu, kontrolowana przez Rosję, zignorowała kwarantannę. Jej świątynie szybko stały się jednym z głównych ognisk zakażeń. W Ławrze Peczerskiej stwierdzono już ponad 90 infekcji, dwóch mnichów nie żyje. Jeszcze niedawno wierni mogli usłyszeć w niej nawoływania do udziału w nabożeństwach i zapewnienia, że nie trzeba się obawiać epidemii, lecz grzechu. – To efekt tego, że przedstawiciele Moskiewskiego Patriarchatu opierają się na wskazówkach z Rosji, a nie na zaleceniach państwa ukraińskiego. To tworzenie zagrożenia dla wiernych – komentuje Serhij.

Duchowny dobrze zna realia Moskiewskiego Patriarchatu, bo sam kiedyś do niego należał. Zrezygnował z niego na rzecz ukraińskiej autokefalii: – Odszedłem, bo chcę, by moja pomoc docierała do Ukraińców, a nie do państwa rosyjskiego. Nie możesz przekazywać miłości Chrystusa, gdy nienawidzisz kraju, w którym służysz. Najpierw należy pokochać, a potem opowiadać o miłości.

Taras odciąża państwo

Gdy wiosną 2014 r. Rosja uderzyła, poszli jako jedni z pierwszych, bez rozkazu. Na początku wzięli na siebie wyposażenie (w praktyce – także wykarmienie) batalionów ochotniczych i armii regularnej, wcześniej rozmontowanej przez ekipę Janukowycza. Byli na pierwszej linii, docierali do miejsc niebezpiecznych i zapomnianych. Pomagali cywilom. Opiekowali się rannymi, uchodźcami i weteranami, którzy wracali do domu z syndromem stresu pourazowego. Dziś ukraińscy wolontariusze walczą z epidemią.

Na nowy front stawiła się też Czarna Sotnia, powstała podczas Rewolucji Godności. Jej członkowie w 2013 r. byli na Majdanie, potem brali udział w wojnie jako ochotnicy. Czarną Sotnią okrzyknęły ich prorosyjskie media, nawiązując do ich czarnych ubrań. Były to kupione z demobilu mundury polskich celników, w kolorze czarnym.

Dziś jako organizacja pozarządowa Czarna Sotnia skupia ok. 5 tys. wolontariuszy, którzy zajmują się działalnością charytatywną. Zbierają pieniądze na operacje rannych, na kolonie dla sierot i dla dzieci z Donbasu, na socjalizację weteranów. Wydają pismo „Ochotnik" i gazetkę dla dzieci.

– Teraz przestawiliśmy się na walkę z koronawirusem – mówi 37-letni Taras Macjuk, szef organizacji. Jej kijowskie biuro wypełniają sterty kartonów z rękawiczkami, wyprodukowani na drukarkach 3D przyłbicami ochronnymi i maseczkami własnej produkcji.

Taras Macjuk: – Skupiamy się na placówkach medycznych i na wspieraniu emerytów, którzy są najbardziej zagrożeni, a nie mogą sobie pozwolić na takie zakupy. Pomagamy też wojskowym. To skandal, że państwo nie jest w stanie zabezpieczyć nawet ludzi, którzy mu służą.

Taras uważa, że epidemia uwypukla „korupcyjne schematy", które trawią instytucje państwowe. Oburza go, że kupione z budżetu środki ochronne są sprzedawane. W dodatku nie jest jasne, w jaki sposób wybiera się firmy, które nimi handlują: – To wszystko powinno być rozdawane. Władza się jeszcze zakrztusi tym graniem na zdrowiu narodu.

Organizacja planuje też kursy pierwszej pomocy medycznej w przypadku zarażenia.

– Wielu młodych lekarzy wyjechało do pracy na Zachód. Większość pracowników służby zdrowia to ludzie starsi ↦

– mówi Macjuk. – Docierają do nas sygnały, że niektórzy zwalniają się z pracy, bo boją się o swoje życie. Chcemy pomóc. Wielu naszych wolontariuszy przeszło Majdan i wojnę, przywykli do zagrożenia.

Macjuk unika porównań z sytuacją w 2014 r., z tamtym wsparciem dla armii: – Nie zajmuję się porównywaniem, działam. Na razie odciążamy państwo. Ale jeśli aktywiści obywatelscy radzą sobie najlepiej ze wspieraniem społeczeństwa podczas kryzysu, to może powinni oni zastąpić urzędników?

Droga Andrija

Biuro Lwowskiego Rycerza mieści się w pałacu Sapiehów, w stolicy Galicji. Miejsce to niezwyczajne: w XIX-wiecznym neobarokowym budynku można minąć się na schodach z profesorem historii sztuki, aby za chwilę natknąć się na grupkę żołnierzy wojsk specjalnych.

– Powtarzamy, że żołnierze na froncie też zajmują się ochroną zabytków, bo gdy Rosja rozszerzy swoją ekspansję, nie będzie już nic, w tym zabytków – mówi w rozmowie telefonicznej Andrij Saljuk, szef organizacji, a ja słyszę, jak się uśmiecha swoim charakterystycznym uśmiechem.

Siedziba Rycerza to także jego miejsce pracy. Andrij jest przewodniczącym Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Obwodu Lwowskiego. Jego droga wiodła od organizowania studenckich protestów 30 lat temu, w czasach sowieckich (nazwanych Rewolucją na Granicie), przez trzy kierunki studiów i Akademię Dziedzictwa przy Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie, Pomarańczową Rewolucję, aż po punkt pomocy charytatywnej na Majdanie, którego naturalną kontynuacją było wsparcie dla armii.

W historii tej pomocy jest polski akcent. Andrij – Mój przyjaciel, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, uczył mnie kiedyś, jak wykorzystać kamery termowizyjne do restauracji zabytków. Tłumacząc najprościej, chodzi o to, że jeśli część ściany jest mokra, to w tym miejscu jest chłodniejsza. Dzięki termowizorowi można ocenić stan zabytku. Miałem więc pewną wiedzę o tym sprzęcie. Aby zrozumieć, w jakim stanie była nasza armia na początku rosyjskiej agresji, wystarczy powiedzieć, że gdy przekazaliśmy pierwsze termowizory żołnierzom, musieliśmy uczyć ich, jak z nich korzystać, bo nigdy nie widzieli takiego sprzętu. I tak zaczęliśmy zajmować się profesjonalnie optyką dla armii.

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTY

Nikita Titow, ukraiński artysta z Charkowa, pokazuje, że Ukrainy przed Rosją i epidemią bronią ci sami ludzie

Ojciec Serhij Dmitriew

MONIKA ANDRUSZEWSKA x2

Wolontariusz Taras Macjuk

Odkąd zaczęła się epidemia, ludzie z Lwowskiego Rycerza produkują mobilne odkażające lampy ultrafioletowe. Przekazują je szpitalom i jednostkom na froncie. Andrij: – Inne organizacje zajmują się maseczkami. My mamy przygotowanie techniczne, by pomóc w bardziej zaawansowanym zakresie. Staramy się wykorzystać naszą wiedzę. Wciąż sami się uczymy i rozwijamy. Za to nasze władze sprawiają wrażenie, jakby niczego nie nauczyły się przez ostatnie lata.

– Formalnie mamy rząd, faktycznie mamy katastrofę – stwierdza Andrij. – Jak inaczej nazwać sytuację, gdy na początku epidemii władze zezwalały na sprzedaż sprzętu ochronnego za granicę? A teraz my mamy te braki uzupełniać...

– W większości naszych szpitali brakuje podstawowych rzeczy. Prawie całe nowoczesne wyposażenie, którym one dysponują, zostało zakupione i sprowadzone z zagranicy przez wolontariuszy. Chorym na COVID-19 państwo może zaoferować gołe ściany szpitali. Jeśli tak potężne kraje jak USA czy Włochy nie dają sobie rady, to tylko Bóg może uratować Ukrainę – uważa Andrij Saljuk.

Boję się o was

W ostatnich dniach ukraińskie media obiegł dramatyczny wpis lekarza, Hliba Bitjukowa, który pojechał wesprzeć kolegów po fachu na północy Włoch.

„Pytają mnie, czy się boję – pisał Bitjukow. – Dziś po raz pierwszy przyłapałem się na tym, że tak. Ale nie boję się o siebie. Boję się, gdy patrzę na sprzęt, który jest w malutkim włoskim szpitalu. Boję się, bo nie wiem, jak w mojej ojczyźnie poradzimy sobie ze znacznym wzrostem liczby pacjentów, dysponując tylko termometrem i kroplówką. (...) Włoskie warunki są nieporównywalne z sytuacją w szpitalach ukraińskich, gdzie często nie ma ani jednej pary rękawiczek. U nas wszystko, nawet cewniki moczowe, kupują pacjenci. Żeby pomóc jako lekarz, musisz poczekać, aż krewni chorego wszystko przyniosą, i dopiero wtedy można zacząć działać".

Pod relacją lekarza, wśród setek komentarzy, przeważa gorycz i sarkazm. Ukraińcy wiedzą, że nie mogą liczyć na pomoc państwa. Ale widać też głosy nadziei. To wolontariusze znowu wesprą kraj – piszą ludzie z przekonaniem. – Skoro dali sobie radę w czasie Rewolucji Godności i wojny, to również godność życia i chorowania zdołają teraz obronić.

■■■

Gdy kończyłam ten tekst, we wtorek 14 kwietnia, na Ukrainie stwierdzono oficjalnie 3372 infekcje i 98 zgonów na COVID-19. Wielu ekspertów uważa, że to dane znacznie zaniżone. W kraju zrobiono dotąd tylko 804 testy na milion mieszkańców. W Polsce, proporcjonalnie do liczby ludności, pięć razy więcej.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

JORDI BOIXAREU / ZUMA PRESS / FORUM

Starsza para w drodze na zakupy. Dzielnica Gotycka w Barcelonie, Hiszpania, 7 kwietnia 2020 r.

Jak to się skończy, pójdziemy do kina

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Mieszkańcy domów opieki mogą stanowić aż połowę ofiar epidemii w Hiszpanii. Seniorzy, którzy mieszkają samodzielnie, mają łatwiej. Co nie znaczy, że łatwo.

Żyją same albo z mężem, z kotami. W Barcelonie albo na jej obrzeżach, czasem na wsi. Jedne zbliżają się do osiemdziesiątki, inne ją przekroczyły (te drugie podkreślają z powagą, że są od tych pierwszych dużo starsze). Każda, wiadomo, na emeryturze. Wcześniej były pielęgniarkami, urzędniczkami, zwiedzały świat. Nasze rozmowy trwają dziesięć minut, dwadzieścia, godzinę. Nie zawsze na temat. Częściej nie, bo łatwiej jest rozmawiać o wszystkim.

María Teresa, Montse, Pilar, Enriqueta – mają ten sam problem. Czas jakby się rozciągnął. Zawsze było go dużo, teraz jest jeszcze więcej.

Tego jeszcze nie było

Montse nie trzeba zadawać wielu pytań. Jak tylko orientuje się, po co dzwonię, zaczyna z precyzją relacjonować swój plan dnia. Plan to słowo nieprzypadkowe: Montse wszystkie zajęcia rozpisuje w zeszycie dzień wcześniej. Ze strachu przed lenistwem. Drobiazgowo rozpisana codzienność to broń, która ma chronić przed godzinami na kanapie.

– Życie w kwarantannie? – dopytuje, czy dobrze zrozumiała. Gdy potwierdzam, prezentuje rozpiskę: – Pobudka o 10.30, ale to dlatego, bo późno chodzimy spać, oglądamy filmy do pierwszej, drugiej w nocy. Po śniadaniu ja czytam, on włącza komputer, aby się trochę oderwać od rzeczywistości.

On – to przyjaciel Montse. Bardzo jej pomógł po stracie męża i jednego z synów. Żyją razem (w weekendy i wakacje) i osobno (w tygodniu). Kwarantanna zmusiła ich, by wspólny czas wydłużyć. Montse na towarzystwo nie może narzekać.

– O pierwszej, to ważne, wychodzimy ćwiczyć na balkon. Trzeba rozruszać mięśnie – kontynuuje. – Rozmawiamy, potem przychodzi pora posiłku. Zwykle każde przygotowuje coś dla siebie. Do sklepu poszliśmy w trakcie kwarantanny może dwa, trzy razy. Raczej wychodzę ja, bo jestem młodsza.

Montse zaczyna się śmiać: ta „młodsza" ją trochę bawi, skończyła przecież 78 lat.

– W trakcie jedzenia oglądamy wiadomości, ale tylko te o czternastej – Montse uważa, że informacje o wirusie najlepiej ograniczyć do minimum. – No, może jeszcze wieczorem włączamy, żeby zobaczyć, czy coś się zmieniło, sprawdzamy liczbę zachorowań. No i jeśli jest konferencja ↦

prasowa, ktoś z rządu, to chcemy być na bieżąco. Poza tym już nic!

Czas między informacjami popołudniowymi i wieczornymi mija Montse na czytaniu, oglądaniu Netfliksa albo spektakli katalońskiego teatru. Czasem słuchają jazzu, bo tak się składa, że jej przyjaciel bardzo lubi jazz. – I tak mijają dni, nie mam na co narzekać!

Z tym, że czasem mózg upomina się o narzekanie. Np. wtedy, gdy męczy ją już krążenie po mieszkaniu. Cały dzień to samo: kuchnia, łazienka, salon. Tęskni za zapachem morza i wolnością, której wcześniej nie doceniała. Albo gdy leży w łóżku, patrzy w sufit i w głowie pojawia się pytanie: po co tu właściwie jestem?

– Człowiek chciałby się na coś przydać, nie wiem, choćby coś innym ugotować. Ja nie mogę nic! – Montse czuje przecież, że uczestniczy w wydarzeniu historycznym. Czegoś takiego jeszcze nie było. Porównać może to tylko do grypy hiszpanki, o której opowiadali jej rodzice. A w tym wszystkim ona, zupełnie nieużyteczna! Ale wtedy powtarza sobie: – Nie ma na co narzekać, jestem i tak uprzywilejowana. Mam się do kogo odezwać, syn i wnuki zdrowe, *gracias a Dios*. Nie wszyscy mają tyle szczęścia.

Nie ma tyle szczęścia np. przyjaciółka Montse, która mieszka sama. Na co dzień sobie radzi, ale ostatnio miała ochotę na pieczonego kurczaka. I to właśnie zapach, który rozniósł się po domu, sprawił, że poczuła się dziwnie. Jakby ktoś jej tę samotność uwypuklił.

Nie mają tyle szczęścia również niektórzy mieszkańcy domów opieki.

Za drzwiami domów opieki

Komputer, przyznaje 75-letnia Enrqueta, to jej okno na świat. Dzięki niemu codziennie je śniadania z rodziną. Każdy przy ekranie, machają do siebie przez Skype'a. Na nim ogląda ulubione seriale, te kryminalne, zwykle skandynawskie. Musi być jakaś intryga, inaczej szybko traci zainteresowanie.

– Chciałam się tu przeprowadzić – mówi Enriqueta o swoim domu opieki. – Choruję na przewlekłą chorobę, pomyślałam, że tak będzie lepiej. I jest! Każda z nas ma wygodny pokój, jest nawet mały ogródek.

We wtorki spotykała się ze znajomymi z klubu książki, w czwartki szła na wykłady do osiedlowego domu kultury. Teraz jest kwarantanna i zostały tylko te seriale. Wszyscy siedzą w osobnych pokojach, za zamkniętymi drzwiami. Na posiłki schodzą w dwóch turach. W drodze do windy jest stolik z żelem, tu dodatkowo dezynfekują ręce.

CLARA, LAT 25, PRACOWNICA DOMU OPIEKI:

Maseczki i uniformy dostaliśmy dopiero, gdy zmarły już pierwsze osoby. Wcześniej radziliśmy sobie, jak mogliśmy: robiliśmy maseczki z papieru toaletowego.

Na początku Enriquetę to denerwowało. Bo co to znaczy, że nie może wyjść z pokoju? Że córka nie jest w stanie jej nic przekazać, nawet przez drzwi? Teraz, gdy widzi, co stało się w innych ośrodkach, jest wdzięczna. – Dbają o nas przesympatyczne dziewczyny. Przychodzą codziennie, w maseczkach i rękawiczkach, żeby zmierzyć temperaturę – Enriqueta nie czuje strachu, bo widzi, że sytuacja jest pod kontrolą. – Nie mieliśmy żadnego przypadku wirusa.

Tego samego nie może powiedzieć Clara, 25-letnia edukatorka, która pracuje w domu opieki w Barcelonie. Nigdy nie stresowała się tak, jak przez ostatnie trzy tygodnie.

– Brakuje personelu, od jakiegoś czasu robię za pielęgniarkę, choć to nie moja praca – tłumaczy. Jej ośrodek jest publiczny, przyjmowane są do niego osoby o różnych profilach. Pięćdziesięcio- i stulatkowie. Niektórzy są całkiem zdrowi, inni potrzebują pomocy przy najprostszych czynnościach. Chorzy na schizofrenię, uzależnieni od narkotyków. Albo byli bezdomni, którzy w pewnym momencie z ulicy trafili do ośrodka. Każdy wymaga innego podejścia, inaczej też reaguje na kwarantannę.

– Maseczki i uniformy dostaliśmy dopiero, gdy zmarły pierwsze osoby – mówi Clara. – Wcześniej radziliśmy sobie, jak mogliśmy: robiliśmy maseczki z papieru toaletowego, później używaliśmy dentystycznych.

W dzień przed naszą rozmową w ośrodku zmarły kolejne cztery osoby. Dla Clary to trudne, bo od trzech lat pracowała z nimi, byli dla niej jak rodzina. O pomocy, jaką uzyskali od państwa, mówi krótko: – Moim zdaniem zostawiono tych ludzi na śmierć.

Pod maską uśmiechu nie widać

W hiszpańskich mediach historie o domach opieki, w których w ciągu tygodnia umiera do kilkunastu osób, pojawiają się regularnie. Szacuje się, że ich mieszkańcy mogą stanowić aż połowę ofiar wirusa w Hiszpanii.

Wielu pracowników i właścicieli ośrodków łączy podobne przekonanie: zapomniano o nas. W mediach społecznościowych publikują prośby o pomoc, jak choćby o zabranie do domu tych, którzy nie wykazują na razie symptomów choroby. Na początku kwietnia katalański rząd wydał pozwolenie i koordynuje takie działania.

– Nie wiem, czy inny rząd poradziłby sobie w Hiszpanii lepiej – zamyśla się Laura, pracownica domu opieki na Majorce. – Nie sądzę, myślę, że mogłoby być nawet gorzej. Na taki kryzys nikt nie był przygotowany.

Jednak zarówno ona, jak i pracująca w tym samym ośrodku psycholożka Irene zgadzają się co do jednego: sytuacja pokazała, jak niedofinansowany jest ich sektor. Nie mieli narzędzi, by radzić sobie z kryzysem, wielu nie ma przygotowania. A w tym wszystkim zarabiają nieco powyżej tysiąca euro na miesiąc, przy obciążającej psychicznie pracy.

– W mediach pokazują te najbardziej dramatyczne przypadki – mówi Irene. – U nas jest spokojnie, na razie nikt nie ma symptomów. Zakładamy, że wszyscy są zdrowi.

Muszą zakładać, bo obiecane testy dotąd nie dotarły. I na razie, jak twierdzą, na to się nie zanosi – wbrew temu, co mówią w telewizji.

Gdy pytam, jak mieszkańcy ośrodka znoszą niepewność i odosobnienie, Irene pokazuje w kamerce swój uniform: – Ci, którzy mają problemy z pamięcią, bez przerwy pytają, po co się tak przebrałyśmy. Dla nich właśnie tak wyglądamy, jak przebierańcy. Trzeba im codziennie przypominać, dlaczego muszą zostać w pokoju.

Irene tłumaczy, że to, jak podopieczni domów opieki radzą sobie z kwaran-

tanną, często zależy od warunków, w których żyją. A te w prywatnym ośrodku zależą od pieniędzy. Jeśli płacisz więcej, masz jedynkę z dużym oknem, spędzasz dzień na rozwiązaniu krzyżówek i oglądaniu telewizji. Płacisz mniej, to jesteś w pokoju ze współlokatorem, który po dwóch tygodniach kwarantanny irytuje cię coraz bardziej.

– Najbardziej i tak brakuje im bliskości. Przytulenia od nas, całusa na przywitanie – dodaje Laura. Pod maską nie widać nawet, czy ktoś się do ciebie uśmiecha. – Na pewno to jest dla nich duża zmiana, zwykle mieli dni wypełnione zajęciami. Ale czy byłoby im lepiej samym, nawet w dużym mieszkaniu?

Coś pozytywnego, jakiś filmik

María Teresa ma 76 lat i nie tęskni za ludźmi. Brakuje jej za to długich spacerów. Aby nie wyjść z formy, chodzi po korytarzu w swoim mieszkaniu. Tam i z powrotem, trzy razy dziennie, po 20 minut. – To już jest coś. Choć przed tym wszystkim w jedno popołudnie robiłam nawet dziesięć kilometrów! – chwali się.

Całe życie pracowała jako pielęgniarka. Kryzys sanitarny jej nie zaskoczył. – Gdy oglądałam w telewizji, jak przygotowują się chińskie szpitale, już wiedziałam, że to coś bardzo poważnego – tłumaczy. – Byłam pewna, że do nas dotrze prędzej czy później.

Wciąż rozmawia ze znajomymi z byłej pracy. Na początku kryzysu głównie o tym, co się działo w szpitalnych salach, bo potrzebowali się komuś wygadać. Teraz wolą nie mówić o niczym, co ma związek z wirusem. Stara się wysyłać im jakieś pozytywne wiadomości, czasem zabawny filmik. Z innymi znajomymi też jest w kontakcie. Nawet jeśli czasem wolałaby nie być.

– Męczy mnie jedna przyjaciółka – uśmiecha się María Teresa. – Dzwoni do mnie kilka razy dziennie i przekazuje wszystkie swoje lęki. Że wszyscy umrzemy, że nie będzie co jeść, że nasza gospodarka sobie nie poradzi...

María Teresa wie, że to prawdziwe problemy, ale nie chce się na tym skupiać. Zwłaszcza że z kwarantanną radzi sobie dobrze. Nie ma dzieci ani męża, od zawsze zależało jej, by mieć dużo przestrzeni tylko dla siebie. Tak jej najlepiej. Podejrzewa jednak, że nie wszyscy jej rówieśnicy czują podobnie: – Chyba niektórym, zwłaszcza kobietom, jest z tym ciężko, nie radzą sobie ze strachem przed samotnością. Myślą: co będzie, jeśli coś mi się stanie? Kto mi pomoże?

Chwila w towarzystwie

Podobne pytania może zadawać sobie w Hiszpanii nawet 40 proc. osób po 65. roku życia. Na poczucie osamotnienia wpływa nie tylko sytuacja mieszkaniowa (życie w parze czy z dorosłymi dziećmi nie zawsze jest gwarancją lepszego samopoczucia), ale też odczuwalny stan zdrowia.

Wiele zależy także od kultury, w której się wychowujemy. Według niektórych badań, Szwedzi życie w pojedynkę kojarzą częściej z niezależnością, a Hiszpanie – raczej z poczuciem odrzucenia i oddalenia od rodziny. Samotne w Hiszpanii czują się zwykle kobiety. One też, będąc w podeszłym wieku, częściej od mężczyzn chorują na depresję.

„Czuję, jakbym była w środku jakiegoś katastroficznego filmu" – mówi kobiecy głos w krótkim spocie, który promuje akcję „Minutos en Compañía" (Kilka minut dla towarzystwa). Od marca seniorzy mogą dzwonić na specjalny numer, pod którym czekają wolontariusze: dzięki temu mogą porozmawiać o czymkolwiek i jak długo zechcą.

O tym, jak wielu osobom doskwiera w czasie kwarantanny samotność, świadczą liczby: przez 15 dni w samym Madrycie wolontariusze odebrali prawie 4 tys. połączeń.

Z drugiej strony jest María Teresa. Albo Pilar, jej 80-letnia siostra, która, gdy pytam, czy obecność męża pomaga jej w tym czasie, szybko odpowiada ze śmiechem: – Czy on mi pomaga? Gdzie tam! On nigdy w życiu nic w domu nie zrobił! Twierdzi, że miejsce kobiety jest w kuchni. Podobnie myśli cała jego rodzina. Jak byłam młoda i powiedziałam im, że chcę skończyć studia i pójść do pracy, to spytali mnie, czy w takim razie zamierzam porzucić męża! Ale widzisz, ja od zawsze byłam feministką...

I choć orientuję się, że Pilar źle zrozumiała moje pytanie, z entuzjazmem przystaję na kilkudziesięciominutową lekcję feminizmu w wydaniu 80-letniej Katalonki (wiele was ominęło, ale przesłanie jest jedno: bądź, kim ci się tylko podoba!).

Gdy udaje mi się przebić w końcu z pytaniem o kwarantannę, Pilar znów nie zawodzi: – Jak tylko się to wszystko skończy, idziemy do kina! Tęsknię za spacerami po mieście, za chodzeniem na wystawy, koncerty. Nie mogę się doczekać wyjścia do muzeum – rozmarza się. A ja zdaję sobie sprawę, jak żadna z moich rozmówczyń nie pasuje do stereotypu niesamodzielnej staruszki.

I wtedy Pilar kończy, jakby czytała mi w myślach: – Ale, umówmy się, ja nie robię nic ciekawego, przecież jestem stara!

Nie boję się wirusa

Zawiedliśmy – zdaje się mówić dziennikarka Susana Quadrado, gdy w felietonie w dzienniku „La Vanguardia" pisze o czekaniu na śmierć w domach opieki. Pisze o ludziach, którzy zbudowali ten kraj, a teraz są kolejnym numerem w smutnej statystyce. Swój tekst tytułuje: „To nie jest kraj dla starych ludzi".

Zawiedliśmy – wydaje się z nią zgadzać, na łamach tej samej gazety, Javier Ricou, który nazywa osoby starsze „wielkimi zapomnianymi" tej pandemii. Ale zawiedli też inni. Dziennikarz wymienia kraje, które w tym kryzysie nie otoczyły swoich seniorów wystarczającą opieką. W tym te, które nie dołączają osób umierających w domach opieki do oficjalnych statystyk.

Zawiedliśmy, w jakimś stopniu, my wszyscy – za każdym razem, gdy myśleliśmy (być może z ulgą), że „ten wirus zabija tylko starszych".

– Nie wiem, jak w innych krajach, ale tu się seniorów nie szanuje – mówi Irene, psycholożka z domu opieki. – Jesteśmy starzejącym się społeczeństwem. Oni tylko przeszkadzają, kosztują, a nie przynoszą zysków.

Laura dodaje: – Niektórzy może nawet czują, że wirus robi im przysługę.

Nie zgadza się z tym Montse. – My się czujemy bardzo docenieni – uważa. – Młodzi wiedzą, ile dla nich zrobiliśmy. Zbudowaliśmy demokrację, a później w kryzysie pomagaliśmy im finansowo. Do tej pory niektórzy z nas, jeśli taka jest potrzeba, opiekują się wnukami.

Zresztą to wcale nie o siebie martwią się bohaterki tego tekstu.

– Przeżyłam wiele pięknych lat – mówi Pilar trochę wzruszona. – I życzyłabym swoim dzieciom tego samego, żeby mieli choć w połowie tak wygodne i barwne życie. Ale kiedy widzę, co dzieje się na świecie... Mój syn już stracił pracę, a będzie jeszcze gorzej. Ja nie boję się wirusa. Ja tak najbardziej to boję się o was.

© PAULINA MAŚLONA

Czekając na podwójne uderzenie

MAGDALENA BARTCZAK
Z SANTIAGO DE CHILE

W Ameryce Południowej mówi się o nim: „wirus bogatych". Także w Chile, gdzie epidemia ujawnia słabości systemu ochrony zdrowia i skalę nierówności społecznych.

RODRIGO GARRIDO / REUTERS / FORUM

Kelnerki proszą przechodniów o wsparcie finansowe po tym, jak straciły pracę z powodu zamknięcia restauracji i barów. Valparaíso, Chile, 9 kwietnia 2020 r.

Mężczyzna ubrany jest w szpitalny strój i ochronną maseczkę. Ma uśmiechnięte oczy, a w ramionach trzyma niemowlę: swoją nowo narodzoną córeczkę. Tak wygląda ostatnie zdjęcie 34-letniego Francisa Zamory, zrobione 16 marca na oddziale położniczym jednego ze szpitali w Santiago, stolicy Chile.

Tego dnia bohater fotografii nie mógł mieć świadomości, jak krótko będzie trwać jego szczęście. Kilka dni po narodzinach dziecka poczuje się słabo, a każdy kolejny dzień przyniesie pogorszenie. Wkrótce później, 28 marca, umrze. Pogrzeb będzie musiał być skromny, przyjdzie trochę osób z rodziny i kilku przyjaciół. Po ceremonii najbliżsi wypuszczą w niebo – nieznośnie tego dnia błękitne i słoneczne – garść białych balonów, które wzniosą się nad miasto i poszybują w kierunku otaczających je Andów.

Francis Zamora to jedna z najmłodszych ofiar COVID-19 w Chile. Zrobiło się o nim głośno nie tylko z powodu wieku, ale także okoliczności, w jakich zmarł. Mężczyzna mieszkał w Puente Alto, jednej z uboższych dzielnic Santiago. Wkrótce po tym, jak zauważył u siebie podejrzane objawy – m.in. dokuczliwy kaszel i wysoką gorączkę – szukał pomocy w dwóch publicznych szpitalach w okolicy. W obu odmówiono mu zrobienia testu na obecność SARS-CoV-2, choć należał do grupy ryzyka – miał cukrzycę i nadciśnienie.

Gdy symptomy się nasiliły i Francis zaczął mieć problemy z oddychaniem, trafił do trzeciej z kolei placówki. Tam zrobiono mu test. Zanim jeszcze nadeszła diagnoza (wynik pozytywny), mężczyzna umarł.

Leczenie dla wybranych

O SARS-CoV-2 w Chile, podobnie jak w innych południowoamerykańskich krajach, mówi się: „wirus bogatych". Został tu bowiem przywieziony przez tych, których stać na podróże do Azji czy Europy. Pierwszymi nosicielami byli głównie Chilijczycy z *barrios cuicos*, zamożniejszych dzielnic stolicy. Ale zgodnie ze swą naturą koronawirus szybko opanował wszystkie grupy społeczne – i przy okazji zaczął ujawniać potężną skalę panujących w kraju nierówności. Tych samych, z powodu których miliony Chilijczyków wyszły kilka miesięcy temu na ulice.

Niewykluczone, że teraz dotknie głównie najuboższych. Tych, którzy nie mogą pozwolić sobie na pracę z domu – w tym wielu seniorów, dorabiających do niskiej emerytury. A także tych, których nie stać na regularne ubezpieczenie, dla których koszty ewentualnego leczenia oznaczają równowartość paru miesięcy pracy. W grupie ryzyka są więc nie tylko ludzie starsi, lecz również tacy jak Francis Zamora, którego

nie było stać na opłacenie diagnozy w prywatnej klinice.

Przy okazji wiadomości o jego śmierci podniesiono temat nieprzejrzystości informacji o dostępności testów oraz różnic w podejściu do pacjenta w szpitalach publicznych i prywatnych. Te pierwsze cierpią na braki w infrastrukturze i dofinansowaniu oraz niedostatki personelu, z kolei na wizytę w tych drugich stać w Chile nielicznych – szacuje się, że na prywatne usługi decyduje się nie więcej niż 8 proc. społeczeństwa.

Pacjent jako klient

Zaczęto też głośniej mówić o tym, że skrajnie wolnorynkowa natura tutejszej ekonomii wprowadza selekcję pacjentów już na pierwszym etapie, czyli na poziomie dostępności testu. Bo choć w klinikach prywatnych jest o niego łatwiej, to jego ceny jeszcze w połowie marca wynosiły w nich 40-60 tys. pesos (równowartość 200-300 zł). W niektórych placówkach testy kosztowały nawet 120 tys. pesos (prawie 600 zł).

Dopiero po nagłośnieniu tematu przez media rząd zaczął wprowadzać cenowe regulacje. Według rozporządzeń z końca marca test zarówno w placówkach publicznych, jak i prywatnych ma już stałą cenę: 25 tys. pesos (ok. 130 zł). Podobnie jak koszty hospitalizacji, opłata ta jest zwracana pacjentom posiadającym ubezpieczenie zdrowotne (tzw. Fonasa lub Isapre), zwykle jednak zwrot następuje dopiero po kilku miesiącach. Koszty kilkudniowej hospitalizacji mogą zaś wynieść np. milion pesos (ok. 5 tys. zł), co dla wielu Chilijczyków jest sumą trudną do udźwignięcia.

– Dla sporej części społeczeństwa potencjalne koszty leczenia są trudne do wyobrażenia. Wielu może to zniechęcać do szukania pomocy nawet wtedy, jeśli zauważą u siebie niepokojące objawy – uważa 36-letni Rolando Mancilla, pracownik fundacji społecznej w Santiago. Choć jego pracodawca opłaca mu ubezpieczenie, mężczyzna obawia się kosztów leczenia, bo najpierw musiałby pokryć je sam, aby potem czekać na ich refundację.

– Już na wstępie trzeba zapłacić za test, a później za hospitalizację, nie mając pewności, jaka to będzie suma – wylicza Rolando. – Rachunek jest zwykle wystawiany po zakończeniu leczenia i obejmuje nie tylko łóżko i opiekę lekarską, ale też takie wydatki jak strój szpitalny czy narzędzia wykorzystane przy zabiegach. Nie ma znaczenia, czy mówimy o szpitalu publicznym, czy prywatnym: w Chile na każdym etapie leczenia pacjent jest traktowany jak klient, a jego zdrowie jak produkt. Wygląda na to, że te zasady nie przestają obowiązywać nawet w czasie pandemii.

Stan katastrofy

Szacuje się, że SARS-CoV-2 dotarł do kraju pod koniec lutego. Pierwszy przypadek potwierdzono 3 marca u 33-letniego lekarza z miasta Talca (środkowe Chile), który kilka dni wcześniej wrócił z Singapuru. Od tego czasu do 13 kwietnia potwierdzono 7525 infekcji, co 18-milionowy kraj stawia w czołówce tych państw Ameryki Południowej, gdzie epidemia rozwija się najbardziej dynamicznie. Więcej infekcji zanotowano tylko w dużo bardziej zaludnionych Brazylii i Peru.

To pesymistyczne zestawienie ma jednak pozytywne uzasadnienie: właśnie Chile jest tym państwem regionu, gdzie dane dotyczące pandemii wydają się najbardziej rzetelne, a „wyłapywanie" infekcji – najskuteczniejsze. Choć dostępność testów nadal jest problematyczna, robi się ich tu najwięcej na kontynencie (85 tys.). Dla porównania: w 220-milionowej Brazylii zrobiono dotąd 63 tys. testów, a w 45-milionowej Argentynie – 20 tys.

Dowodem udanej diagnostyki może być też wysoka liczba (ok. 2,3 tys.) wyleczonych i niska śmiertelność: aktualna liczba 82 zmarłych mocno odbiega od trzy- i czterocyfrowych liczb w Brazylii, Peru czy dramatycznie dotkniętym przez pandemię Ekwadorze.

Poza niską śmiertelnością, na tle innych państw Chile wyróżnia się też tym, że rząd dość późno zdecydował się na zarządzenia ograniczające rozwój epidemii i nadal odrzuca możliwość wprowadzenia ogólnonarodowej kwarantanny (jaką ustanowiono m.in. w Peru, Argentynie, Boliwii i Kolumbii). Pierwsze znaczące restrykcje pojawiły się 15 marca, gdy zamknięto przedszkola, szkoły i uczelnie (co najmniej do 24 kwietnia). 18 marca prezydent Sebastián Piñera ogłosił na 90 dni stan katastrofy. Zakłada on m.in. przesunięcie plebiscytu w sprawie nowej konstytucji (z 26 kwietnia na koniec października), godzinę policyjną (od 22 wieczorem do 5 rano) i tymczasowe kwarantanny w kilku miastach oraz dzielnicach Santiago – w zależności od rozwoju epidemii, stopniowo w jednych miejscach nakładane, a w innych znoszone. W całym kraju zamknięto kina, kluby, restauracje, galerie handlowe.

Zima sprzyja wirusowi

Kolejne rozporządzenie wprowadziło obowiązek noszenia maseczek w środkach transportu miejskiego. Powstaną też szpitale polowe na wypadek, gdyby zabrakło łóżek. Ma być ich kilka, a pierwszy otwarto już pod koniec marca w stolicy – na terenie, gdzie zwykle odbywają się koncerty.

– W Chile jesteśmy przyzwyczajeni do różnego rodzaju kataklizmów. Regularnie nawiedzają nas przecież trzęsienia ziemi, tsunami, powodzie, erupcje wulkanów. Nasz rząd ma więc opracowany i wyćwiczony schemat działania w takich krytycznych momentach – opowiada mi Valentina Gutiérrez, lekarka pediatra pracująca w szpitalu w Santiago.

– Teraz postanowiono odwołać się do tych samych rozwiązań. Zobaczymy, na ile będą one efektywne w sytuacji pandemii. Niepokoi mnie, że minister zdrowia długo podchodził do tematu pobłażliwie, a teraz zdaje się zakładać, że kraj radzi sobie w walce z wirusem wzorcowo. Nie byłabym taką optymistką – dodaje stanowczym głosem Valentina.

Lekarka przywołuje szacunki, że w Chile pandemia będzie mieć nie jeden, lecz co najmniej dwa większe szczyty zachorowań: – Pierwszy najpewniej na przełomie kwietnia i maja, a drugi wraz z mocniejszym uderzeniem zimy [która na półkuli południowej wkrótce się zacznie – red.].

– Zimą, w maju i czerwcu, mamy tu zwykle sezon grypowy, wiele osób zapada w tym czasie na różne choroby układu oddechowego, które są niestety chilijską specjalnością – precyzuje Valentina. – Wysokie temperatury sprzyjały dotąd walce z wirusem, ale możliwe jest, że za sprawą nadchodzącego chłodu fala zarażeń znów się podniesie. Wszystko wskazuje więc na to, że największa katastrofa jest dopiero przed nami.

Minister lubi upiększać

Choć minister zdrowia Jaime Mañalich jest zadowolony z obranej taktyki i na ↦

codziennych konferencjach prasowych twierdzi, że „wszystko jest pod kontrolą", to wielu zwykłych Chilijczyków i duża część środowiska lekarskiego patrzy na sytuację podobnie jak Valentina, z większym sceptycyzmem.

Ludzie nie zapominają, że mieszkają w kraju, gdzie na operację w szpitalu publicznym czeka się średnio półtora roku, bo brakuje łóżek i sprzętu. Wiedzą też, że trudno o zachowanie idealnej higieny bez regularnego dostępu do wody – a w takiej sytuacji jest około miliona domów, zwłaszcza na północy i w niektórych dzielnicach Santiago.

Mają też świadomość, że minister zdrowia lubi upiększać. Do historii przeszła sytuacja, gdy Mañalich stwierdził w telewizyjnym wywiadzie, że Chile ma jeden z najlepszych systemów ochrony zdrowia na świecie – była to odpowiedź na postulat reformy służby zdrowia powracający podczas protestów. Wkrótce potem media obiegło zdjęcie z publicznego szpitala w stolicy, gdzie z powodu zaniedbań przepaliła się instalacja elektryczna i lekarze musieli kończyć zabieg, posiłkując się... latarkami z telefonów komórkowych. Chilijski internet wypełnił się memami na temat oderwania polityków od rzeczywistości.

Zanim więc w połowie marca pojawiły się pierwsze odgórne komunikaty w sprawie pandemii, wielu Chilijczyków motywowało się do dobrowolnej kwarantanny na własną rękę, nie wierząc w optymistyczną narrację rządu. „Nie chcemy być Włochami Ameryki Południowej!"; „Nie wierz ministrowi i zostań w domu!" – wołały hasła w mediach społecznościowych.

Stolica i reszta świata

Wiele dramatycznych apeli pojawiło się poza Santiago, szczególnie w oddalonych regionach, których mieszkańcy często czują się zapomniani przez rząd, skupiający całą uwagę na stolicy. Takie głosy zabrzmiały m.in. w mocno dotkniętym przez wirusa regionie Araukania, gdzie już teraz brakuje respiratorów, a pacjenci w stanie ciężkim są przenoszeni helikopterami do stołecznych szpitali.

W niektórych miejscach, jak na wyspie Chiloé, mieszkańcy sami wzięli sprawę w swoje ręce i zaczęli „bronić się" przed przyjezdnymi, barykadując drogi i blokując promy przypływające z lądu. Stanowcze decyzje zaczęły też podejmować lokalne samorządy. Tak stało się w miasteczku Caleta Tortel, leżącym w sercu Patagonii. Po tym, jak okazało się, że odwiedził je zarażony Brytyjczyk, burmistrz Bernardo López na własną rękę wprowadził dwutygodniową kwarantannę całego miasta. „Jesteśmy jednym z najbardziej wyizolowanych miejsc w kraju, nie mamy tu nawet szpitala. Bardzo się boimy. Zanim rząd podejmie decyzję w naszej sprawie, będzie za późno. Jeśli pojawi się więcej zakażeń, nie damy wirusowi rady" – tak López argumentował swoją decyzję.

W Chile – kraju o skrajnie wolnorynkowej ekonomii – **pacjent jest traktowany jak klient, a jego zdrowie jak produkt.** Wygląda na to, że te zasady nie przestają obowiązywać nawet w czasie pandemii.

Na rząd nie czekano też w Puerto Williams, najbardziej wysuniętym na południe miasteczku świata, na samym krańcu Chile. Gdy stwierdzono tam pierwszy przypadek wirusa – u lekarza, który przyleciał z Santiago – ustanowiono obowiązkową kwarantannę. Równie błyskawicznie zadziałał burmistrz Wyspy Wielkanocnej, Pedro Edmunds Paoa, który skrytykował brak decyzji rządu o ogólnopaństwowej kwarantannie i przyznał: „Nie czujemy się traktowani poważnie". 24 marca, gdy potwierdzono pierwszy przypadek zakażenia, Paoa zobowiązał całą ludność tej polinezyjskiej wyspy do pozostania w domach.

„Święte posągi Moai nie obroniły nas przed wirusem, więc musimy bronić się sami. Wyspa liczy 8 tys. mieszkańców. Mamy tylko jeden szpital, a w nim trzy respiratory. Aby dotrzeć do najbliższego szpitala na lądzie, potrzebujemy co najmniej pięciu godzin lotu. Nie miałem wyjścia, musiałem działać sam" – mówił Paoa, który pochodzi z rdzennej ludności Rapa Nui.

Podwójny kryzys

Niedobór sprzętu i materiałów ochronnych to problem nie tylko zakątków Chile, lecz całego kraju. Według oficjalnych danych wszystkie szpitale publiczne i prywatne mają ok. 1800 respiratorów, co według lekarzy nie jest liczbą wystarczającą.

– Jeśli minister zdrowia naprawdę sądzi, że jesteśmy przygotowani, to zapraszam do naszego szpitala – mówi mi przez telefon zdenerwowany Pablo Gutiérrez, 33-letni lekarz pracujący na oddziale pogotowia ratunkowego w szpitalu im. św. Alberta Hurtado, który położony jest w La Pintanie, najbiedniejszej dzielnicy Santiago. – Wielu ludzi nie ma tu dostępu do bieżącej wody. Regularnie prosimy o dostarczanie maseczek, bo wciąż nam ich w szpitalu brakuje. Od paru tygodni szykujemy się tutaj na wojnę!

Nieprzygotowanie systemu ochrony zdrowia to jeden z objawów kryzysu, w którym Chile tkwiło od dawna – nawet jeśli władze nie chciały tego widzieć. Protesty i zamieszki, które zaczęły się jesienią 2019 r., a które były upustem dla społecznych napięć i reakcją na ten kryzys, doprowadziły do jeszcze potężniejszych problemów ekonomicznych. W licznych sektorach gospodarki zapanował zastój, wiele osób straciło pracę, małe firmy zaczęły upadać. Cenę za społeczną rewolucję, wciąż jeszcze niedokończoną, zapłaciło wielu Chilijczyków.

A teraz, gdy wszystko powoli zaczęło wracać do normy, nadeszła pandemia. Wielu ekonomistów twierdzi, że wraz z nią nastąpi – jak wszędzie na świecie – jeszcze potężniejsza recesja.

– Tym, co dziś odczuwa się w Chile, jest przede wszystkim ogromna niepewność. Jeszcze większa niż ta, którą czuliśmy w zeszłym roku. I dodatkowo tymi wcześniejszymi doświadczeniami wzmocniona – mówi Rolando Mancilla, który uczestniczył w protestach, ale przyznaje, że sam odczuł skutki przyniesionego przez nie chaosu.

Niewykluczone, że za sprawą tego podwójnego kryzysu Chile – kraj długo nazywany ekonomicznym tygrysem Ameryki Południowej – czeka potężna zapaść, z której będzie podnosić się latami.

© MAGDALENA BARTCZAK

ROMAN HUSARSKI

Podczas Święta Kwitnącej Wiśni Koreańczycy chętnie spacerowali w otoczeniu natury. Jeonju, Korea Południowa, 31 marca 2020 r.

Koreański sposób na wirusa

ROMAN HUSARSKI Z JEONJU (KOREA POŁUDNIOWA)

Była jednym z pierwszych miejsc, gdzie wybuchła pandemia. Pomimo minimalnej polityki izolacji, Korea Południowa radzi sobie lepiej niż większość krajów. Dlaczego?

Najpierw kilka liczb. We wtorek 14 kwietnia w Korei Południowej było 10 564 zidentyfikowanych chorych i 222 zmarłych z powodu koronawirusa, a liczba nowych infekcji spadła poniżej 30 dziennie. To mało, a nawet bardzo mało – biorąc pod uwagę także fakt, że pierwsi chorzy pojawili się tutaj już w połowie lutego, a stan wyjątkowy nie przewiduje zakazu wychodzenia z domu.

Owszem, w pierwszych tygodniach epidemii ludzie poznikali z przestrzeni publicznej, ale to dlatego, że Koreańczycy sami nałożyli na siebie kwarantannę. Obecnie, z nastaniem wiosny, znów widać ruch na ulicach. Szczególnie teraz, gdy z powodu Święta Kwitnącej Wiśni Koreańczycy spacerowali i piknikowali w otoczeniu natury. W Seulu zamknięto jedynie newralgiczne punkty, jak wyspa Yeouido, gdzie mogłoby dojść do niebezpiecznego zagęszczenia ludzi. Metro działa bez ograniczeń – codziennie dezynfekują je specjalne ekipy. Wykłady, festiwale czy inne wydarzenia publiczne przełożono na czas nieokreślony. Po dramatycznym rozprzestrzenieniu się wirusa przez kontrowersyjną grupę religijną Shincheonji praktycznie wszystkie Kościoły solidarnie pozamykały swoje bramy. Tutejsi chrześcijanie obchodzili Wielkanoc w domach.

Pomimo tych działań cały czas większość restauracji, targów, pubów, a nawet klubów muzycznych pozostaje otwarta – to prawdopodobnie z powodu tych ostatnich prawie jedna trzecia osób ze stwierdzoną infekcją to 20-latkowie. Na początku kwietnia burmistrz Seulu nakazał zamknięcie wszystkich pubów, dyskotek i klubów nocnych w stolicy.

Dwie maski na tydzień

Ograniczenia są jednak niewielkie w porównaniu do innych krajów, szczególnie europejskich. W odpowiedzi na krytykę politycy rządzącej Partii Demokratycznej odpowiadają, że skutki gospodarcze i zdrowotne przy całkowitym ograniczeniu ruchu byłyby groźniejsze niż w obecnym wariancie.

Kontrowersyjnych działań jest jednak więcej. Rozpoczęcie kolejnego semestru szkolnego i akademickiego przekładano ↦

trzykrotnie; ostatecznie zajęcia w szkołach i na uczelniach ruszyły z pięciotygodniowym opóźnieniem w formie zdalnej. Przedszkola są zamknięte do odwołania. Podobnie jak w Polsce, część osób narzeka na brak przygotowania szkół i nauczycieli, a także na fakt wykluczenia cyfrowego niektórych dzieci.

Choć pozamykano szkoły, uczniowie wciąż spotykają się na zajęciach popołudniowych w tzw. hagwonach. W Korei Południowej, gdzie panuje niezwykle silna konkurencja, dla większości licealistów uczestnictwo w tej formie edukacji to norma. Nacisk na edukację jest tu ogromny, więc mało kto odpuszcza. W pierwszym tygodniu kwietnia rząd zgodził się na funkcjonowanie hagwonów pod warunkiem obowiązkowych masek i zachowania dwumetrowego dystansu między uczestnikami zajęć. Gdy ostatnio wziąłem udział w wydarzeniu otwartym jednej z tych popołudniowych szkół, mogłem zobaczyć, że obostrzenia prewencyjne nie są przestrzegane.

Mimo to na ulicy zdecydowana większość ludzi chodzi w maseczkach. Lekarze są zgodni i proszą w mediach o traktowanie tej kwestii poważnie. W Korei nie ma obecnie problemu z dostaniem środków ochronnych, a najpopularniejsze cyfrowe mapy pokazują punkty, w których znajduje się pożądany ostatnio produkt. Aby zapobiec pazerności tych, którzy, bywało, wykupywali nadmierną ilość, prawo stawia ograniczenia: dwie maski na tydzień. Do apteki należy wybrać się z dowodem osobistym i aptekarz może sprawdzić w ogólnokrajowym systemie, czy nie wykorzystałeś już swojego limitu. To samo dotyczy obcokrajowców.

Testy, testy, testy...

Szukając odpowiedzi na koreański sukces w walce z epidemią, analitycy wskazują – obok powszechności maseczek – na dużą obecność środków czystości w przestrzeni publicznej. Dezynfekujące żele są wszędzie, a specjalne drużyny regularnie odkażają biura, stacje, ulice itd. Niektórzy sugerują, że należy wziąć też pod uwagę wzorce kulturowe – jak brak zwyczaju podawania dłoni i całowania się na przywitanie, naturalne trzymanie dystansu od nieznajomych, obyczaj zasłaniania twarzy maseczką. W kontekście epidemii wszystko to może działać na korzyść Koreańczyków.

> W Korei Południowej testy wykonywane są masowo. Można je zrobić nie wychodząc z auta, w punktach typu „drive and go", a wynik **otrzymuje się esemesem już następnego dnia.**

Trudno nie wspomnieć również o masowym wykonywaniu testów. To zasługa przemysłu biotechnologicznego, który rozwinął się na fali poprzednich chorób (SARS, MERS). Korea Południowa posiada duże zasoby testów, w dodatku o wysokiej skuteczności. Dzięki szybkiemu wykrywaniu osób zakażonych zapobiega to rozprzestrzenianiu choroby. Władze uzyskują też od chorych informacje, gdzie ostatnio przebywali, a dla pewności sprawdzają dodatkowo kamery w miejscach publicznych, wykaz z karty bankomatowej czy lokalizację telefonu.

Wszystkie pozyskane w ten sposób wiadomości są publikowane online. Dzięki temu większość osób, które mogły mieć kontakt z chorym, wie o tym. Jeżeli ktoś ma symptomy lub skierowanie od lekarza, test jest darmowy. W innym przypadku koszt testu wynosi równowartość ok. 400 zł, ale kwota ta jest zwracana, jeśli wynik okaże się pozytywny.

Test można zrobić nie wychodząc z auta w punktach typu *drive and go;* wynik otrzymuje się esemesem już następnego dnia. Do 9 kwietnia wykonano ich ponad 450 tys. (gdy w sąsiedniej Japonii zaledwie 6 proc. tej liczby). Na Wyspach Japońskich do 14 kwietnia na COVID-19 zmarły oficjalnie 143 osoby, ale w Korei stale pojawiają się artykuły oskarżające Japonię o fałszowanie statystyki. Stosunki między oboma krajami w dalszym ciągu są niezwykle chłodne. Przy takiej skali upolitycznienia tematu ciężko powiedzieć, czy zarzuty są zasadne.

Natomiast do połowy kwietnia Korea Północna wciąż utrzymywała, że w kraju nie ma ani jednego przypadku infekcji. Jednak to już zupełnie inna historia...

Wybory w czas epidemii

Niezależnie od sympatii politycznych Koreańczycy są zgodni, że rolą państwa jest ochrona obywateli. Dlatego m.in. wszyscy ministrowie oddają 30 proc. swoich zarobków na walkę z wirusem. Co prawda zwiększyła się sprzedaż niektórych produktów (zwłaszcza zupek instant), ale w supermarketach nie odnotowano pustych półek. Idea prepersa praktycznie tu nie istnieje. Większość Koreańczyków najwyraźniej wierzy w skuteczność swojej administracji publicznej.

Być może to również dlatego nikt poważnie nie mówił o przełożeniu wyborów parlamentarnych, zaplanowanych na 15 kwietnia – inaczej niż w Europie, gdzie właściwie we wszystkich krajach (jak dotąd poza Polską) przesuwano wybory różnych szczebli czy referenda. Jeden z moich koreańskich znajomych wyraził nawet zdziwienie moimi obawami. Tłumaczył, że niemożliwość przeprowadzenia wyborów świadczyłaby o poważnej dysfunkcji państwa, a do takiego wstydu nie można dopuścić.

Również dla prezydenta Moon Jae-ina moment był korzystny. Gdy wybuchł kryzys, mierzył się z wyjątkową krytyką, a prawie półtora miliona osób podpisało petycję, aby ustąpił. Opozycja wykorzystała fakt, że Seul wysłał 3 mln masek do Chin i na początku kryzysu notowano ich braki. Jednak gdy okazało się, że za granicą chwali się model południowokoreański, złość zmieniła się w dumę. Od tego czasu pozytywne notowania prezydenta skoczyły i według Realmeter w pierwszym tygodniu kwietnia sięgnęły 54 proc. poparcia.

Partia Demokratyczna była świadoma, że wybory to test sprawności jej rządów. Zapowiedziano obligatoryjne posiadanie maseczek, mierzenie temperatury wyborców przed wejściem do lokali i dwumetrowe odstępy między nimi w kolejkach przed lokalami. Ponadto w punktach wyborczych przewidziano odkażacze do rąk i jednorazowe rękawiczki, a dla osób, u których stwierdzi się podwyższoną temperaturę, specjalne kabiny (każdorazowo dezynfekowane). Osoby objęte kwarantanną i chore mogły wyjątkowo oddać głos pocztą.

Według zmian w prawie wyborczym kampania mogła zacząć się nie wcześniej niż dwa tygodnie przed wyborami. Aktywność sztabów wyborczych była wi-

doczna w każdym mieście. Aktywiści rozdawali ulotki i trzymali hasła, kłaniali się na skrzyżowaniach przejeżdżającym samochodom. Najciekawsze były zbiorowe choreografie, w rytm przypominających disco agitacyjnych utworów. Przewodnim tematem było oczywiście dalsze postępowanie wobec wirusa. Na plakatach wyborczych niektórzy kandydaci pojawiali się w maseczkach...

„Chińczykom wstęp wzbroniony"

Wielu obcokrajowców mieszkających w Korei Południowej podkreśla, że jest to jedno z najbezpieczniejszych miejsc na świecie w czasie pandemii. „Dzięki Bogu, że jestem w Korei" – mówiła pewna studentka z Chile w wywiadzie dla „Korean Herald". Równocześnie jednak coraz więcej z nich odnotowuje wzrost zachowań rasistowskich, przejawiających się np. w odmowie wstępu do kawiarni bądź kąśliwych uwagach.

Szczególnie narażeni są Chińczycy. Jeszcze przed pojawieniem się obecnego kryzysu stosunki z tą mniejszością uległy zaostrzeniu. Kością niezgody był Hongkong i tamtejsze trwające od wielu miesięcy protesty przeciwko ograniczaniu autonomii przez władze w Pekinie. Na niektórych koreańskich kampusach dochodziło do bójek, gdy chińscy studenci, popierający linię swych władz, niszczyli plakaty wyrażające poparcie dla demonstrantów z Hongkongu. Obecnie Chińczycy regularnie zgłaszają incydenty dotyczące przemocy słownej. Niektóre restauracje wywiesiły napisy: „Chińczykom wstęp wzbroniony". Na szczęście koreańskie media krytykują takie sytuacje; podejmowane są też próby łagodzenia obustronnych relacji.

Wzrost zachowań ksenofobicznych nie jest dziś problemem tylko Korei Południowej. Jednak sytuacji nie pomaga, że jedna czwarta ostatnich zakażeń to osoby przyjeżdżające z zagranicy, głównie z USA. Np. w środę 8 kwietnia na 32 odnotowane nowe infekcje aż 23 przypadki dotyczyły osób wjeżdżających do kraju. Ponieważ pomiary gorączki i obowiązkowe testy wykonuje się na lotnisku, wykrywalność jest wysoka.

Większość nowych zachorowań to wracający do kraju Koreańczycy, ale pojawiają się narracje o zewnętrznym zagrożeniu, łączone z obcokrajowcami. Od wszystkich przyjeżdżających wymaga się dwutygodniowej kwarantanny. Pierwszym obywatelem innego państwa złapanym na nieprzestrzeganiu nakazu zamknięcia był Polak. Władze wielokrotnie łapały łamiących zakazy (pojawił się też kolejny nasz rodak). Obecnie poważnie dyskutuje się nad zakładaniem osobom poddanym izolacji elektrycznych opasek wskazujących ich lokalizację. Takie same otrzymują więźniowie w areszcie domowym.

Kapusta dobra na wszystko?

Także sami Koreańczycy szukają wytłumaczenia swojego sukcesu.

Opinie, że zbawienną rolę odgrywa kiszona kapusta kimchi – popularne danie tutejszej kuchni, przyrządzane z różnymi przyprawami – były tak powszechne, że musiało zdementować je ministerstwo zdrowia. Kiedyś pojawiały się badania mówiące o pozytywnym wpływie kimchi na ochronę przed SARS, być może stąd to przecenianie również i dziś zdrowotnych właściwości kiszonek (tamte badania nie były prowadzone zresztą przez bezstronną instytucję, lecz przez koreański World Institute of Kimchi).

Innym intrygującym wątkiem jest tradycyjna medycyna, z której Koreańczycy są zwykle dumni. Tutejsze Stowarzyszenie Medycyny Orientalnej chwaliło się, że niska śmiertelność chorych na COVID-19 to zasługa ziołowych mieszanek, które faktycznie podawane są pacjentom w wielu szpitalach jako dodatkowy element leczenia.

Jednak Koreańskie Stowarzyszenie Medyczne wydało oświadczenie krytykujące lekarzy medycyny tradycyjnej i apelujące, by nie przeceniać znaczenia ziół, i aby faktu, że są podawane w szpitalach, nie wiązać z szerzej rozumianą medycyną orientalną (obejmuje ona różne problematyczne praktyki, jak spożywanie zwierzęcych rogów, akupunkturę, a także sposób rozumienia chorób, który kłóci się z dzisiejszą wiedzą medyczną).

Cierpliwość jest cnotą

Niezależnie od tych spekulacji, mierzalnym faktem jest, że liczba odnotowanych chorych powoli, ale systematycznie się zmniejsza – w ostatnich dniach wynosiła kilkadziesiąt dziennie, z wyraźną tendencją spadkową. Także dlatego powoływanie się na przykład Korei Południowej i tutejszych wyborów w polskiej dyskusji o wyborach prezydenckich (jak zrobiły to „Wiadomości" TVP w Poniedziałek Wielkanocny) byłoby nieuprawnione. Inaczej niż w Polsce, gdzie w tych dniach przybywało po kilkuset chorych dziennie, i gdzie liczba zmarłych przewyższyła już liczbę zmarłych Koreańczyków, tutaj epidemiczna krzywa opada.

Jednak południowokoreańscy lekarze bardzo przestrzegają, by nie ulegać przedwczesnemu optymizmowi i nie zaprzestawać działań prewencyjnych. Podkreślają, że nasza wiedza na temat koronawirusa jest wciąż ograniczona i jeden fałszywy ruch może spowodować kolejną falę zachorowań. Oraz że trzeba uzbroić się w cierpliwość.

© ROMAN HUSARSKI

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

Wojna i pamięć

WSPÓŁWYDAWCA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY: FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT; KONRAD ADENAUER STIFTUNG

8 maja 1945 r. w Europie zakończyła się II wojna światowa. W 75. rocznicę publikujemy specjalny dodatek, poświęcony pamięci o tym konflikcie w krajach, które tę wojnę rozpoczęły – w Niemczech i Rosji (spadkobierczyni Związku Sowieckiego) – oraz w Polsce, która była jej pierwszą ofiarą.

W dodatku:
- Łukasz Kamiński o polskich dyskusjach wokół 8 maja
- Filip Gańczak i Norbert Lammert o przemianach w niemieckiej pamięci
- Anna Łabuszewska i Siergiej Miedwiediew o polityce historycznej współczesnej Rosji

„Tygodnik" z dodatkiem w kioskach od środy 6 maja

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

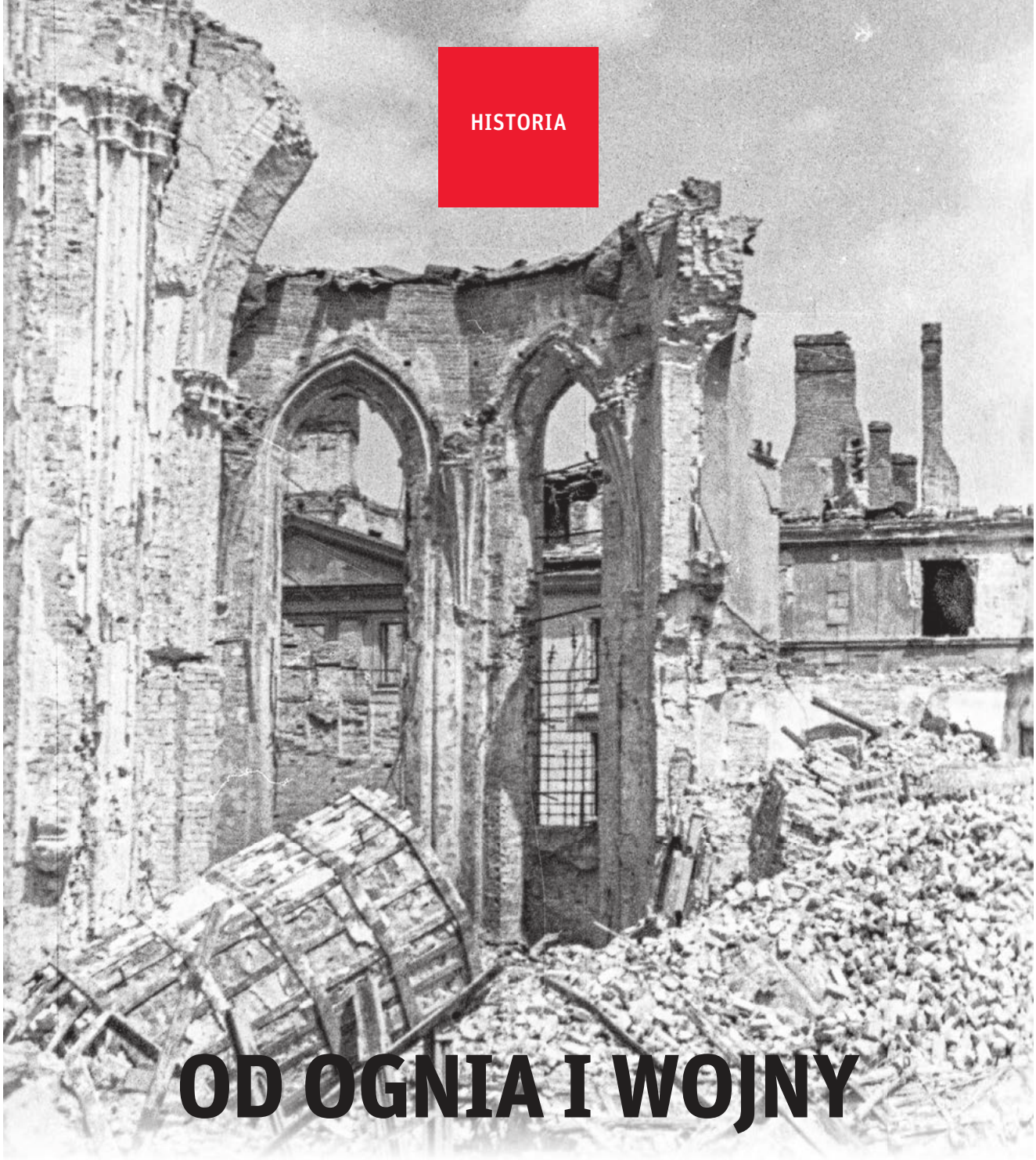

RYSZARD WITKOWSKI / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

OD OGNIA I WOJNY

Krucyfiks z kaplicy Baryczków po renowacji znów trafił do warszawskiej archikatedry. Jego historia to opowieść o mieście, jego mieszkańcach oraz nadziei.

PATRYCJA BUKALSKA

Był sierpień 1944. Ostrzał Starego Miasta nasilał się od kilku dni. Po wycofaniu się powstańczych oddziałów z Woli ta dzielnica Warszawy stała się celem niemieckich ataków. Stare Miasto będzie się bronić do początku września, grube mury długo będą dawać schronienie cywilom i powstańcom. Jednak w końcu i one zaczną pękać.

Archikatedra św. Jana Chrzciciela zapaliła się 16 sierpnia, podczas przedpołudniowego ostrzału. Barbara Piotrowska (dziś Gancarczyk), sanitariuszka batalionu AK „Wigry" o pseudonimie „Pająk", była wtedy na kwaterze obok. Wybiegła na podwórze. Robiła to, co zawsze: opatrywała rannych, biegała z noszami.

Jednak tym razem stało się coś jeszcze. Razem z koleżanką Teresą Potulicką (dziś Łatyńską) ps. „Michalska" i powstańczym kapelanem ks. Wacławem Karłowiczem

Ruiny katedry św. Jana (prezbiterium). Fotografia wykonana od ulicy Świętojańskiej. W tle szczyty kamienic na placyku Kanonii, Warszawa, lato 1945 r.

wyniosły z płonącej katedry krucyfiks – od wieków uważany przez warszawiaków za cudowny.

Spotkanie po 76 latach

Następnego dnia po tym, jak krucyfiks wrócił do katedry, odwiedzam Barbarę Gancarczyk w jej mieszkaniu na Saskiej Kępie. Ma 97 lat, ale trudno w to uwierzyć, gdy energicznie zaprasza, a potem się krząta, szukając starych zdjęć. Wczoraj uczestniczyła w uroczystym wprowadzeniu krucyfiksu do katedry – od lata 2019 r. figura Jezusa, najcenniejszy z warszawskich zabytków sztuki późnogotyckiej, była poddawana renowacji pod okiem prof. Marii Lubryczyńskiej, znawczyni drewnianej rzeźby polichromowanej.

Teresa Łatyńska, dziś 95-letnia, nie była w stanie wziąć udziału w uroczystościach.

Odbyły się 28 lutego, w pierwszy piątek Wielkiego Postu. Procesja Drogi Krzyżowej przeszła z Nowego Miasta do katedry, gdzie u wejścia umieszczono krucyfiks (wcześniej znajdował się w Muzeum Archidiecezjalnym). Ostatnie stacje Drogi Krzyżowej odbyły się już w świątyni. Barbara nie tylko była obecna, ale do ostatniej stacji przeszła, podtrzymując krzyż.

Siwowłosa, drobna, w ciemnej garsonce – przyciągnęła uwagę tłumu przed kaplicą Baryczków. „To ta sanitariuszka, to ona" – słychać było szepty. Potem, do końca uroczystości, Barbara siedziała tuż przy figurze Jezusa. Pozwolono jej dotknąć rzeźby. Było to jakby ich ponowne spotkanie.

Następnego dnia krucyfiks zawisł na swoim stałym miejscu, w kaplicy Baryczków.

Dzień najtragiczniejszy

– Mój pluton zajmował stanowiska w katedrze. Atakowały ją oddziały niemieckie, które podchodziły przez zniszczone domy od placu Zamkowego. Trwał też ostrzał artylerii z Pragi. Niemcy wypalali budynki, by łatwiej się posuwać. O, tu szedł ostrzał, a atak przez to przejście od placu Zamkowego – Barbara Gancarczyk pokazuje na naszkicowanej przez siebie mapce. – Tu jest przejście nad ulicą, taka galeryjka. Nasi chłopcy mieli tam stanowiska i ostrzeliwali Niemców. A tu była barykada, która rozdzielała ul. Jezuicką od Kanonii i broniła wejścia w głąb Starego Miasta. Katedra była pod ogniem ze wszystkich stron.

ARCHIWUM RODZINNE BARBARY PIOTROWSKIEJ-GANCARCZYK / / REPRODUKCJA PATRYCJA BUKALSKA

Barbara Piotrowska (dziś Gancarczyk), ps. „Pająk". Zdjęcie zrobiono w 1944 r., tuż przed powstaniem.

O tym, jak go nazywa, „dniu najtragiczniejszym" Barbara opowiada dokładnie, godzina po godzinie. Może to odruch architektki, która już wtedy rozumiała, jaką stratą jest każdy zniszczony budynek na Starym Mieście: – Pociski zapalające i burzące spadały na katedrę już wcześniej, jednak 16 sierpnia wybuchł pożar, którego nie dało się opanować. Wiatr od Wisły przeniósł ogień na prawą nawę, potem na dach. Pamiętam strażaka, który samotnie próbował gasić. Miał wąż, ale brakowało przecież wody. Nie ustawał atak, moi koledzy z batalionu próbowali wzmocnić barykadę, ściągając z kościoła wszystko, co się dało. Ta barykada, zbudowana z worków cukru, chyba z księżowskich zapasów, była za niska. Wzmacniali ją ławkami kościelnymi, chodnikami, meblami. Wszystkim, co mieli pod ręką.

Barbara i Teresa zobaczyły księdza, który wraz z kilkoma starszymi mężczyznami nosił kubły z piachem do katedry. Ruszyły na pomoc. – Zaczęłyśmy nosić te kubły, sypałyśmy piach na metalową klapę w posadzce, aby ogień nie wdarł się do podziemi, gdzie, jak wiedziałyśmy, schowano cenne rzeczy – opowiada Barbara. – W międzyczasie trzeba było zająć się rannym kolegą. Potem, idąc lewą nawą, zobaczyłyśmy w kaplicy Baryczków stojącego na ołtarzu księdza. W sutannie, obrócony do nas tyłem, ręce miał wzniesione, jakby próbował zdjąć krzyż z Panem Jezusem. Był sam. Podbiegłyśmy.

– Pamiętam, że na ołtarzu i posadzce leżały rozrzucone wota z roztrzaskanej gabloty, między nimi krzyże Virtuti Militari. Przykro mi się zrobiło, że tak leżą sponiewierane wśród gruzu i piachu – dodaje Barbara.

Twarz z bliska

Tym księdzem był Wacław Karłowicz, powstańczy kapelan o pseudonimie „Andrzej Bobola". Miał wtedy 37 lat. Choć wysoki, nie mógł poradzić sobie z ciężkim krzyżem. W końcu zdjął samą figurę. Odebrały ją Barbara i Teresa. Razem opuścili kaplicę bocznym wejściem, przemknęli pod ostrzałem koło barykady, skręcili w pierwszą bramę po lewej.

Już w budynku, w miarę bezpieczni, odjęli ręce figury, by łatwiej ją było nieść. Nawet w takiej chwili dla Barbary było to niezwykłe doświadczenie: mieć figurę tak blisko.

– Pamiętałam o niej historie z dzieciństwa. Oglądało się ją z odległości, w ciemnawej kaplicy. A tu widziałam twarz Pana Jezusa z bliska, tak prawdziwą, przejmującą. Była w zasięgu ręki – opowiada wzruszona. – Wiedziałam, że przed nią modlił się Sobieski, gdy wrócił spod Wiednia, a potem Traugutt i Kościuszko. Wiedziałam, jak jest ważna dla mieszkańców.

Ruszyli dalej, piwnicami. Barbara szła przodem, niosła ręce Chrystusa. Prosiła stłoczonych ludzi, by zrobili przejście. „Niesiemy figurę Pana Jezusa" – mówiła, a ludzie klękali, modlili się, płakali.

Musiała wracać do oddziału. Gdy doszli do Rynku Starego Miasta, ręce figury przekazała jakiemuś cywilowi, który wraz z ks. Karłowiczem poszedł dalej.

Ksiądz tak opowiadał o tym w wywiadzie dla „Tygodnika" w 2004 r.: „Zanieśliśmy [figurę] do kaplicy kościoła św. Jacka. Była tam boczna kaplica, gdzie szarytki prowadziły szpital. Tam zanieśliśmy krzyż i przykryliśmy Pana Jezusa prześcieradłem. Po kilku dniach ks. prałat Henryk Cybulski spowiadał tam po ciemku ciężko rannych, leżących na posadzce. Doszedł w ciemności do jednego i mówi: »Wyspowiadaj się«. Nic. Więc znów mówi: »No, wyspowiadaj się, jestem księdzem«. Nic. Dotyka go – zimny. Odkrywa prześcieradło, a tu Pan Jezus!".

Śmierć katedry

Gdy Barbara wróciła, święty Jan płonął nadal.

Wspomina: – Wieczorem już nas nie ostrzeliwali, był względny spokój. Jednak całą noc nikt nie mógł oka zmrużyć, bo ↦

obok paliła się katedra. Jej ściana była tak rozgrzana, że na nasze podwórko przenikało ciepło. Nie potrafię powiedzieć, która to była godzina, może pierwsza lub druga. Coś ciągnęło mnie do katedry, czułam, że muszę ten pożar zobaczyć od środka. Żeby był choć jeden świadek, który, jeśli przeżyje, będzie mógł to opisać.

Poszła sama. Stanęła pod mocnym, w miarę bezpiecznym sklepieniem chóru: – Widziałam stąd całe płonące wnętrze. Nie było już widać ołtarza, tylko ścianę ognia. Balkony w prezbiterium płonęły, pod nimi płonęły drewniane stalle. Wszystko widziałam w ogniu, który szedł od prezbiterium. Ten ogień był w różnych odcieniach i kolorach, od jasnopomarańczowego przez czerwony do ciemnego fioletu. Panował szum i trzask, co jakiś czas zagłuszany hukiem spadających po kolei sklepień. Wtedy wytryskiwała z ziemi fontanna iskier. To było niesamowite.

– Pomyślałam, że katedra została skazana – Barbarze łamie się głos. – Czułam żal, a jednocześnie złość na takie bestialstwo, okrucieństwo wojny. Ginął jeden z najcenniejszych zabytków, tak mocno związanych z polską historią.

Katedra, której zewnętrzne mury przetrwały pożar, została potem wysadzona przez Niemców. Ale Chrystus z kaplicy ocalał.

Legenda Baryczków

Do Warszawy figurę Chrystusa przywiózł z Norymbergi w 1525 r. Jerzy Baryczka, kupiec i rajca. Człowiek wpływowy, który dorobił się na handlu solą, a w interesach jeździł nawet do Hiszpanii.

– Miał dwie kamienice w Rynku Starego Miasta. To tak, jakby dziś miał dwa wieżowce w centrum Warszawy – opowiada mi ks. Grzegorz Idzik, który pisze pracę doktorską na ten temat. – Warsztaty norymberskie produkowały krucyfiksy, można powiedzieć, na eksport. Był to czas Reformacji, niepokojów religijnych. Baryczka miał podobno sen: przyśnił mu się jego przodek Marcin, ksiądz i męczennik, i nakazał mu, by wstał i poszedł na plac przed głównym kościołem w Norymberdze. Tam protestanci rozniecili ogniska, w które mieli wrzucać pamiątki religii katolickiej: wizerunki świętych, szaty mszalne. Według legendy Baryczka wyciągnął rzeźbę Jezusa z ognia. W innej wersji Jezus miał mieć odrąbaną głowę, ręce i nogi. Skądinąd z badań rentgenowskich wiemy, że figura składa się z kilku kawałków.

Baryczkowie dbali o tę legendę. Wtedy trudno było ją zweryfikować. Dziś wiemy, że w Norymberdze nie niszczono dzieł katolickiej sztuki sakralnej.

– Ocalały tam np. trzy krucyfiksy Wita Stwosza. To było miasto artystów, humanistów – podkreśla ks. Idzik. – W 1525 r. rzeczywiście rada miejska zakazała praktykowania religii katolickiej, ale takie rzeźby jedynie przenoszono, nie niszczono ich.

Może więc Jerzy Baryczka uratował figurę nie tyle przed zniszczeniem, co zapomnieniem.

W każdym razie, warszawiacy przyjęli ją z nabożeństwem, jako uratowaną z „rąk heretyków". Wkrótce zaczęły szerzyć się opowieści o jej cudownych właściwościach, które miały się ujawnić właśnie w Warszawie.

O (nie)cnotliwej pannie

Była wśród nich legenda o odrastających włosach.

Włosy Jezusa zaczęły podobno rosnąć, gdy przybył do Warszawy. Aby nie zasłaniały twarzy, miano je podcinać – według jednej wersji raz w roku, w Wielki Piątek; według innej, w pierwszy piątek miesiąca.

– Do podcinania włosów miano używać srebrnych nożyczek, którymi przy haftowaniu ornatów pracowała księżna Anna Mazowiecka – opowiada ks. Idzik. – Mogła to robić cnotliwa panna, a obcięte włosy rozdawano jako relikwie, według legendy miały moc leczniczą. Niestety w czasie powstania prawdopodobnie spaliła się księga, w której spisywano cuda związane z figurą, więc szczegóły nie są znane. Dowodem jej cudowności były też liczne wota, które zdobiły kaplicę. Włosy miały przestać jednak rosnąć, gdy prawnuczka Jerzego Baryczki przystąpiła do obrzędu postrzyżyn, a nie była „cnotliwą" panną. Gdy dotknęła włosów, rozmarynowy wianek spadł jej z głowy. I włosy już nie rosły.

Tyle legenda. A co mówi nauka? Włosy na figurze są prawdziwe, ale to peruka. W czasie powstania była to peruka z końskiego włosia. Potem sporządzono nową.

Figura jest niezwykle realistyczna. Dopiero podczas konserwacji, gdy zdjęto ją z krzyża, można było zobaczyć, jak starannie wyrzeźbiono plecy Chrystusa. Artysta zadbał też o takie szczegóły jak

KAROL PĘCHERSKI / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

zmarszczki za uszami. Wyraz twarzy Jezusa jest przejmujący: wydaje się, że niemal widać ostatnie tchnienie. – To niezwykły realizm cierpienia i nie chodzi tylko o fizjonomię, ale też psychologię – mówi ks. Grzegorz Idzik.

Krucyfiks Baryczków nie był jedynym w takim kształcie. Podobny był we Wrocławiu, ale został zniszczony w czasie II wojny światowej. Zachowała się natomiast cała grupa we Frankonii w okolicy Norymbergi, w tym jeden identyczny w Würzburgu, a także w północno-zachodniej Austrii, na Pomorzu Zachodnim i w Gdańsku. Ks. Idzik uważa, że pochodzą one jeśli nie z tego samego warsztatu, to z jednego kręgu artystycznego. Charakterystyczna jest dla nich gładko opracowana głowa i peruka.

Choć tak podobne, pozostałe nie są jednak otoczone takim kultem.

Ocalony z nawałnic

Jezus Baryczkowski – jak bywa nazywany – przetrwał wszystkie nieszczęścia, pożary i wojny dotykające Warszawę.

Pod koniec XVI w. ówczesna kolegiata płonęła dwukrotnie, ale krzyż ocalał. W 1602 r. nad miastem przeszła gwałtowna wichura i zawaliła się wieża kolegiaty. Gdy odgruzowano świątynię, okazało się, że krzyż wisi na filarze nietknięty. Później, w czasie potopu szwedzkiego, Warszawa była kilkakrotnie plądrowana, ale Chrystus znów ocalał (prawdopodobnie został ukryty). A potem była II wojna światowa. Lewobrzeżna Warszawa została zmieciona z powierzchni ziemi, zginęło kilkaset tysięcy mieszkańców, 80 proc. budynków zostało zburzonych.

Gdy więc w Niedzielę Palmową 1948 r. Jezus Baryczkowski wracał do katedry –

AGATA ŚLUSARCZYK / FOTO GOŚĆ / FORUM

Po lewej: przeniesienie figury Chrystusa z kościoła karmelitów do kaplicy Baryczków w katedrze św. Jana. Zdjęcie wykonano przed kościołem św. Anny na Krakowskim Przedmieściu. Warszawa, 21 marca 1948 r.

Po prawej: wprowadzenie krucyfiksu po jego renowacji do katedry. Na pierwszym planie Barbara Piotrowska-Gancarczyk, pierwszy z prawej ks. Grzegorz Idzik. Warszawa, 28 lutego 2020 r.

lub do tego, co z niej zostało – było to wielkie wydarzenie. Na dokumentalnym filmie widać, że w procesji zrujnowanymi ulicami Starego Miasta uczestniczyły tysiące ludzi. Co odważniejsi wspinali się na gruzy (sięgające pierwszego piętra) lub rusztowania, by mieć lepszy widok.

Przy wejściu do katedry ktoś umieścił świecę w powstańczym hełmie – choć od 1944 r. minęło kilka lat, rany były świeże. Zapewne każdy w tym tłumie stracił kogoś bliskiego. Powrót Chrystusa miał być dowodem, że do miasta wraca życie. Decyzja prymasa Augusta Hlonda była więc, być może, również wyrazem wiary w odbudowę – Warszawy i katedry.

W ciszy poranka

Jest sobota, 29 lutego. Rano katedra jest pusta. Figura Chrystusa, wprowadzona dzień wcześniej podczas Drogi Krzyżowej do prezbiterium, ma zawisnąć na powrót w kaplicy Baryczków. Bez pompy, bez wiernych. Jest kilku księży i świeckich, zaangażowanych w proces renowacji. Razem dźwigają krucyfiks w górę. Dopiero teraz widać rzeczywistą wielkość figury: ma dwa metry wysokości, a rozpięte ramiona mierzą 1,75 metra.

Naprawdę trudno sobie wyobrazić, jak 16 sierpnia 1944 r. ks. Karłowicz zdołał sam podnieść rzeźbę, zdjąć z krzyża i podać Barbarze oraz Teresie. Teraz dziesięciu mężczyzn ją podtrzymuje, drżąc, by nie uszkodzić. W ciszy świątyni scena ta wygląda jak kompozycja z obrazów Rembrandta czy Vermeera. Jest mrok kaplicy, jasność figury, postaci zastygłe w wysiłku. Wszyscy są skupieni. Powagę na moment rozładowuje czyjaś komórka, która dzwoni w chwili, gdy właściciel zupełnie nie ma możliwości, żeby odebrać.

Znów zapada cisza. Figura wędruje powoli w górę, znów wspólnym wysiłkiem wielu ramion. Jeszcze gloria (korona), jeszcze poprawienie włosów. Jezus wraca na swoje miejsce.

Chciałoby się wierzyć, że na zawsze.

Wśród gruzów

Wtedy Stare Miasto broniło się do końca sierpnia. W nocy z 1 na 2 września 1944 r. ze Starówki ewakuowały się kanałami ostatnie powstańcze oddziały. Wbrew woli dowództwa, Barbara i jej koleżanka Janka Gruszczyńska zostały z ciężko rannymi. Opuściły miasto 2 września. Wspomina: – Pędzili nas ze Starówki na Wolę. Po drodze nie widziałam ani jednego domu, który by stał cały. Pomyślałam, że to niemożliwe, żeby to miasto kiedykolwiek zostało odbudowane.

Do Warszawy wróciła 10 lutego 1945 r. Na Saskiej Kępie odnalazła rodziców. Już następnego dnia z koleżanką Janką wyprawiły się na Stare Miasto przez drewniany most.

– Ulicą Świętojańską nie dało się przejść, a my musiałyśmy dostać się na Długą 7, gdzie był powstańczy szpital. Na pierwszym piętrze zostali zamordowani nasi koledzy. Chciałyśmy też sprawdzić, co się stało z rannymi chłopcami z batalionu „Gustaw" – opowiada Barbara. – Szpital na Długiej był spalony, nie można było dostać się do piwnic. Pierwsze piętro było wypalone, ale istniało. Gruz sięgał jednak wysoko, nie można było znaleźć ciał. Choć przecież pamiętałyśmy, gdzie położyłyśmy nosze z rannymi.

Ekshumację przeprowadzono latem, odnajdując szczątki ich kolegów.

Wtedy, w lutym, do katedry nie było dostępu. Świętojańska długo była zasypana. Zgruzowana Jezuicka, wszędzie barykady – tak to zapamiętała Barbara. Potem w Biurze Odbudowy Stolicy zajmowała się inwentaryzacją zabytkowych budynków: – Już nie miałam wątpliwości, że Warszawa zostanie odbudowana.

W 1948 r. nie mogła nie pójść w procesji podczas powrotu Jezusa do katedry. – Szłam gdzieś na końcu – wspomina. – Dopchać się do katedry nie było można, taki tłum. Pamiętam do dziś moje myśli. Przypominało mi się, jak w kilka osób wynosiliśmy figurę z katedry w sierpniu 1944 r. Jakże inna to była sceneria...

A teraz, w roku 2020? – Wróciły wspomnienia. A poza tym... – Barbarze łamie się głos, przerywa, nabiera tchu. – Kiedy mogłam podejść, podprowadzić krzyż tych kilka kroków i go dotknąć, stanęły mi przed oczami tamte płomienie.

Razem z ludźmi

Może to nie odrastające włosy ani opowieści o cudach zadecydowały o znaczeniu, jakie Chrystus Baryczkowski miał dla Warszawy? Może chodzi o to, że zawsze był – i jest – blisko ludzi? Dzielił z nimi dobre i złe, i to najgorsze. Podobno gdy król Zygmunt III Waza chciał przenieść go do swoich apartamentów, nie pozwolono mu na to. Krucyfiks należał do wszystkich warszawiaków.

Teraz, przed przeniesieniem figury do katedry, można było ją oglądać w Muzeum Archidiecezjalnym, umieszczoną za szybą. Do ostatniego dnia przychodzili tam ludzie, by przez chwilę być naprawdę blisko.

„My do Pana Jezusa" – usłyszałam, jak kupuje bilet do muzeum starszy mężczyzna, stojący obok w kolejce. Tak po prostu.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

WOJCIECH

Bonowicz:
Morze

Mój świat nigdy nie był specjalnie duży. Nie tęskniłem też za tym, żeby go nieustannie poszerzać. Powiedziałbym wręcz, że polski klimat sprzyja pewnej powściągliwości. I krajobraz podobnie. Tu niczego nie jest za dużo – ani wód, ani gór, ani lasów. Owszem, co jakiś czas ten czy inny człowiek wstawi w ów oszczędny pejzaż coś, co ma na wieki wieków głosić jego chwałę. Ale nawet to też jakoś z czasem karleje, śniedzieje i przestaje denerwować. To nie jest ziemia chwały, to jest – wbrew pozorom – ziemia umiaru, a więc stanów średnich i średnich temperatur.

Co innego Ameryka Południowa! Tam jak rośnie, to od razu wielkie i bujne. „Mieszkamy w nadklimacie i wśród nadprzyrody!", mówi bohater jednej z południowoamerykańskich powieści Michała Choromańskiego. „Rzeczy nadprzyrodzone są tutaj tym samym, co w Europie kromka chleba z masłem". Do nas nadprzyrodzoność sama nie przyjdzie, trzeba ją wydrzeć siłą, a potem w jej imię manifestować, nie wystarczy nią żyć. Skłonność do demonstracji, do nadekspresji wyrasta na glebie umiarkowanie żyznej, podlewanej nieobficie, osłonecznionej tak, aby wydała owoce, ale nie zawsze dojrzałe.

Tak jest, dobrze myślicie: nie uważam Polaków za szczególnie namiętnych i skłonnych do porywów. Nie jesteśmy ani szczególnie odważni, ani szczególnie pyskaci, ani szczególnie lekkomyślni. Polakowi idea nadczłowieka nigdy nie przyszłaby do głowy. Krzyk tutejszy jest krzykiem kogoś, kto kryje się za plecami innych. Bunt tutejszy jest buntem ludzi, którzy przypadkowo zeszli się w jednym miejscu i za chwilę się rozejdą. Tutejszy autokrata zawsze będzie trochę schowany, jakby się wstydził. Tu ludzi osobiście niemiłych najchętniej oskarża się o pychę i pogardę, co oznacza, że w katalogu przewin pogarda i pycha ciągle umieszczane są wysoko. Nawet nierówności rosną u nas wolniej niż gdzie indziej.

Mój świat, w takim środowisku ukształtowany, zawsze dążył do pewnego samoograniczenia. Tylko nad morzem – w tych rzadkich chwilach, kiedy można było się w nie zapatrzeć – budziły się we mnie jakieś nieokreślone tęsknoty. Polak z natury swej nie lubi świata bez granic. Nasze sławne umiłowanie wolności, w które nie wierzę, lepiej czuje się w świecie uporządkowanym, domkniętym i kontrolowanym. Polska anarchia zawsze ma w domu schowany paszport, a w banku konto. Przetrwaliśmy, bo jesteśmy posłuszni; w czasie epidemii widać zresztą jak na dłoni, że posłuszeństwo naprawdę jest cnotą.

Morze kwestionuje te nasze upodobania. Morze mówi, że granice są płynne, a cokolwiek między sobą ustalimy, jutro może nie mieć znaczenia. Morze kusi nie tylko dalą, ale i głębią; to wieczność, której można dotknąć, ale tylko po wierzchu, czyli tak naprawdę wcale. Ciekawe, że podboje morskie nigdy się nam nie marzyły, nawet w czasach *prosperity*. Byli u nas ludzie, co kleili skrzydła i próbowali wznieść się ku słońcu, ale morzu wyzwanie rzucali nieliczni. I to też było jakoś rozsądne, bo przecież temu, kto roztrzaska się o ziemię, można wyprawić pogrzeb, a po tym, kto zatonie, ślad znika na zawsze.

Piszę to wszystko trochę po omacku, szukając. Chciałbym zgadnąć, jaka właściwie jest ta moja wspólnota. Z kim mam tutaj wspólnotę, a z kim nie. Wreszcie – jaki naprawdę jestem ja sam. Przeciwko czemu skłonny byłbym się zbuntować i kiedy?

Bardzo brakuje mi tego widoku. Choć nie jeżdżę nad morze zbyt często, to jednak raz do roku, raz na dwa lata lubię, stając przed nim, poczuć się nikim. Dzieje się wówczas coś paradoksalnego: czując się nikim, nagle jakbym odzyskiwał samego siebie. Morze jednak ma granice, a ja jestem jedną z nich. Świat rozszerza się i kurczy jak płuca zamknięte w klatce. Mogę spróbować przekroczyć morze, mogę też zostać na brzegu. Mogę wybrać świat mały albo duży; mogę małemu światu dać tyle istnienia – to znaczy tyle uwagi – ile zechcę, a przez to uczynić go światem bezkresnym i wiecznym. A najlepsze, że mogę to wszystko osiągnąć niezachłannie i niczego nie niszcząc. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE // GRAFIKA NA OKŁADCE: WOJTEK KWIECIEŃ JANKOWSKI

Wydanie jubileuszowe na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego"

Piszą: Brzeziński, Dukaj, Jagielski, Kuźmiński, Lamża, Lem, Napiórkowski, Ochędowska, Okoński, Prusak, Rabij, Tischner, Turowicz, Żyła

„Raport z przyszłości" dostępny w sklepach z dobrą prasą i jako e-wydanie na powszech.net/raport

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY

1%

Przyjaciele!

Bez Was i Waszego wsparcia nie moglibyśmy robić takiego pisma, jakie byśmy chcieli Wam dać i jakiego oczekujecie.

Szczególnie w tym roku, naszego 75-lecia, prosimy o przekazanie nam 1% w rozliczeniu rocznym, a także o darowizny – aby „Tygodnik" mógł trwać kolejne 75 lat, tak jak do tej pory, niezależnie od okoliczności.

ks. Adam Boniecki

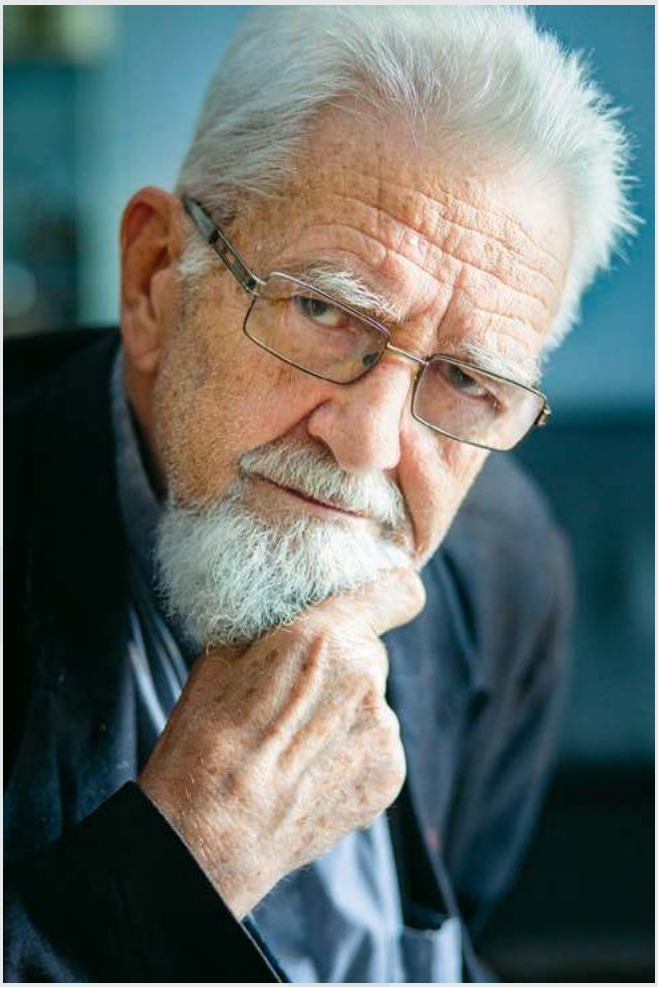

FOT. GRAŻYNA MAKARA

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

a w rubryce Cel szczegółowy 1%: TP75

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO 1%

OGŁOSZENIE OPP

O CZYM ŚPIEWA OCEAN

KATE STAFFORD, OCEANOGRAFKA:

U wielu gatunków wielorybów koncertują tylko samce. „Hej, jestem tutaj największym facetem" – wołają. Ale samice podsłuchują i myślą: „Bardziej podoba mi się pieśń tego gościa, będę z nim spółkować".

MARIA HAWRANEK: Co tam słychać w oceanie?

KATE STAFFORD: Zależy od tego, gdzie i o jakiej porze jesteś, a także od sprzętu, jakiego używasz. Można usłyszeć trzęsienia ziemi, wulkany, statki i ich sonary, fale, wiatr, lód, a także mnóstwo zwierząt: różne gatunki ssaków morskich, krewetki, ryby. Albo odgłosy wydobywania ropy naftowej i poszukiwania jej przy pomocy działek powietrznych.

Co to takiego?

To podwodne urządzenia, które strzelają powietrzem pod wysokim ciśnieniem, wywołując potężny huk. Dźwięk inaczej odbija się od rzeczy o różnej gęstości – inaczej od kości, inaczej od płynów. Ropa na dnie oceanu też inaczej odbija dźwięk niż osady czy skały. Urządzenie to działa więc jak ultrasonograf, który poprzez dźwięk wydobywa obraz płodu z brzucha mamy. Problem polega na tym, że hałas, który emitują działka powietrzne, jest niewyobrażalnie głośny i wypełnia wody na tej samej częstotliwości, której używają wieloryby.

To im musi przeszkadzać.

Bardzo. Większość ssaków morskich używa słuchu jako głównego zmysłu. A to dlatego, że ani chemiczne związki zapachowe, ani światło nie rozchodzą się w wodzie daleko. Światło sięga może na 100 metrów. Za to dźwięk pod powierzchnią wody podróżuje o wiele szybciej i dalej niż w powietrzu. Niskie częstotliwości, jakie wydają np. płetwale błękitne i zwy-

S.S. URIADNIKOV / ADOBE STOCK

Humbak (Megaptera novaeangliae), wybrzeże RPA, sierpień 2016 r.

czajne, mogą docierać jako spójny komunikat na setki kilometrów, a ich buczenie słychać z odległości nawet kilku tysięcy kilometrów. Słonie używają niskich częstotliwości do komunikacji przy użyciu stóp – w rozproszonej grupie potrafią poruszać się w tym samym kierunku i tempie, nawet gdy są daleko poza zasięgiem swojego wzroku. Jesteśmy pewni, że wieloryby robią to samo. Emisja dźwięków i nasłuchiwanie ich są więc w oceanie bardzo istotne.

Przed naszą rozmową słuchałam humbaków i różnych gatunków wielorybów. Ale jak brzmią ryby albo krewetki?

Ryby wydają zaskakująco dużo dźwięków, zwykle w okresie rozrodczym. To niskie, gardłowe dźwięki: „bruu" albo pulsujące: „pum, pum, pum". Jeśli kiedyś miałaś okazję pływać w płytkich wodach tropikalnych, mogłaś słyszeć pstrykanie krewetek. To dźwięk podobny do tego, który wydaje woda wrzucona na gorącą patelnię. Krewetki poruszając szczypcami wytwarzają bąbelki, a gdy te wybuchają – słyszymy dźwięk.

Każde zwierzę brzmi inaczej?

Każdy gatunek wydaje specyficzne dla siebie odgłosy. Foka wąsata brzmi inaczej niż mors czy foka obrączkowana – ulubiona zdobycz niedźwiedzi polarnych. Foka wąsata wydaje piękne tryle, a malutka foczka obrączkowana brzmi jak szczekający pies. Płetwale zwyczajne i błękitne, największe zwierzęta naszej planety, wydają dźwięki o bardzo niskiej częstotliwości, właściwie infradźwięki – czyli fale dźwiękowe o częstotliwości zbyt niskiej, byśmy mogli je usłyszeć. Zakres wrażliwości ludzkiego słuchu wynosi od 20 Hz do 20 kHz. Zwierzęta wydają dźwięki w częstotliwościach zarówno wyższych (np. psy), jak i niższych, niż potrafimy wychwycić. By posłuchać płetwali, musimy użyć spektrogramu – wykresu fal, na których oglądamy ich odgłosy.

Co mówią? „Hej, jestem tutaj"? „Jestem najprzystojniejszy"?

Zależy od pory roku. Wiele ogromnych wielorybów ma okres rozrodczy w środku zimy – nieważne, czy są w tropikach, czy w Arktyce. Wśród humbaków śpiewają tylko samce, wśród wielu innych gatunków też. „Hej, jestem tutaj największym facetem" – komunikują innym samcom. Ale samice prawdopodobnie te rozmowy podsłuchują i myślą: „Bardziej podoba mi się pieśń tego gościa, będę spółkować z nim". Matki nawołują swoje młode. Zwierzęta utrzymują też ze sobą kontakt, by się nie pogubić w czasie migracji i płynąć w miarę spójnym stadem. Niektóre zwierzęta używają również dźwięku w trakcie wędrówki w inny sposób. Uważa się, że pływacze szare, które przepływają blisko wschodniego wybrzeża USA, nasłuchują dźwięku załamujących się fal, by przebywać stosunkowo blisko wybrzeża, ale jednak nie za blisko. Wiele gatunków spośród tzw. zębowców (waleni posiadających zęby), takich jak kaszaloty, orki czy delfiny, używa echolokacji, by znaleźć pożywienie. Czyli dźwięk służy im do polowania.

Jakie kryteria musi spełniać dźwięk wydawany przez zwierzęta, by nazwać go pieśnią, a nie wołaniem?

Gdybyś włączyła odsłuch z dyktafonu, to usłyszałabyś naszą rozmowę, ale żadnej melodii czy refrenu. Uważamy, że pod wodą wołania oraz pieśni spełniają inne funkcje. Wołania służą przekazaniu informacji: „Hej, jestem tutaj". Śpiew wymaga od zwierząt wysiłku akustycznego, prawdziwego zaangażowania. Obserwowaliśmy, że samce humbaków pozostają w jednym miejscu, często z głową opuszczoną, i po prostu śpiewają. Robią przerwę tylko po to, by się wynurzyć i zaczerpnąć powietrza, potem wracają w to samo miejsce i śpiewają dalej. Ta pieśń składa się z różnych nut, fraz, tematów, które powtarzają się w kółko.

Jak długo mogą tak śpiewać?

Na pewno kilka godzin, być może dni.

Ile potrafią wytrzymać bez powietrza? ↦

↦ Głębinowi nurkowie, jak kaszaloty, mogą być pod wodą dobrze ponad godzinę. Ale one nie śpiewają, podobnie jak inne zębowce. Z tego, co wiemy, tylko wieloryby należące do fiszbinowców, czyli te, które odżywiają się filtrując wodę, emitują pieśni. Być może dlatego, że ich struktura społeczna jest zupełnie inna, ale tak naprawdę nie wiemy. Wciąż trudno badać wielkie wieloryby w naturze.

Masz swojego ulubionego wieloryba, prawda?

Długo się upierałam, że nie. Ale tak, to prawda, najbardziej fascynują mnie wieloryby grenlandzkie. Są wyjątkowe: to jedyny wieloryb wśród fiszbinowców, który okrągły rok żyje w Arktyce. Potrafi przełamać pół metra lodu, ma najgrubszą warstwę tłuszczu pod skórą i najdłuższe fiszbiny, no i dożywa 200 lat. Jak można to przebić?

Ich śpiew jest dziwny, raz piękny, raz niepokojący i trudny do zniesienia. Porównujesz je do muzyków jazzowych, a o humbakach mówisz, że to klasycy.

Pomysł na tę analogię wziął się stąd, że chciałam wytłumaczyć ludziom, na czym polega fenomen śpiewu wielorybów grenlandzkich. Pieśni humbaków są cudowne, ale bardzo uporządkowane. Bywają powolne, między nutami jest wiele przestrzeni. Są regularne, śpiewane według dość ścisłego protokołu – wszystkie samce tego gatunku w danym roku będą śpiewać tę samą piosenkę.

Taki hit na ten rok?

Dokładnie. Nawet jeśli melodia odrobinę się zmieni w czasie okresu rozrodczego, wszyscy tę zmianę zastosują. Kolejnego roku pieśń humbaków będzie się nieco różniła, na przykład refrenem, ale wiele fraz z poprzedniego sezonu zostanie.

Wieloryby grenlandzkie śpiewają zupełnie inaczej. Nie widzimy ich, gdy to robią, bo śpiewają tylko w okresie od listopada do kwietnia, w czasie nocy polarnej, czyli kiedy jest ciemno 24 godziny na dobę, a wodę w 95 do 100 proc. pokrywa lód. Wyśpiewują dziesiątki różnych pieśni. Śpiewają je przez cały dzień, ale kolejnego dnia ten sam wieloryb lub inny śpiewa coś zupełnie nowego. Ich repertuar zawiera dźwięki o bardzo różnych częstotliwościach, np. szalone trębacze krzyki, które przywodzą mi na myśl Milesa Davisa. Potrafią też wydawać dwa dźwięki jednocześnie: bardzo niskie „bruuu" i piszczący płacz. To naprawdę imponujące, jakby grały na instrumentach. Są wolne w tym śpiewie. Czasem ich głos brzmi tak, jakby naśladowały dźwięk wydawany przez lód, czasem na spektrogramie nawet mnie trudno to odróżnić. Bywa, że imitują też białuchy arktyczne.

> Okrągły rok żyją w Arktyce, potrafią przełamać pół metra lodu, mają najgrubszą warstwę tłuszczu pod skórą i najdłuższe fiszbiny, dożywają 200 lat.
> **Jak można to przebić?**

To Ty odkryłaś śpiew wielorybów grenlandzkich?

O tym, że śpiewają, wiadomo od późnych lat 70. Wtedy po raz pierwszy na Alasce zanurzono hydrofony – czyli podwodne mikrofony – w oceanie i usłyszano ich śpiewy. Ja odkryłam, że w tej samej populacji, w tym samym roku, śpiewają zupełnie inne pieśni, i że one całkowicie się zmieniają z sezonu na sezon. Ta zmiana jest radykalna – jakbyśmy jednego roku śpiewali A, B, C, a kolejnego – S, T, Q, Z. Miałam szczęście, że byłam w miejscu, gdzie miałam dostęp do tych danych, i naprawdę mogłam się temu poświęcić. Czuję jednak, że zaledwie liznęłam temat.

Nie wiadomo, dlaczego to robią.

Dużo o tym myślę. Wieloryb grenlandzki jest najbliżej spokrewniony z pewnym rodzajem dużych, czarnych wielorybów [łac. *Eubalaena*, ang. *right whale*, po polsku „waleń" – red.]. Jedne i drugie mają ogromne jądra i prawdopodobnie ich strategią rozrodczą jest tzw. konkurs spermy. Wielu samców parzy się z jedną samicą, a dzięki ogromnym ilościom wyprodukowanej spermy mogą wypłukać nasienie poprzednika. Być może walenie grenlandzkie używają pieśni jako kolejnej strategii rozrodczej, ale nie jesteśmy pewni, bo to się dzieje w środku zimy, w ciemności. Możemy przypuszczać, że ich śpiew nie służy do identyfikacji, bo są jedynym fiszbinowcem, a więc śpiewającym wielorybem, w wodach Arktyki. Białuchy i narwale, dwa pozostałe arktyczne gatunki wielorybów, to zębowce.

Być może dlatego wieloryby grenlandzkie mogą sobie pozwolić na bardziej dowolną formę niż humbaki. Od pięciu lat słucham tej samej populacji i nigdy nie słyszałam tej samej pieśni.

Jak nagrywasz i badasz te pieśni?

Do oceanu wkładam na rok hydrofon przyczepiony do dna. Dane z niego uzyskuję dopiero po wyjęciu, jest ich masa. By je opracować, patrzę na spektrogram, korzystam też z automatycznego wykrywacza, który powie mi, kiedy pojawia się jakiś interesujący sygnał. Wtedy zanurzam się w danych i słucham uważnie na słuchawkach w biurze. Na wiosnę prowadzę też inne badania w Utqiaġvik na Alasce. Teraz powinnam tam być, ale z powodu panujących obostrzeń nie mogłam wyjechać, po raz pierwszy od dziesięciu lat. Gdy tam jestem, idę na krawędź lodu, zanurzam hydrofon i nasłuchuję. Rozmawiam z rdzennymi mieszkańcami, myśliwymi, daję im posłuchać, jak brzmi świat pod wodą. Wydaje się, że nic się tam nie dzieje, na powierzchni tylko lód i woda, i nagle: bum!

Niektórzy słuchają pomruków wielorybów, by się zrelaksować albo zasnąć. Ty tego nie robisz.

Nie. Ale czasem po prostu siadam i słucham, nie próbuję wyciągać naukowych wniosków, tylko się zachwycam: o rety, co te zwierzęta tam wyprawiają? Czy robią to dla zabawy? Nie chciałabym tego banalizować, ale różnorodność dźwięków, jakie wydają z siebie w ciągu roku, sprawia wrażenie, jakby się wygłupiały: „a, zobaczę, czy potrafię wydać z siebie taki dźwięk, albo taki". Myślę, że dobrze się bawią.

Podobno pod wodą słyszysz też zmianę klimatu. Jak brzmi?

Słucham zmian klimatu pod wodą w Arktyce. Wszyscy wiedzą, że następuje tam radykalna redukcja lodu – pod względem przestrzeni, którą zajmuje, jego grubości i wiekowości, co w ogromny sposób zmienia warunki panujące w Arktyce. Brak lodu sprawia, że pod wodą zrobiło się głośno od wiatru. Kiedy jest burza, wiatr

przesuwa mniejsze kawałki lodu po powierzchni, i one skrzypią, dudnią. Ale naprawdę gruba warstwa lodu działa jak bufor, przez co bardzo mało dźwięku przedostaje się pod wodę. Dlatego Arktyka to zawsze było jedno z najcichszych, a do niedawna najbardziej dziewiczych akustycznie miejsc na świecie. Bez lodu wiatr hula po powierzchni, tworzy fale, a one tworzą bąbelki, które pękają i hałasują.

Jak sobie wyobrazić tę zmianę w głośności?

To tak jakbyś żyła na wsi z jedną, niezbyt uczęszczaną drogą, a potem przeprowadziła się tuż obok autostrady. Wiatr to szerokopasmowy, rozmyty dźwięk na różnych częstotliwościach, który sprawia, że wszystko jest głośniejsze. Jakbyś była w pokoju z głośnym wiatrakiem. Nie zauważasz dźwięku, dopóki ktoś go nie wyłączy, a wtedy nagle czujesz, jak poziom stresu spada, wcześniej nie miałaś świadomości, jak ten hałas w tle cię irytował. Właśnie to dzieje się w Arktyce z powodu wiatru i fal.

Zwierzęta pewnie też się stresują. Czy ktoś to już zbadał?

Chyba w 2012 r. opublikowano bardzo ciekawe badania na temat północnoatlantyckich waleni. To populacja narażona na wielki stres – zderzenia ze statkami, zaplątanie w sieciach rybackich. Po atakach z 11 września 2001 r. światowy handel stanął w miejscu, niewiele latało samolotów ani przepływało statków. A naukowcy nadal zbierali odchody waleni, by zbadać poziom hormonów stresu. Kiedy porównali wyniki z poziomem hałasu otoczenia, okazało się, że poziom kortyzolu znacznie spadł po atakach. Hałas powoduje stres u wszystkich zwierząt, u nas też.

Utrudnia też komunikację.

Wiele tras statków zmieniono, by nie zderzały się z wielorybami, ale wciąż produkują hałas na niskiej częstotliwości, na której nadają ogromne wieloryby – od 10 do 500 Hz. To kanał większości fiszbinowców. Więc jeśli rośnie hałas w tle, środowiskowy, nie mogą się już słyszeć z dużych odległości, muszą nadawać głośniej albo zmienić wysokość dźwięku. Nie wiemy, ile wysiłku ich to kosztuje.

Zdarza się, że milkną?

Moja koleżanka Susanna Blackwell zbadała, że kiedy statki wiertnicze albo statki z działkami powietrznymi są daleko od wielorybów grenlandzkich, to zwierzęta często się nawołują. W miarę jak statki się zbliżają – wieloryby milkną. Już nie warto się komunikować, rezygnują, bo nikt nie może ich usłyszeć w tym hałasie. Zatem wieloryby, które opierają swoje funkcjonowanie na kontakcie, przestają rozmawiać, bo nie mają jak. Wyobraź sobie, że idziesz na koncert rockowy. Kiedy jesteś na obrzeżach tłumu, daleko od głośników, jeszcze możesz rozmawiać z kolegą, chociaż prawdopodobnie musisz krzyczeć. Ale jak jesteś pod sceną, to już nie ma sensu otwierać ust.

> Emitują tyle różnorodnych dźwięków, iż czasami **mam wrażenie, że się wygłupiają:** „zobaczę, czy potrafię wydać z siebie taki dźwięk". Myślę, że dobrze się bawią.

To dla nich takie głośne? To straszne!

Straszne. I w każdym oceanie, którego słuchałam, może z wyjątkiem Morza Beringa, słychać działka powietrzne. W Oceanie Południowym, Arktycznym, Indyjskim, w północnym Pacyfiku, i w południowym Atlantyku. Wszędzie słychać też statki, głównie na północnej półkuli i w Oceanie Indyjskim. Do niedawna wody Arktyki były akustycznie dziewicze, zwierzęta wyewoluowały tam przy bardzo niskich poziomach hałasu. Owszem, na wiosnę słychać kakofonię dźwięków, ale hałasują zwierzęta. Na kurczeniu się pokrywy lodowej korzysta handel – statki z Chin skracają sobie drogę do Europy. To nowy, głośny hałas w środowisku, gdzie go nie było.

COVID-19 sprawia, że na ulicach jest ciszej. Słyszę w mieście ptaki, a nie słyszę samochodów. Myślisz, że w wodzie też będzie słychać tę zmianę?

Dowiem się dopiero, jak wyciągnę hydrofon, czyli w sierpniu, jeśli będzie można już podróżować. W Arktyce od lat pływa mnóstwo statków turystycznych. Wszyscy chcą ją zobaczyć, zanim się roztopi – a mogą to zrobić, bo jest mniej lodu. W tym roku prawdopodobnie statków wycieczkowych nie będzie, więc poziom hałasu się obniży.

Myślisz, że jest możliwa zmiana? Że wirus nauczy nas, iż musimy reagować na zmianę klimatu, chociażby po to, żeby wieloryby grenlandzkie mogły się usłyszeć?

Zmiana klimatu spowoduje większe problemy niż koronawirus. Będzie gorzej – dla ludzi też. Nawet jeśli nie obchodzi cię natura, to wiedz, że będzie więcej susz, ludzie będą umierać z głodu, będzie więcej chorób. Dlaczego nie budzi w nas to takiej paniki jak COVID-19? Myślę, że to kwestia skali czasowej: sądzimy, że zmiana klimatu następuje na przestrzeni dekad i nas nie dotyczy. Ale przecież przyspiesza. Musimy globalnie zdecydować, że zdrowie planety, która nas utrzymuje – przecież nie możemy istnieć bez drzew i oceanów, które zapewniają tlen i jedzenie – jest ważne. Indywidualne wybory są istotne, owszem, ale potrzeba międzynarodowych decyzji.

Koronawirus to szansa na lekcję?

Obawiam się, że będziemy się tak spieszyć, by wystartować z ekonomią, iż ludzie przestaną się przejmować regulacjami środowiskowymi. Oby nie. Lubię opowiadać o Arktyce i wielorybach grenlandzkich, bo chcę, by ludzie poznali sekretne życie wielorybów, zobaczyli, na jakiej niesamowitej planecie żyjemy, i zaczęli się nią przejmować. Żeby wyszli oglądać mrówki do ogródka – to dobry początek. Mamy oceany, pustynie, lasy, sawanny, nie ma innej planety w naszym układzie, która potrafi utrzymać tak różnorodne życie. Nie chcę lecieć na Marsa. Do diabła z Marsem! Uratujmy Ziemię.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

KATE STAFFORD *jest doktorką oceanografii, specjalistką od słuchania oceanów na University of Washington. Bada odgłosy ssaków morskich i odgłosy zmian klimatycznych w wodach arktycznych.*

SITKA SOUND SCIENCE CENTER

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA

Z ODDECHEM

PIOSENKA CI NIE DA ZAPOMNIEĆ

Kogo miała na myśli Olga Tokarczuk, przywołując w wykładzie noblowskim swój ideał „czułego narratora”? Nie, to nie jest czuły człowiek.

RYSZARD KOZIOŁEK

Wracała do niego ta piosenka całe życie. A na pewno przez ostatnie dwadzieścia lat, kiedy żyliśmy w jednym domu. Pierwszy raz musiałem ją słyszeć bawiąc się w jego warsztacie stolarskim, gdzie uwielbiałem przebywać, bo pozwalał mi dotykać poważnych narzędzi. Wbijać gwoździe, używać ręcznego wiertła, które chwiało się jak pijane w słabych rękach. A nawet mogłem przystawiać się do największego hebla, który w jego dłoniach zbierał szerokie, jasne wióry z ram okiennych i futryn. Był łagodny, spokojny i cierpliwy. Tak już zawsze będę wyobrażał sobie kogoś, kto pracuje z drewnem.

Osieroceni z bratem we wczesnym dzieciństwie, zostali oddani rodzinie bogatego chłopa na wychowanie, a naprawdę sprzedani za wikt i opierunek jako darmowa siła robocza. Niewiele o tym mówił. Żywił za to do śmierci, irytujący nas okropnie, kult wobec swego chlebodawcy. Ten bowiem, w rewanżu za lata pracy, ofiarował mu hektar ziemi i materiał na budowę domu. Tego dowiedziałem się dużo później.

Piosenkę, a raczej nucone przez niego podczas pracy fragmenty, rejestrowałem automatycznie i nieuważnie, bo na długie lata została mi w głowie tylko jedna linijka tekstu i fragment melodii. Były to fonetycznie i błędnie zapamiętane niemieckie słowa, które osadziły się w mojej pamięci mniej więcej jako: „auf jede december forwider ajn majn”. Nigdy nie zapytałem, co to za piosenka, skąd ją zna i dlaczego tak często ją nuci.

Umarł w 1989 r. Sam też przestałem o niej myśleć. Aż do 6 marca 2020 r. Tego wieczoru Masaaki Suzuki ze swoim Kolegium Bachowskim miał wykonać Pasję Jana w NOSPR. Mieliśmy z Młodym bilety. Jadąc samochodem usłyszałem w Dwójce fragment tej drugiej Pasji ↦

Olga Tokarczuk. Warszawa, kwiecień 2018 r.

↦ – Mateuszowej. Była to partia chóru, który śpiewa o Judaszowych wyrzutach sumienia:

Gebt mir meinen Jesum wieder!
Seht das Geld, den Mörderlohn,
Wirft euch der verlorne Sohn
Zu den Füßen nieder!

(Oddajcie mi na powrót mojego Jezusa
Oto pieniądze, zapłata mordercy
Rzucone do waszych stóp
Przez syna marnotrawnego.)

Z niezrozumiałego wówczas tekstu przemówiło do mnie jedno słowo: „*wieder*" (znowu, ponownie) jako echo tamtego „forwider". Chaotycznie zacząłem opowiadać o tym Młodemu, który mówi po niemiecku. Po kilku minutach guglowania usłyszałem, pół wieku za późno, nie tylko refren, ale całą piosenkę, która nawiedzała Władka przez całe życie. I jak się okazuje – mnie.

Po raz pierwszy mogło to wyglądać tak. W ciepłym warsztacie stolarskim, pośród wiórów jasnego drewna bawi się pięcioletni chłopiec i słucha niezrozumiałych słów piosenki śpiewanej przez dziadka mieszającego pachnący, śnieżnobiały klej.

Es geht alles vorüber, / Es geht alles vorbei.
Auf jeden Dezember / Folgt wieder ein Mai

(Wszystko w końcu przemija, / Wszystko odchodzi w dal.
A po każdym grudniu / Nadchodzi znów maj)

To nie czułość, to „nieczułość"

Mocne obrazy metaforyczne, wprowadzone do złożonych i obszernych rozważań, grożą autorowi, że cała jego praca tłumaczenia i przekonywania skręci się i zwinie w tę właśnie metaforę, która osadzi się na długo w umyśle odbiorcy i z czasem będzie wszystkim, co zostało zapamiętane z lektury. Na dodatek w znaczeniu zgoła innym niż zamierzone.

Tak było z „grubą kreską" Tadeusza Mazowieckiego, „papieskimi kremówkami" Jana Pawła II i tak się dzieje z „czułym narratorem" z przemówienia noblowskiego Olgi Tokarczuk. Przejęty przez zachwyconych lub krytycznych komentatorów, wszedł natychmiast do języka bieżącej publicystyki. Sprzyjał temu fakt, że słowo „narracja" gości tam od wielu lat, zastępując z powodzeniem „poglądy", „przekonania" czy „stanowiska ideowe".

Uznano więc „czułego narratora" za postulat autorki o potrzebie innej, lepszej narracji w debacie publicznej; za coś w rodzaju marzenia pedagogicznego o mowie publicznej wolnej od nienawiści, manipulacji, za to zdolnej do rozumiejącego współczucia, troskliwej uwagi dla obywateli, a nawet dla konkurentów politycznych.

Nie mam nic przeciwko takiej pedagogice, sugerowałbym jednak, aby nie opierać jej na wzorze „czułego narratora" z wykładu Tokarczuk. Już w szkole uczono nas bowiem, że narrator to nie jest rzeczywisty autor, a więc i „czuły narrator" to nie to samo, co czuły człowiek. Różnica jest mniej więcej taka jak między czułością kochanków a czułością błony fotograficznej.

Nieprzypadkowo od fotografii rozpoczynają się rozważania noblowskie Olgi.

„Pierwsze zdjęcie, jakie świadomie przeżyłam, to zdjęcie mojej matki, jeszcze zanim mnie urodziła. Zdjęcie jest niestety czarno-białe, przez co ginie wiele szczegółów, stając się zaledwie szarymi kształtami. Światło jest miękkie i deszczowe, chyba wiosenne i najpewniej sączy się przez okno, utrzymując pokój w ledwie zauważalnym blasku. Mama siedzi przy starym radiu, takim, które miało zielone oko i dwa pokrętła – jedno do regulowania głośności, drugie do wyszukiwania stacji".

Aparat fotograficzny przekształca dziejący się, żywy świat w chemiczne obrazy powstałe z oddziaływania światła emitowanego przez rzeczy na materiał światłoczuły. Ta zaś zarejestruje wszystko, co znajdzie się w kadrze i zaświeci wystarczająco mocno, bez względu na obiekt i jego stan uczuciowy.

„Kobieta jest smutna, zamyślona, jakby nieobecna. Kiedy ją potem pytałam o ten smutek – a robiłam to wiele razy, żeby zawsze usłyszeć to samo – mama odpowiadała, że jest smutna, bo jeszcze się nie urodziłam, a ona już do mnie tęskni. – Jak możesz do mnie tęsknić, skoro mnie jeszcze nie ma? – pytałam".

Wymijający komentarz matki jest już efektem pracy „czułego narratora", który wyjaśnia to, o czym fotografia milczy – czas sprzed zrobienia zdjęcia. Zasadniczą pracą tego narratora jest opowiadanie o tym, czego nie ma, czyli wypełnianie nieobecności. „To punkt, perspektywa, z której widzi się wszystko". Niedostępna człowiekowi, dodajmy od razu.

W prozie Tokarczuk najdoskonalszym wcieleniem czułego narratora jest Jenta z „Ksiąg Jakubowych". Pogrążona w letargu pomiędzy życiem i śmiercią, widząca i świadoma wszystkiego, Jenta staje się coraz bardziej obojętna na los jednostek i pokoleń, natomiast współczująca ze wszystkim, co umarło bez śladu w opowieści: „Jenta ma dla nich coś w rodzaju czułości, kiedy ją muskają niczym ciepły wietrzyk. A gdy jej ciało stało się czystym kryształem, Jenta odkrywa całkiem nową umiejętność: przestaje być tylko świadkiem, okiem, które wędruje w przestrzeni i czasie – może płynąć przez ciała ludzi, kobiet, mężczyzn i dzieci, wtedy czas przyspiesza i wszystko dzieje się bardzo szybko, w jednym momencie".

Jenta-Olga w wykładzie noblowskim tak właśnie opisuje działanie czułości narracyjnej: „Kiedy piszę, muszę wszystko czuć wewnątrz mnie samej. Muszę przepuścić przez siebie wszystkie istoty i przedmioty obecne w książce, wszystko, co ludzkie i pozaludzkie, żyjące i nieobdarzone życiem. Każdej rzeczy i osobie muszę przyjrzeć się z bliska, z największą powagą i uosobić je we mnie, spersonalizować. Do tego właśnie służy mi czułość".

Czy w tym rosnącym dystansie, jaki oddziela Jentę od żyjących, nie ma sprzeczności z jej równoczesną zdolnością do współodczuwania z każdym pojedynczym istnieniem? Nie, jeśli oderwiemy „czułego narratora" od wyobrażenia wrażliwego człowieka. „Czuły narrator" to uważny, obiektywny, nieangażujący się obserwator, wyposażony w superwrażliwą aparaturę do percepcji świata. Przejmuje się, współodczuwa, nie interweniuje, a jedynie opisuje.

Jenta, podobnie jak „czuły narrator" z wykładu noblowskiego, to potomstwo boga-narratora, którego wymyślił Gu-

staw Flaubert. Obok obsesyjnej uważności na każdy szczegół rzeczywistego świata, jego cechą jest *l'impassibilité* (nieczułość, niewzruszoność, obojętność, niewrażliwość). W liście do Luizy Colet z 9 grudnia 1852 r. tak o tym pisał: „Autor w swym dziele powinien być jak Bóg w przyrodzie, wszędzie obecny i niewidoczny. Sztuka jest drugą naturą, twórca tej natury musi działać podobnie: w każdym atomie, w każdym elemencie ukryć nieskończoną i niewzruszoną potęgę" (przeł. Ryszard Engelking).

Kiedy czytamy korespondencję Flauberta, widzimy histeryka czułości, który pcha nam przed oczy swoje skrajne emocje, podczas gdy jego prozę zdaje się tworzyć zimny demon poznawania. „Jego serce – pisze Renata Lis – eksploatowane bez litości w laboratorium jego prozy, w życiu głodzone niemal na śmierć, z upływem lat wypełniała więc pustka po zmarłych" („Ręka Flauberta"). Czułość i nieczułość są zatem dwiema stronami tego samego, czyli literatury rozumianej jako „głębokie przejęcie się drugim bytem, jego kruchością, niepowtarzalnością, jego nieodpornością na cierpienie i działanie czasu" – mówiła Olga Tokarczuk w wykładzie.

Przepis Flauberta na „czułą narrację" jest następujący: najpierw trzeba wykonać pracę niemożliwą, czyli pokochać tych, którzy budzą w nas lekceważenie, pogardę, a nawet odrazę. Tak było z mieszczanami opisanymi w „Pani Bovary". A kiedy to już się uda, trzeba wyrzec się tej miłości i w imię prawdy napisać tak bezwzględne zdania, jak np. opis posiłków dopiero co poślubionych Karola i Emmy. Dwoje najbliższych i całkowicie sobie obcych ludzi przy stole. On szczęśliwy po pracy „jadł powoli", podczas gdy ona „miała wrażenie, że podają jej na talerzu całą gorycz istnienia i wraz z oparami unoszącymi się z potraw unosiły się z głębi jej duszy mdłe wyziewy nudy i obrzydzenia" (przeł. Aniela Micińska).

Oto prawdziwie „czuły narrator".

Czuły czytelnik

Strychy i piwnice są dla dziecka pierwszymi przestrzeniami przygody. Mój nie przypominał tego z Bullerbyn ani tym bardziej poznanego dużo później strychu z „Młyna nad Flossą" George Eliot, gdzie Madzia Tulliver „wyzbywała się złych humorów i gadała głośno do zżartej przez korniki podłogi, zżartych półek i ciemnych krokwi obwieszonych pajęczynami, tutaj też trzymała fetysza, na którym mściła się za wszystkie swoje nieszczęścia. Był to korpus wielkiej, drewnianej lalki, która kiedyś wytrzeszczała najokrąglejsze w świecie oczy z najczerwieńszych w świecie policzków, teraz jednak była całkowicie zdefasonowana, a to przez długą karierę zastępcy w męczarniach. Trzy gwoździe wbite w głowę upamiętniały tyleż kryzysów w okresie dziewięcioletnich ziemskich zmagań Madzi" (przeł. Anna Przedpełska-Trzeciakowska).

Strych w domu mojego dzieciństwa nie był malowniczo „zżarty" ani nawet specjalnie zagracony, nie skrywał starych przedmiotów, raczej tylko te nieużywane, których się nie wyrzucało, bo mogły się przydać. Nie stała na nim żadna szafa do przechodzenia „na drugą stronę". Można było otworzyć właz na dach, wejść na stopień drabiny i wystawiając głowę oglądać znany sobie świat z góry.

Moja lękliwa czułość wobec dziadka sprawiła, że nie pozwoliłem mu opowiedzieć o najważniejszym może doświadczeniu jego życia.

Kiedyś jednak ktoś z domowników umieścił tam zniszczone pudło po małej harmonii. Byłem pewnie niewiele starszy niż Madzia (lat dziewięć), gdy je otwarłem. W środku znalazłem tylko dwa przedmioty. Książkę bez okładek i karty tytułowej oraz legitymację wojskową dziadka.

Przez najbliższe dni pochłonęła mnie książka, której tytuł i autora poznałem dopiero dwadzieścia lat później. Była to powieść o dylematach uczuciowych prezesa agencji reklamowej Eddiego Andersona, który oszalał na punkcie niejakiej Gwendoliny Hunt. Trochę mi się to szaleństwo udzieliło, ponieważ znalazłem tam (czyli w „Układzie" Elii Kazana) sceny erotyczne najbardziej śmiałe w porównaniu z wszystkim, co dotąd czytałem.

Po lekturze wróciłem do drugiego znaleziska i przyjrzałem się uważniej fotografii młodego mężczyzny, chłopaka właściwie, który bardzo przypominał dziadka. Nosił nieznany mi mundur, ale furażerka z „wroną" rozwiała wątpliwości. Byłem przecież wraz z milionami Polaków fanem „Czterech pancernych i psa". Zatrzymałem książkę, zatrzasnąłem pudło i nigdy już do niego nie zajrzałem. Zresztą wkrótce ktoś je zabrał ze strychu. Przez lata czułość wobec Władka, a potem wobec pamięci o nim sprawiły, że nie zapytałem go ani nie chciałem dociekać prawdy o jego wojennych losach; o tym, gdzie był i co robił.

6 marca 2020 r. fotografia oraz melodia i słowa piosenki połączyły się nagle, a ja zrozumiałem, że to młody chłopak z fotografii nauczył się niemieckiej piosenki, jaką dla niego (w radiu) i dla mnie (na YouTubie) śpiewała ta sama Lale Andersen, która wylansowała także największy przebój wojenny wszystkich frontów, czyli „Lili Marlene".

To już bez znaczenia. Przytaczam te perypetie dość typowej śląskiej biografii, aby zdać sprawę, jak bardzo czuła pamięć i czułość w ogóle odległe są od „czułej narracji" Olgi Tokarczuk. Moja lękliwa czułość wobec dziadka sprawiła, że nie pozwoliłem mu opowiedzieć o najważniejszym może doświadczeniu jego życia. Nie mam danych, aby zrobić to za niego. Pozostają mi więc tylko analogie i alegorie, czyli historia i literatura o innych ludziach, przystawiana do tego, co własne, nieobecne, nienazwane.

W nowej i głośnej biografii Hitlera autorstwa Volkera Ullricha natrafiam na taki fragment: „W okolicy Świąt Bożego Narodzenia żołnierze niemieccy tkwiący w kotle stalingradzkim wiedzieli już, że nie powiodła się próba odsieczy podjęta przez armię pancerną Hotha. Mimo to mieli nadzieję, że sprawy się odwrócą i podnosili się na duchu, śpiewając refren przeboju Lale Andersen: »*Es geht alles vorüber, / Es geht alles vorbei; / Auf jeden Dezember / Folgt wieder ein Mai*«. Stopniowo zdawali sobie jednak sprawę, że zostali opuszczeni przez swoje własne dowództwo. Tylko ułamek potrzebnych i obiecanych przez Luftwaffe dostaw żywności docierał do kotła. »Często musimy ruszać głodni« – donosił żołnierz piechoty w liście do domu z 21 grudnia. »Rano i wieczorem dostajemy jedynie ↦

kromkę chleba, a w południe wodnistą zupę«. A pewien szeregowiec pisał w Nowy Rok, że »czuje się kompletnie załamany«, kiedy tylko pomyśli o domu. »Jak demoralizujące i beznadziejne jest to wszystko wokół. Od czterech dni nie miałem w ustach chleba. Trzymam się na jednej chochli zupy w środku dnia. Głód, głód, głód, a na szczycie tego brud i wszy. Dzień i noc jesteśmy atakowani z powietrza, a ogień artyleryjski rzadko ustaje. Jesteś zredukowany do kupy trzęsących się nerwów. Twoje serce i umysł są przeciążone, trzęsiesz się jak w gorączce. Nie mam żadnej nadziei, dlatego proszę, żebyście nie płakali za bardzo, kiedy przyjdą wieści, że zginąłem«". (Volker Ullrich „Hitler: Volume II: Downfall 1939-45").

Ci, którzy mają bliskich w kwarantannie lub w szpitalu, zostali ogołoceni z najważniejszych instrumentów czułej troski: **dłoni i ust.**

Czy był tam, „w kotle", razem z 220 tysiącami żołnierzy niemieckich, kiedy w listopadzie 1943 r. Rosjanie zamknęli pierścień wokół Stalingradu? Chyba nie. Ale myśląc o nim, myślę równocześnie o tych dwóch, co napisali te listy. I myślę o nich z czułością. Są moimi wrogami, żywiłbym do nich nienawiść, jak do każdego, kto najechałby moją ojczyznę, chciał zabić mnie i moich bliskich. A jednak tym dwóm współczuję i chcę, żeby przeżyli.

Działanie dobrze napisanej literatury rodzi w czytelniku stan splątania, w którym jest on sobą i kimś innym jednocześnie. Człowieka będącego w takim stanie można by nazwać „czułym czytelnikiem". Podobny stan umysłu komplikuje nasze postawy patriotyczne, osłabia moralne rozstrzygnięcia, zaciera ostrość poglądów politycznych.

Nie dziwi mnie wcale, że Platon, projektując idealne państwo, nie widział w nim miejsca na literaturę. Przestrzegał, że „każdy, kto jej słucha, powinien uważać na siebie i bać się o swój własny ustrój wewnętrzny, (...) aby, broń boże, nie wpaść z powrotem w tę dziecinną, a tak rozpowszechnioną miłość" (przeł. Władysław Witwicki). Jest to bowiem miłość do tego, co nie istnieje.

Położyć na tym rękę

Spośród niezliczonych funkcji, jakie ewolucja wyznaczyła naszym dłoniom i ustom, czułość nie jest pewnie najważniejsza, ale też prawie nie sposób wyrazić ją inaczej. Czułość składa się głównie z dłoni i z ust. Wyobrażam sobie więc, że dziś, trochę już mądrzejszy i chyba odważniejszy, zapytałbym go: „No, jak tam było?".

Do zadania takich pytań ręka jest niezbędna. Musiałbym najpierw położyć mu swoją na kolanie lub ująć jego dłoń, która była jak nieokorowany kawałek świerkowego drewna. Rzecz jasna, to fikcja, jest za późno, ręka „opiera się o powietrze" – jak pisze Herbert w tym wspaniałym wierszu o triumfie czułej narracji nad czułością kobiety. Skądinąd słusznie posąg Nike z Samotraki został pozbawiony przez historię głowy i rąk. Nawet bogini nie potrafi opanować całkiem czułości ust i dłoni na widok chłopaka, który za chwilę zginie. Nike ma ogromną ochotę podejść i pocałować go w czoło.

W tej na pozór rozbieganej wędrówce po czułości, pamięci i literaturze wątki powoli się schodzą. Wiele razy zastanawiałem się, czy to mądre, aby tyle uwagi poświęcać nieobecnemu lub nieistniejącemu, o którym mówi literatura? Czy to nie śmieszne i gorszące, że więcej wiem o Stanisławie Wokulskim lub o Aleksandrze Billewiczównie, niż o którymkolwiek z sąsiadów, z którymi mieszkam w moim bloku? Nieczuły wobec ich nieznanych mi trosk, przejmuję się losem Wertera lub Emmy. Rozgrzeszam się jednak przez lata z tej rozrzutnej czułości wobec nieistniejących istot i rzeczy.

Zwykła czułość chce dotknąć tego, co kocha. Kiedy nie ma czego dotykać, ręka zawisa w powietrzu. Żeby nie zostać z tym rozpaczliwym i śmiesznym gestem, ruch ręki zmienia się w myślenie o tym, czego nie możemy dotknąć. Ręka dosięga, chwyta, przyciska, ciągnie, podaje, przyjmuje, trzyma, nosi, wskazuje, składa się – wymienia Martin Heidegger, zanim dotrze do myślenia jako najważniejszego ręko-dzieła człowieka. Teraz czuła ręka myślenia musi odtworzyć kształt tego, co jest nieobecne. Staje się wówczas pamięcią, historią, fikcją, twórczością. A z nich wszystkich to literatura najskuteczniej uczy nas pragnąć nieistniejącego. Zadaniem czułego narratora jest zastąpić słowami nieobecną rzeczywistość, tak skutecznie, żebym wbrew świadomości, że to tylko słowa, chciał dotknąć istot i rzeczy, które opisują.

W „Mistrzu i Małgorzacie" Bułhakowa jest scena, w której Jezus przyłapuje Piłata na dwóch mimowolnych gestach czułości wobec psa, choć zwierzę jest nieobecne.

„– Wodziłeś w powietrzu dłonią – tu więzień powtórzył gest Piłata – tak, jakbyś chciał go pogłaskać, a twoje wargi...

– Tak – powiedział Piłat" (przeł. Andrzej Drawicz).

Wracają do mnie uporczywie, szczególnie w ostatnich tygodniach, te dwa ruchy: ręki głaszczącej powietrze i ust niemo wypowiadających imię ukochanego psa. Nakazy epidemiologiczne i rozsądna ostrożność sprawiły, że w znacznym stopniu pozbawiliśmy nasze relacje społeczne pośrednictwa ust i dłoni. Zwłaszcza dłoni. Przestaliśmy się witać, opierać rękę na ramieniu, mierzwić sobie pieszczotliwie włosy, głaskać się, poklepywać po plecach, chwytać się za ręce. Ci, którzy mają bliskich w kwarantannie lub w szpitalu, zostali ogołoceni z najważniejszych instrumentów czułej troski. Chcieliby położyć rękę na ich czołach, policzkach lub dłoniach, a głaszczą nieobecność.

Czy to nam zostanie na dłużej? To życie na dystans przekraczający długość ramion dwojga ludzi? W trudnym do przewidzenia czasie dotyk lub współobecność zmienimy jeszcze bardziej na elektroniczne pismo i obraz? Mam nadzieję, że nie; że będzie przeciwnie i pojawi się potężne odbicie w postacie gwałtownego powrotu do opuszczonych przestrzeni i form naszego współbycia. Przestaniemy obawiać się dotyku nagiej dłoni i okaże się, że świat znów jest dla nas dostępny, czyli w zasięgu ręki.

Tymczasem kwitnie narracja czułych kamer i mikrofonów, palce dotykają chłodnej i gładkiej jak kość klawiatury. Kompulsywnie przekazujemy sobie siebie głosem, pismem i obrazem. A przecież nie możemy doczekać się chwili, kiedy znów (*wieder*) bliskością i dotykiem potwierdzimy swoją obecność – to jest, że istniejemy naprawdę. © RYSZARD KOZIOŁEK

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI
TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

WSPÓLNIE PRZYSPIESZAMY BIEG RZECZY

+48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl

INTERNET SYMETRYCZNY
TRANSMISJA DANYCH
KOLOKACJA
CLOUD COMPUTING
HOSTING
USŁUGI GŁOSOWE
OUTSOURCING IT
KONSULTING

KULTURA

WSZYSTKO PRZEZ PLAKACIK

JOANNA HELANDER, FOTOGRAFKA:

Wydawało mi się, że kastrujący system PRL doszczętnie Polaków skorumpował i ogłupił. Okazało się, że nie do końca tak jest.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Przywiązujesz się do rzeczy?

JOANNA HELANDER: Po naszemu, czyli po śląsku, mówi się klamoty. Trzymam listy, chętnie otaczam się przedmiotami, które łączą mnie z przeszłością, z bliskimi ludźmi.

Skąd te tygryski na Twojej półce?

Pochodzą z Czerwionki, gdzie mieszkała moja ciotka Fryderyka, siostra ojca; wołano na nią Grejta. Emanowała ciepłą energią życiową, silna osobowość, trzymała w garści rodzinę. Była nieco despotyczna wobec własnej córki, ale nigdy wobec nas. Nauczyła mnie gościnności, jej drzwi się nie zamykały. Do Czerwionki przeniosła się po ślubie i z mężem sztygarem w 1936 r. postawili kamienicę – piękną, funkcjonalną, z oknami po sufit. Na parterze ciotka miała sklep, prowadziła go nawet w czasie wojny, dopiero w 1948 r. komuniści jej go odebrali. Do tego robiła własne lody. Na placu koło kamienicy stały duże bryły lodu w trocinach, wtedy nie było jeszcze zamrażarek.

Wizyty u ciotki były zawsze szalenie intensywne – ten jej głośny, zaraźliwy śmiech, no i ta mieszanina polskiego i niemieckiego! Wytworne śląskie jedzenie, soczyste jabłeczniki, torty. Moja kuzynka Dora miała dużą bibliotekę. Ogromny ogród, w wakacje siedziało się tam pod gruszą i czytało.

A porcelanowe tygryski odziedziczyliśmy, jak i kamienicę, po śmierci kuzynki.

Twój rodzinny dom?

W Rudzie Śląskiej, też mieliśmy kamienicę. W niej urodził się i zmarł mój ojciec. Rodzice mieli wykształcenie handlowe. Ojciec pracował w przemy-

GRAŻYNA MAKARA

Joanna Helander w mieszkaniu w Krakowie. Na komodzie zdjęcie Ciotki z Czerwionki, w lustrze partner twórczy Bo Persson. Luty 2020 r.

śle spożywczym, po wojnie był szefem aprowizacji na terenie Rudy, potem uczynili go dyrektorem spółdzielni. Ktoś na niego doniósł, bo nie było chleba w jakiejś piekarni. I stracił pracę. To był stygmat, ojciec się tego wstydził i trudno mu było gdzieś się zaczepić zgodnie z kwalifikacjami. Potem zaczął mieć problem alkoholowy – to złamało życie całej rodzinie. Wtedy mało kto nie pił – jednemu to bardziej szkodziło, drugiemu mniej.

A mama?

JOANNA HELANDER, z domu Koszyk, urodzona w 1948 r. w Rudzie Śląskiej, jest fotografką, reżyserką, pisarką i tłumaczką, od 1971 r. na emigracji w Szwecji, obecnie mieszka w Göteborgu i Krakowie. W 1983 r. została Fotografem Roku w Szwecji, prócz kilku albumów wydała książkę „Gerard K – Breven från Polen", poświęconą swojemu ojcu i rodzinie. Wspólnie z Bo Perssonem zrealizowała szereg wielokrotnie nagradzanych filmów dokumentalnych.

Urodziła siostrę w 1946, mnie w 1948, a brata w 1949 roku. Zaczęła pracować, gdy ojca wyrzucili ze spółdzielni. Na początku było ciężko, jeździła do Katowic, na dworcach ziąb, a pociągi kursowały jak chciały. W latach 70. była szefową m.in. w rozlewni piwa, później w wytwórni cukierków.

Siłaczka. Opowiedz coś jeszcze o rodzinie.

Moja babcia, mama ojca, miała pięcioro dzieci – trzy córki i dwóch synów. Wszyscy przeżyli wojnę, choć byli Żydami. ↦

W szpitalu. Poznań, 1985 r.

Fryzjerki. Ruda Śląska-Kuźnica, 1982 r.

↦ Kiedy sąsiedzi zaczęli donosić, że to przecież Żydzi, jedna z sióstr ojca, żona polskiego oficera, który zginął w Katyniu, uciekła do Monachium. Dzięki pomocy żołnierza Wehrmachtu stacjonującego w Rudzie, z którym kilka lat później związała się na całe życie. Brat ojca, chory na schizofrenię, przetrwał – co dziwne – w zakładach psychiatrycznych. Trzecia siostra wyszła za mąż za reichsdeutscha z Katowic, co ją trochę chroniło. No i ciotka z Czerwionki, gdzie najprawdopodobniej nikt nie donosił albo donosił nieskutecznie. Ojciec natomiast dostał wezwanie do lagru pod koniec 1944 r. Pojechał do Katowic, ale widząc tłum na dworcu podarł wezwanie i ukrył się w pustym mieszkaniu siostry. Nikt o tym nie wiedział, wszyscy myśleli, że wyjechał. A w styczniu w Rudzie byli już Rosjanie. Fakt, że ojciec przeżył wojnę, był szczęściem, ale zasłużył na lepszy los niż to, co mu zafundował PRL w czasach mojej młodości.

Jaka była wtedy Ruda?

Za ciasna. Już jako bardzo młoda dziewczyna czułam, że tu nie pasuję. Nie było łatwo się wyrwać, możliwość dawały studia. W liceum miałam inspirującą nauczycielkę francuskiego, ojciec nas też zachęcał do nauki języków. W rezultacie zdałam na romanistykę. Uniwersytet i Kraków to było okno na świat.

Kraków oczarował?

Moja siostra dostała się na psychologię, obie mieszkałyśmy w Nawojce, w domu studenckim. To był świat dziewcząt z prowincji oddzielony od świata studentek i studentów z Krakowa. Przyjaźni między nami nie było. Przez cztery lata studiów niewiele widziałam z Krakowa. Dopiero gdy w naszym życiu pojawili się Szwedzi, poznałam Kazimierz, Stare Podgórze... Do tego trzeba było bodźca z zewnątrz.

Szwedzi?

Mama dostała fuchę w ośrodku wczasowym nad morzem. Pojawiło się dwóch młodych Szwedów, przyjechali z przyjaciółkami, szukali miejsca na nocleg. Jeden z nich, Staffan, interesował się II wojną światową, planował podróż na południe Polski, w tym zwiedzanie Auschwitz. To był rok 1965. Od tego momentu Staffan regularnie przyjeżdżał do Polski – był naszym łącznikiem z wolnym światem. Później nauczył się polskiego, w końcu ożenił się z moją siostrą.

W 1968 r. razem z siostrą wywiesiłyście na domu studenckim Żaczek plakat z napisem: „Moskale, ręce precz od Czechosłowacji". Ty poszłaś do więzienia, siostra dostała wyrok w zawieszeniu.

Podczas przesłuchania oficer śledczy zaczął mi wytykać, że jestem Żydówką.

Wiedziałaś o tym?

Tak, ale wcześniej nie przywiązywałam do tego wagi. W książce kucharskiej babci była notatka po niemiecku, „Arbeitslager Sawin Kreis Chełm District

U pani Stasi. Kraków, 1983 r.

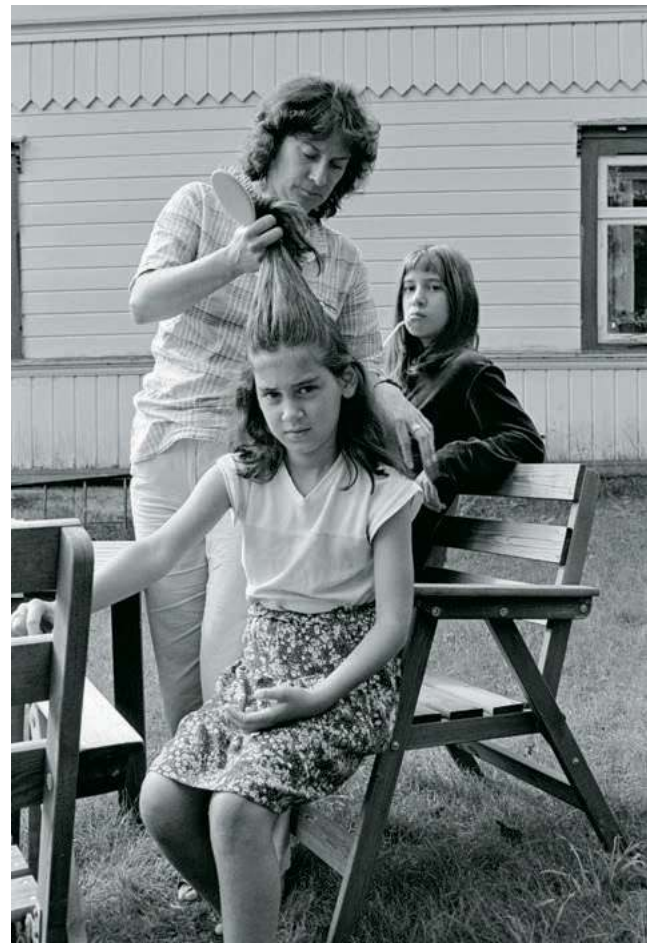

JOANNA HELANDER x4

Bacha czesze. Szwecja, Orrevik, 1986 r.

Lublin" .W rodzinie mówiło się, że właśnie w Sawinie koło Lublina zginął jej brat Leopold. Tata lubił wuja Leopolda, spędzał wakacje w jego domu w Luboszycach pod Opolem.

Opowiadał o nim?

Przechowywał ostatnią jego kartkę pocztową, napisaną w kwietniu 1942 r. Ojciec zaproponował mu schronienie, ale Leopold odmówił, ponieważ, jak pisał w tej kartce, jego dwie siostry i trójka małych dzieci już zostały wywiezione, on wie, co go czeka. Rezygnuje z pomocy, bo nie chce nikogo narażać.

Skóra cierpnie.

Ojciec tę kartkę traktował jak relikwię. Ale po wojnie nie pojechał do Luboszyc, nie miał odwagi.

Ty pojechałaś i nakręciłaś dokument „Powroty".

Pojechaliśmy wiele lat później, z inicjatywy Bo Perssona, mojego przyjaciela. Odnalazłam dom, karczmę, ogrody, które należały do rodziny Leopolda.

Emocje?

Początkowo strach, to były lata 80., nie wiedziałam, jak zostaniemy przyjęci. Weszliśmy do karczmy i w kilka minut cała wieś wiedziała, że przyjechaliśmy z ekipą. Najbardziej niepewnie czuł się wnuk człowieka, którzy przejął, chyba w 1938 r., nieruchomości po moich krewnych. Zapewne był świadomy tego, że jego przodek, ponoć członek NSDAP, kupił to za kilka marek, więc zareagował na naszą obecność agresją. Może bał się, że przyjechaliśmy po ten piękny żeleźniok – piec żeliwny – który stał w sali balowej. A nam nie o to chodziło...

A reszta?

Pamiętali moich krewnych i dobrze o nich mówili. Okazało się, że to była jedyna żydowska rodzina w Luboszycach. A ponieważ prowadzili również sklep, powodziło im się dobrze i byli szczodrzy. Sąsiedzi nie chcieli przyjąć, że ich zamordowano, mieli nadzieję, że może udało się im dostać do Ameryki. Ale oni nie pojechali do Ameryki, tylko do Kowna, dokąd ich przetransportowano już jesienią 1941 r. i gdzie ich rozstrzelano. A wuj Leopold prawdopodobnie zginął w Sawinie. Ojciec mówił, że w dole smołowym, prawdopodobnie to był obóz pracy. Mam tylko nadzieję, że Leopold nie zginął w Sobiborze.

W Sobiborze zginęło ponad 250 tysięcy ludzi.

Ja mam zwyczaj mówić, że nie jestem Żydówką, ale staję się nią coraz bardziej.

W sensie?

Z poczucia solidarności z ludźmi, których wyniszczono w tak straszliwy sposób. Temat Zagłady ciągle wraca w filmach moich i Bo. Czułam też potrzebę oddania hołdu tym naszym biednym krewnym, których najpierw wypędzono z domu, potem okradziono, na końcu ↦

↦ wymordowano. To przecież był straszliwy rabunek: Deutsche Bank, o którym z Bo planujemy nakręcić film, „legalnie" zlikwidował ich konta bankowe, przejął oszczędności. Tragicznym dopełnieniem było to, że i rodzina próbowała o nich zapomnieć po wojnie.

Transparent wywieszony na akademiku przewrócił Ci życie do góry nogami.

To właściwie był tylko plakacik. Byłam zaskoczona, gdy kilka lat temu zobaczyłam w swojej teczce w IPN-ie tę malutką kartkę i skarbonkę z napisem: „Datki na Czechów".

Wylądowałam najpierw w areszcie przy Siemiradzkiego w Krakowie, gdzie było strasznie zimno, a potem w więzieniu w Myślenicach – trochę lepiej, cele większe. I dostałam pracę: zbijanie skrzynek po warzywach, co dawało możliwość wyjścia z celi. W zwyczajnym życiu studenckim nie spotkałabym takich kobiet. Tam były złodziejki, jedna kobieta zamordowała swoje dziecko, sporo siedziało za drobne przestępstwa gospodarcze.

Co w tej odsiadce było najtrudniejsze?

Obserwowałam to wszystko jakby z boku i z zaciekawieniem. A z czasem okazało się też, że w tej samej celi siedziała młoda kobieta, z którą nawet się trochę zaprzyjaźniłam, dobrze się nam gadało. Po latach w IPN-ie odnalazłam sporządzane przez nią raporty. Profesjonalistka: donosy formułowała rzeczowo, bez emocji i inwektyw. Pisała o mnie „pani", a nie jak nasz lekarz studencki, też donosiciel: „tę kurwę to ja bym dawno aresztował".

Najtrudniejsza była dla mnie niepewność, nie miałam pojęcia, jak długo będę siedzieć. Najpierw, po miesiącu, wydawało mi się, że muszą mnie wypuścić, skoro już wiedzą, co chcą wiedzieć, przecież do wszystkiego się przyznałam. Po dwóch miesiącach zaczęłam wątpić. Po trzech, jeszcze przed procesem, myślałam, że coś tu zwyczajnie nie gra. W Myślenicach byłam jedyną więźniarką polityczną. Oprócz adwokata Mariana Anczyka, który mnie bronił, nikt nie zwrócił się do mnie z wyrazem solidarności czy chęcią pomocy.

Taka samotność w więzieniu musi być okropnym uczuciem.

Gdy wyszłam na wolność, wróciłam do Rudy. Nie miałam wyjścia: wywalono mnie z akademika, odebrano stypendium, zawieszono w prawach studenta. Musiałam być na utrzymaniu rodziców, a to powodowało konflikty – już się człowiek uniezależnił, a tu nagle trzeba wracać do rodziny. W Rudzie nie mogłam znaleźć pracy, nawet tam, gdzie nie wiedziano, że byłam karana. Mówienie, że w PRL-u było w bród roboty, to brednie.

I to zdecydowało o emigracji?

Nie. Zadecydowało spotkanie z ubekiem. Obrzydliwe: wiedzieli, że desperacko rozglądam się za pracą, więc zaproponowali mi „pracę" może nie do końca zgodną z moimi kwalifikacjami: chcieli mi płacić za informowanie, o czym rozmawiają koledzy. Odmówiłam uzasadniając decyzję tym, że idę do klasztoru. Ubek przejął się. Uwierzył.

A ja znalazłam męża i wyjechałam do Szwecji. Właściwie znalazł mi go Staffan, to był jego kolega, Björn Helander, stąd moje nazwisko. Nie mam nic przeciwko małżeństwu z rozsądku. Czasami to lepiej funkcjonuje niż małżeństwo z miłości.

Eh.

Z mężem byliśmy razem dziesięć lat i to był dobry czas. Przyjaźnimy się do teraz.

A Szwecja?

Zobaczyłam normalnie funkcjonujący, dobrze zorganizowany kraj, gdzie ludzie są wobec siebie uprzejmi, nie opieprzają cię w sklepach, nie musisz stać w kolejkach, możesz czytać w bibliotekach wszystko, co chcesz.

W człowieku istnieje sejsmograf normalności bez względu na to, czy jej wcześniej w życiu zaznał. W Szwecji normalność szybko stała się dla mnie oczywistością, poczułam się jak u siebie. To było też możliwe za sprawą ludzi, których spotkałam na początku pobytu.

W Szwecji była już moja siostra. Nie miałam żadnych materialnych oczekiwań, jedynie duchowe. No i nawiązałam świetny kontakt z teściową, która okazała mi dużo serca.

I żadnej tęsknoty?

Na początku miałam potrzebę odcięcia się. Przez pierwsze cztery, pięć lat niewiele czytałam o Polsce. Matka z babcią mnie odwiedzały i to mi wystarczało.

Szwecja dała Ci zawód. Zaczęłaś żyć z fotografowania.

Gdy jeszcze mieszkałam w Polsce, Staffan zainspirował mnie czarno-białymi zdjęciami Rudy Śląskiej. To były głównie portrety znajomych, sąsiadów, kobiet zamiatających ulice. Zachwyciłam się. Oczywiście nie miałam sprzętu, ale bardzo chciałam fotografować. Gdy przyjechałam do Szwecji, natychmiast kupiłam aparat, a w mieszkaniu zaimprowizowałam ciemnię. Zaczęłam uczyć się fachu, skończyłam studia fotograficzne w Göteborgu.

W 1976 r. przyjechałaś do Polski. Efektem był wydany w Szwecji album „Kobiety".

Chciałam zrobić książkę o polskiej codzienności. Podzieliłam ją na trzy rozdziały: miasto, miasteczko, wieś. Ale od dzieciństwa otaczały mnie kobiety: matka, ciotka, babcie, silne osobowości, to one w rodzinie były opoką. Okazało się, że temat kobiet bardziej mi pasował niż jakiś ogólny obraz Polski.

Jak Szwedki patrzyły wtedy na polskie kobiety?

Z nutą zazdrości. W Szwecji pokutowało przeświadczenie, szczególnie w grupach lewicujących, że kobieta w krajach tzw. socjalistycznych jest wyzwolona. Argument? – na przykład to, że w Polsce jest więcej lekarek niż w Szwecji. Poza tym w Szwecji w latach 70. był zakaz aborcji i sporo kobiet jeździło w tym celu do Polski.

Kobiety w mojej książce są dość świadome swojego losu. Wypytywałam je o wszystko: o relacje w rodzinie, o stosunki w pracy, o konieczność ciągłego kombinowania i jak ten fakt wpływa na ich kondycję. Ratowało je często poczucie humoru, ono się sprawdza w trudnych sytuacjach. Natomiast zaskoczeniem dla mnie był brak uświadomienia seksualnego, szczególnie na wsi. Kobiety nie miały pojęcia, jak się chronić przed ciążą – w Szwecji to się zmieniło już w latach 30.

W Szwecji na nowo odkryłaś Polskę.

Z dystansu widzi się jaśniej... Z czasem poczułam silne więzy emocjonalne i intelektualne, na przykład z Teatrem Ósmego

JOANNA HELANDER

Gaba z Matildą i Mats. Orrevik, 1984 r.

Dnia. Wcześniej wydawało mi się, że kastrujący system doszczętnie Polaków skorumpował i ogłupił. Okazało się, że nie do końca. U ludzi z Teatru Ósmego Dnia wierność własnej filozofii życiowej była silniejsza niż strach. Zachwycił mnie ich nonkonformizm i to, że widzieli swój kraj podobnie jak ja. Groteska w ich przedstawieniach pokrywała się z moim obrazem tej rzeczywistości. Później nakręciliśmy z Bo Perssonem film dokumentalny o losach tej wyjątkowej grupy.

Podobne odczucia miałam, gdy powstała Solidarność. Ogromne zaskoczenie: ruch z takimi ideałami pociągnął za sobą dziesięć milionów ludzi. Wtedy zauważyłam, że Polacy zajmują się czymś, co i dla mnie jest ważne, może ważniejsze niż to, na czym na co dzień skupiają się Szwedzi.

A fotografowanie polskich twórców? Ryszardowi Krynickiemu zrobiłaś fantastyczny portret z kotem.

Nie tylko portret – wiele lat poświęciliśmy z Bo na tłumaczenie jego wierszy na szwedzki, angażując w to świetnego poetę Görana Tunströma. Powstała książka „Planeta Fantasmagoria", w której znajdują się również moje fotografie. A co do kota – Wisława Szymborska na pytanie, kim chciałaby być, odpowiedziała kiedyś: kotem pani Krynickiej.

Szymborska na Twoim zdjęciu chowa się w kłębach dymu z papierosa.

Kilka lat trwało, zanim zgodziła się na tę sesję. W końcu pomógł Kornel Filipowicz, który ponoć powiedział: „Wiesz, ona zrobiła taką fajną książkę o kobietach w Polsce, zgódź się". Udało się, to był rok 1984. Samo fotografowanie już nie było problemem – Wisława Szymborska zachowywała się jak gwiazda filmowa, czyli bez zahamowań.

Szymborska czyta też swoje wiersze w Twoim i Bo filmie „Watching the Moon at Night", opowiadającym o terroryzmie i antysemityzmie.

Tytuł filmu zaczerpnęliśmy z jej wiersza. Z Czesławem Miłoszem też nie skończyło się na fotografowaniu – potem były kolejne spotkania i film „Walc z Miłoszem", w którym Ewa Wójciak z Teatru Ósmego Dnia prowadzi ciekawą rozmowę z poetą. Bardzo ten film lubię.

To jeszcze na koniec: Bo Persson?

Towarzyszy mi twórczo od blisko czterdziestu lat, co poszerzyło radykalnie moje horyzonty. Bez niego nie byłoby naszych filmów. To wyjątkowo niezależny umysł, od wczesnych lat 70. zaangażowany we wspieranie opozycji demokratycznej w Europie Środkowej. Taką ma naturę.

A Twoja natura?

Jestem pierwszym pokoleniem w rodzinie, które nie zaznało wojny i głodu. Doświadczyłam poniżenia i więzienia, ale mnie nie torturowano. Innymi słowy – nie zostałam wystawiona na ostateczną próbę. Więc nie do końca wiem, jaka ta moja natura jest! Nieprzewidywalna, nawet dla mnie.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Na linii

DARIUSZ KOSIŃSKI

Teatr dzieje się na żywo. Obecni ciałem i duchem aktorki i aktorzy działają wobec żywych, obecnych w tej samej przestrzeni widzów. I co teraz?

Pandemiczne zamknięcie teatrów to dla żyjących nimi ludzi poważne zagrożenie i realny problem. Ale także szansa na przemyślenie tego, co w normalnym trybie funkcjonowania, którego zostaliśmy pozbawieni, przyjmowane jest jako oczywiste. Na przykład tego, że teatr możliwy jest tylko „na żywo". W myśl znakomitego w swej paradoksalności hasła ukutego przez zespół TR Warszawa: „Zostań w domu – nie wychodź z teatru".

Niektóre teatry tworzą całe „wirtualne repertuary", prezentując swoje wybrane przedstawienia w sieci w rytmie niemal codziennym, niekiedy nawet ograniczając do nich dostęp na podobieństwo ograniczonego dostępu do sali teatralnej (Teatr im. S. Jaracza w Olsztynie). Inne do pokazów przedstawień dokładają różnorodne przedsięwzięcia, takie jak czytania dramatów, wywiady z twórcami czy wykłady (program „DramatOn" przygotował warszawski Teatr Dramatyczny). Jeszcze inne idą krok dalej, przygotowując specjalne sieciowe projekty artystyczne (np. warszawskie Studio i jego projekt „Kwaratanna") albo cykliczne programy czy wręcz seriale internetowe (np. krakowski Teatr im. Juliusza Słowackiego i jego serial „Zamknięci w teatrze"). Inicjatyw tych jest ogrom, a bodaj najlepszy sposób codziennego zdobywania informacji na ich temat to odwiedzanie strony e-teatr.pl, na której w wątku „Teatr w Sieci" gromadzone są wszelkie wiadomości o poszczególnych inicjatywach.

Teatr rejestrowany

To nie jest jednak „teatr online". Podstawową formę kontaktu z przedstawieniami stanowią wszak pokazy ich rejestracji. W większości przypadków są to wykonane na potrzeby dokumentacyjne zapisy spektakli niepokazywanych już na żywo (takie prezentuje np. Narodowy Stary Teatr), niekiedy tylko wciąż znajdujących się w repertuarze (np. TR Warszawa pokazywał w sieci takie swoje „hity" jak „Cząstki kobiety" czy „Inni ludzie"). Wiele teatrów korzysta po prostu z internetowych archiwów i baz danych, które mają w otwartym dostępie bogate zasoby rejestracji wideo i audio.

Dwie najważniejsze bazy to elektroniczna Encyklopedia Teatru Polskiego oraz Ninateka. Ta pierwsza, założona i prowadzona wciąż przez Dorotę Buchwald w ramach działalności Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego, oprócz stale poszerzanej listy haseł, tysięcy zdjęć i materiałów czy dostępnych za damo książek ma w swoich zbiorach liczne rejestracje, m.in. komplet świetnych przedstawień Teatru Polskiego w Bydgoszczy z okresu dyrekcji Pawła Wodzińskiego, a w czasie pandemii na swoim facebookowym profilu codziennie prezentuje kolejne elementy swych bogatych archiwów.

Pandemia przypomniała też istnienie kolekcji Ninateki. Rozwijana kiedyś planowo i dynamicznie, dziś stanowi raczej rezerwuar materiałów historycznych, bo po połączeniu w roku 2017 dawnego Narodowego Instytutu Audiowizualnego z Filmoteką Narodową w hybrydę o skrócie FINA zaprzestano profesjonalnych rejestracji ważnych przedstawień teatralnych. Dziś dzięki dawnym działaniom NInA możemy oglądać w domu takie legendarne spektakle jak „(A)pollonia" Krzysztofa Warlikowskiego czy „H." Jana Klaty, a do Ninateki odsyła swych widzów sam Teatr Narodowy.

Co ciekawe, nawet kiedy teatry prezentują zbiory pochodzące z tych archiwów, używają terminu transmisja lub retransmisja. Ale przecież transmisji czy retransmisji teatr pandemicznie sieciowy nie prezentuje, bo oznaczałoby to przekazywanie przedstawienia odbywającego się na żywo. Teatry od dawna nie transmitują swoich przedstawień, bo jest to przedsięwzięcie skomplikowane i bardzo drogie. Łatwiej i taniej sięgnąć po rejestracje, wytwarzając zarazem – przez zmianę nomenklatury, wyznaczanie określonej godziny „premiery", czasowe ograniczenie udostępniania czy dodawanie atrakcji specjalnych (rzeczywiście transmitowane spotkanie z twórcami) – wrażenie, że coś tu dzieje się na żywo.

Mit „nażywości"

Tak wysoko ceniona „nażywość" wcale nie jest odwieczną cechą definiującą teatr, a w każdym razie – nie była za taką uważana. W epoce sprzed powstania mediów „nażywość" była tak powszechna, że opisywanie przy jej pomocy specyfiki czegokolwiek nie miało sensu. W XIX wieku, gdy teatr był niepodważalnym władcą krainy widowisk, definiowano go przede wszystkim przez odwołanie do iluzji, a więc doświadczenia niecodzienności, właśnie „wyjścia z domu", przeniesienia w inny świat, co stanowi jedną z podstawowych ludzkich potrzeb. Dopiero powstanie filmu, a potem telewizji, zmusiło teatr do zasadniczej weryfikacji sposobu określania swojej istoty.

Są tacy, którzy twierdzą, że wszystkie reformy i rewolucje teatralne XX wieku, usprawiedliwiane zazwyczaj teoriami bardzo wyrafinowanymi i wzniosłymi, w istocie stanowiły dość paniczną próbę uzasadnienia swego istnienia w sytuacji, gdy funkcja podstawowa – wyjścia z rutyny codzienności i przeżycia siebie w odmienny sposób – została przejęta przez inne media. Po co nam teatr, skoro jego iluzjotwórcze możliwości okazują się tak ograniczone? Dobrych odpowiedzi jest jednak wiele, a ich wielość wytwarza współczesną różnorodność odmian tej sztuki. Wspólne jest im przekonanie, że tym, co przede wszystkim odróżnia teatr od innych mediów „ucieleśnionych opowieści", jest jego bezpośredniość.

Teatr dzieje się na żywo – tu i teraz. Żywi, obecni ciałem i duchem aktorki i aktorzy działają wobec żywych, obecnych w tym samym czasie i w tej samej przestrzeni widzów. Oznacza to, że w odróżnieniu od filmu wydarzenie teatralne jest niepowtarzalne, a w odróżnieniu od telewizji i internetu, które mogą wszak przekazywać coś niepowtarzalnego – posiada potencjalność wyjścia poza relacje wyłącznie wzrokowe i słuchowe.

Najważniejsze jednak jest to, że przedstawienie teatralne działa, mało – po-

MARCIN OLIVA SOTO / TR WARSZAWA

„Inni ludzie" Doroty Masłowskiej w reżyserii Grzegorza Jarzyny, TR Warszawa

wstaje, wytwarza się w wyniku serii wzajemnych wymian energetycznych między dwiema grupami bezpośrednio spotykających się ludzi. A choć „energia" brzmi nieco magicznie (tak zresztą jest nazywana zazwyczaj – magią teatru), to jest czymś realnym i konkretnym, co każdy widz teatralny doskonale zna, a każdy teatroman uwielbia.

Nawet tam, gdzie panują konwencje zasadniczo wykluczające nieprzewidywalność przebiegu wypadków, istnieje w teatrze poczucie bycia wobec czegoś żywego, czego siła nie polega na tym, że aktor zaimprowizuje coś po raz pierwszy i ostatni, a aktorka sprowokuje widza do interakcji o nieprzewidzianym przebiegu. Niezależnie od sensu i funkcji takich zabiegów (a mają one i sens, i ważne funkcje), doświadczenie teatru zasadza się na czymś subtelniejszym, co w uczonym żargonie nazwano „pętlą sprzężenia zwrotnego", a co jest niezwykle zintensyfikowanym byciem wobec siebie żywych osób.

Pobrzmiewająca w tym wyznaniu stęsknionego widza mitologia była wielokrotnie atakowana. Swego czasu wśród badaczy przedstawień dużo hałasu narobiła książka „Liveness. Performance in a Mediatized Culture" Philipa Auslandera, który negował założycielskie legendy o wyjątkowości i politycznej skuteczności performansu „na żywo", pokazując precyzyjnie, jak owa „nażywość" jest z jednej strony uwarunkowana przez relację do nowych mediów, a z drugiej – jak te właśnie media są wykorzystywane do jej wytwarzania. Auslander zasadnie pytał, skąd poczucie, że uczestniczymy *live* w wielkim festiwalu muzyki popularnej, jeśli słyszymy kolejną gwiazdę dzięki ogromnym głośnikom, a oglądamy ją (i to nie całkiem wyraźnie) na wielkich telebimach. I co jest takiego szczególnego w „żywym" doświadczeniu kibica podziwiającego na ekranie wiszącym nad trybunami akcję, którą dokładnie w tym samym czasie (ale o niebo lepiej) ogląda na telewizorze grupa fanów zebrana w pubie?

Auslander dowodził, że współczesny świat mediów nauczył się wytwarzać efekt „nażywości", kwestionując oczywistość poczucia wyższości tych kulturowych form, które – jak teatr – opierały na nim własne przekonanie o wyjątkowości. A trzeba pamiętać, że jego książka ukazała się po raz pierwszy w roku 1999, a więc jeszcze przed epoką smartfonów i mediów społecznościowych oraz związanych z ich rozwojem technologii, zapewniających taki stopień „nażywości", o jakim w latach 90. mało komu się śniło.

Gdy dziś, zamknięci w pandemicznych celach, spotykamy się „w czasie realnym" z naszymi bliskimi, wzajemnie wytwarzając niepowtarzalne (choć rejestrowalne) przedstawienia międzyludzkiego teatru w technologicznie zapośredniczonej, ale przecież zachowującej swoją dynamikę „pętli sprzężeń zwrotnych", wydaje się, że nie sposób bronić sztywnej granicy między tym, co na żywo, bo w bezpośrednim kontakcie, a tym, co jest zmediatyzowane.

Sformułowany w latach 60. dogmat o teatrze jako sztuce żywej relacji międzyludzkiej przestał być takim pewnikiem. Oczywiście nadal nie możemy przez sieć dotknąć się, przytulić czy choćby poczuć swojego zapachu. Ale też nie oszukujmy się, że możemy to wszystko rzeczywiście zrobić w przypadku większości ↦

↦ przedstawień teatralnych. Są wprawdzie takie, gdzie aktorzy wezmą nas w ramiona, i takie, gdzie (najczęściej ku niezadowoleniu widzów) da się poczuć zapach ich spoconych ciał. Ale przecież nie takie doznania stanowią najważniejszą część doświadczenia teatralnego. Może więc rzeczywiście jesteśmy we władzy wytworzonego kulturowo mitu i trzymamy się kurczowo „nażywości" i niepowtarzalności teatru raczej z przyzwyczajenia, niż podążając za istotą rzeczy?

Czemu moje poranne wzruszenie przed ekranem ma być mniej warte od przysypiania widza na sali teatralnej?

Widzieć jaśniej

Pandemiczna sytuacja, w której wszyscy się znaleźliśmy, sprawiła, że te pytania przestały być teoretyczne. To znaczy: nawet jeśli ich nie formułujemy i nie stawiamy, w praktyce zaczynamy na nie odpowiadać, oglądając „teatr online", choć wedle purystów nie jest to ani teatr, ani żadne „online". Choć odbywam od lat długie i czasem skomplikowane podróże, by oglądać przedstawienia na żywo, byłbym jednak ostrożny w uznawaniu braku żywej bezpośredniości za argument odbierający wartość i sens oglądaniu rejestracji przedstawień jako przeżyć teatralnych.

Jako człowiek zajmujący się zawodowo badaniem przedstawień już wcześniej miałem sporo doświadczeń z rejestracjami i to właśnie dzięki nim poznałem kilka przedstawień, które uważam za szczególnie dla mnie ważne (jak „Carmina Burana" Włodzimierza Staniewskiego i Teatru Gardzienice czy „Wszystko zmyślone" Anny Karasińskiej i Starego Teatru). Czy moje żywe i silne doświadczenie związane z oglądaniem ich na ekranie pozbawione jest wszystkiego tego, co wiąże się z mityczną „nażywością"?

Zapewne gdybym siedział na sali, moje doznania byłyby inne, ale czy na pewno słabsze? I czemu niby gorsze? Czemu moje poranne wzruszenie przed ekranem ma być mniej warte od przysypiania widza, który po długim dniu poszedł na kolejną zaliczaną premierę? Tylko dlatego, że przysypiał tego samego wieczora w tym samym miejscu, kiedy w oczach aktorki zalśniły łzy, których on nie zauważył, a ja widzę wyraźnie dzięki zbliżeniu kamery?

Oczywiście wyostrzam, ale pandemiczne teatrowanie wymaga postawienia takich pytań serio i bezpośrednio, bo z jednej strony pozwala to uniknąć obniżania wartości tego, co się na ekranie ogląda, a z drugiej – chroni przed zmarnowaniem bardzo cennej, a naprawdę unikatowej sytuacji, jaką nam pandemia zafundowała: zmierzenia się z pytaniem, czy siła teatru, jaki w naszej kulturze wytworzyliśmy, nie wynika jednak z czegoś innego niż magia jego „nażywości" i „efemeryczności".

Powtarzam: nie mam zamiaru negować ich wartości i znaczenia, ale czy na pewno nie są one tylko wzmocnieniem dla czegoś zupełnie innego, co łączy się raczej ze specjalnym trybem doświadczania, poznawania i myślenia?

Nie, nie mam też na celu odwrócenia hierarchii świata widowisk, udowodnienia, że przedstawienie teatralne jest „lepsze" od innych. Chcę się raczej upomnieć o coś, co mit „nażywości" zasłania, kładąc akcent na nieweryfikowalne przeżycia indywidualne i zbiorowe, na „świeckie sacrum" i „magię", a więc na aspekty tradycyjnie przeciwstawiane myśleniu. Gdyby chcieć w tych kategoriach zapytać o relację między teatrem a innymi widowiskami, bez trudu można by dowieść, że przegrywa on zdecydowanie z jednej strony ze sportem czy masowymi widowiskami wspólnotowymi takimi jak koncerty, a z drugiej – nie ma szans w konfrontacji z liturgicznym doświadczeniem żywej obecności sakralnej.

Oparty na „nażywości" teatr pararytualny, który w XX wieku zwłaszcza w Polsce wydawał się Świętym Graalem, poniósł klęskę (z czego zresztą jako pierwszy zdał sobie sprawę jego polski guru) właśnie dlatego, że teatralne „na żywo" jest raczej wehikułem niż sednem i zasadniczym celem. Wymuszone ograniczenie „nażywości" do jej złudzenia wywoływanego przy pomocy zabiegów medialnych nie przekreśla właściwego teatrowi trybu doświadczenia i myślenia wytwarzanego poprzez skomponowane w określony sposób działania i struktury czasowo-przestrzenne.

Przekazywany przez sieć teatr pozostaje *online* nie dlatego, że dzieje się na żywo, ale dlatego, że dzięki niemu nie dajemy się wyłączyć z aktywnego współtworzenia naszego życia. Zamknięci w domach, jesteśmy na pierwszej linii walki o jego niedoraźny sens, będący czymś więcej niż zachowanie zdrowia.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

„Wszystko zmyślone" w reżyserii Anny Karasińskiej, Stary Teatr

MAGDA HUECKEL / STARY TEATR

DINODIA PHOTOS / ALAMY / BEW

Sala kinowa w Mumbaju, 2012 r.

Gdyby kina nie było

JAKUB MAJMUREK

Czy przetrwa obecny kryzys? Czas przymusowego odcięcia może nam przypomnieć, jakie ta przestrzeń ma dla nas znaczenie.

W filmie Woody'ego Allena „Hannah i jej siostry" (1986) grany przez samego reżysera Mickey przeżywa moment głębokiego egzystencjalnego kryzysu. Próbuje popełnić samobójstwo. Przykłada sobie strzelbę do czoła, poci się jednak tak bardzo, że lufa ześlizguje się i kula trafia w lustro. Zdenerwowany, wyrusza na ulice Nowego Jorku. Wchodzi do przypadkowo mijanego kina i trafia na seans „Kaczej zupy" (1933) braci Marx. Patrząc na absurdalne wygłupy komicznego rodzeństwa przezwycięża kryzys. Dochodzi do wniosku, że jakiekolwiek byłyby nasze lęki, życie jest mimo wszystko wspaniałą przygodą, której warto być częścią.

Choć nie każdy z nas ma w zasięgu spaceru salę kinową, gdzie grają na co dzień filmy braci Marx, wielu rozpozna się w tej scenie. Kino stało się w ostatnich stu latach z kawałkiem miejscem, gdzie zawsze można było uciec przed tym, co nas przytłacza, i przez mniej więcej sto minut zanurzyć się w zupełnie innej, filmowej rzeczywistości.

Tygodnie bez dużego ekranu

Kino jako przestrzeń pocieszenia, miejsce, gdzie wchodząc jednocześnie „wychodzimy" na chwilę ze świata codziennych trosk, zostało nam odebrane przez pandemię. Prawie na całym świecie kina zamknięto. W Polsce nie dzieje się to po raz pierwszy – kina zamknął na kilka tygodni stan wojenny, następnie żałoba narodowa po śmierci Jana Pawła II i ta po katastrofie w Smoleńsku. Jednak w Stanach Zjednoczonych taka sytuacja jest bezprecedensowa.

Kin nie zamknęła tam ani epidemia hiszpanki w 1918 r., ani II wojna światowa, ani ataki z 11 września 2001 r. „Przez ponad sto lat kino było tak oczywistą częścią amerykańskiej rzeczywistości jak śmierć i podatki" – pisał niedawno branżowy magazyn „IndieWire". Amerykanie zawsze mieli miejsce, gdzie w sytuacji, gdy wszystko wydaje się walić, można usiąść w ciemności i przeżyć chwile zachwytu, wzruszenia, grozy i radości.

Zamknięcie kin w Polsce ma potrwać co najmniej do 19 kwietnia – choć można być już pewnym, że dłużej, słyszy się już o maju, jeśli nie czerwcu. Kiniarze martwią się, że nawet jeśli kina się otworzą, ludzie obawiający się zakażenia po prostu do nich nie wrócą. W Chinach nie wrócili, a władza po krótkim czasie ponownie je zamknęła.

Dzieje się to w czasie i tak trudnym dla branży. W ostatnich latach kina zmagały się z ekspansją nowych form dystrybucji produkcji audiowizualnych, przede wszystkim platform VOD. Jeszcze przed wybuchem epidemii specjaliści badający rynek filmowy kreślili wizje przyszłości, w których kina tracą znaczenie na rzecz internetu i streamingu. Według ich prognoz w kinach miały pozostać przede ↦

↦ wszystkim wielkie, drogie produkcje, niezdolne zwrócić kosztów w inny sposób, niż ściągając ze światowego rynku pieniądze za bilety. Mniejsze produkcje trafiałyby na VOD albo od razu, albo po bardzo krótkim wyświetlaniu w kinach. Dystrybucja kinowa służyłaby przede wszystkim jako źródło dostępu do prestiżowych nagród i festiwali oraz narzędzie promocji stojącej za filmem platformy internetowej.

Wszystko to skłania do pytania: czy faktycznie potrzebujemy kina, by obcować z cudami sztuki filmowej? Czy kino przetrwa obecny kryzys?

Może być i tak, że czas, gdy przymusowo odcięto nas od kin, pozwoli nam przypomnieć sobie, jakie ta specjalna przestrzeń ma dla nas znaczenie – niezależnie od tego, do jak wielu filmów mamy wygodny dostęp w domach.

Prehistorie kina domowego

Pytanie o to, czy film musi koniecznie łączyć się z przestrzenią kina, pojawia się od samego początku istnienia sztuki filmowej. Amerykański historyk filmu Ben Singer doliczył się ponad dwudziestu różnych systemów kina domowego w samym tylko pierwszym ćwierćwieczu istnienia filmu (1896–1923) i podobnej ich liczby do lat 50., gdy zaczęła się ekspansja telewizji.

Już w 1896 r. brytyjscy producenci, zainspirowani kinematografem braci Lumière, wypuścili na rynek motograph – kamerę i projektor, który umożliwiał amatorom kręcenie i odtwarzanie w domowej przestrzeni krótkich filmów. Za nimi szli kolejni producenci domowych projektorów, głównie z Norymbergi. Pierwsze domowe projektory pozwalały na odtwarzanie filmów trwających góra kilkadziesiąt sekund. Prasa branżowa traktowała je często z lekceważeniem jako niepoważne „zabawki". Pionierzy kina od początku jednak myśleli o tym, jak wprowadzić film do każdego domu. Siegmund Lubin już w 1908 r. snuł wizję bliskiej przyszłości, gdy projektor filmowy będzie częścią każdego „nowoczesnego gospodarstwa domowego", które obok codziennej gazety będzie dostawać do domu rolkę kroniki filmowej, przedstawiającej najnowsze wydarzenia.

Jednak wczesne próby wprowadzenia filmu do domu okazały się klęską. Barierą była przede wszystkim cena: biednych, masowo odwiedzających tanie kina, nie było stać na zakup drogiego projektora i kosztowne wypożyczanie filmów. Klasa średnia ciągle zaś patrzyła na kino jak na podejrzaną rozrywkę klas niższych. Projektor nie był czymś, co wypadało postawić w szanującym się mieszczańskim salonie.

Streaming, w przeciwieństwie do telewizji, nie jest medium rodzinnym. **Filmy na ekranie naszego laptopa częściej oglądamy sami i w skupieniu.**

Pałace demokracji

Jednocześnie na całym świecie rosła liczba kin. Już w latach 20. zeszłego wieku trudno wyobrazić sobie nowoczesne miasto bez sal kinowych. Przemysł filmowy przejmuje wzorce z XIX-wiecznego teatru: z uroczystymi premierami, recenzjami, śledzonymi przez prasę frekwencyjnymi wynikami poszczególnych tytułów, systemem gwiazd.

Gdyby w swoich początkach film na dobre zakorzenił się jako medium przede wszystkim domowe, pozostałby, przynajmniej do czasu upowszechnienia telewizji, rozrywką amatorów z klasy średniej i narzędziem pracy awangardowych artystów. Rodzący się przemysł filmowy potrzebował jednak kina jako instytucji umożliwiającej ściąganie z rynku pieniędzy pokrywających rosnące budżety i zapewniających producentom zysk.

Bez ekspansji kin zupełnie inaczej wyglądałby także pejzaż nowoczesnego miasta. Kino staje się jedną z podstawowych przestrzeni, gdzie klasa pracująca spotyka się i wypoczywa. Ekspansja kin jest znakiem umasowienia i kulturowej demokratyzacji XX-wiecznych metropolii. Choć od początku lat 20., a nawet wcześniej, kiniarze próbują przyciągnąć „lepszą klasowo" publiczność, wznosząc monumentalne „pałace kinowe". Szybko stają się one miejscami, gdzie każdy – niezależnie od statusu ekonomicznego – może za stosunkowo niewielką cenę biletu poczuć się przez chwilę jak milioner czy arystokrata.

Ten demokratyczny impuls, jaki niesie ekspansja kina, szybko powszednieje. Do kin wkracza też wykształcona klasa średnia – chodzenie do kina staje się częścią jej praktyk kulturowych, zwłaszcza od momentu umasowienia telewizji. Kino zyskuje jednak szczególne znaczenie dla innej grupy: młodzieży. Jest jednym z miejsc, gdzie młodzi ludzie spotykają się bez nadzoru rodziny i szkoły. Staje się dla nich alternatywną szkołą życia i kultury.

François Truffaut, jeden z twórców francuskiej Nowej Fali, mawiał, że gdyby nie kino, skończyłby w więzieniu. Dla niego, jak dla innych twórców tego nurtu, to Filmoteka Francuska, gdzie przesiadywali całymi dniami, była prawdziwym uniwersytetem i szkołą filmową. Jak wielu młodych ludzi dorastających we Francji przełomu lat 40. i 50, nigdy nie rozpocząłby tej „nauki", gdyby kino nie dawało mu przestrzennej ucieczki od nieszczęśliwego, drobnomieszczańskiego domu, w jakim dorastał.

Razem i osobno

Powojenni francuscy teoretycy filmu fascynowali się specyfiką przestrzeni sali kinowej. Sytuację widza porównywano do sytuacji więźniów w platońskiej jaskini albo śniących. Roland Barthes przeciwstawiał kinowy sposób odbioru obrazu filmowego temu telewizyjnemu. Przestrzeń kina jest zanonimizowana: siedzimy oddzieleni od siebie ciemnością, co zapewnia intymną, niemalże erotyczną relację z obrazem. Telewizja jest tymczasem medium rodzinnym, oglądamy ją w przestrzeni domowej, w towarzystwie, często wręcz pod nadzorem rodziny. Nawet gdy jesteśmy sami, zbyt wiele rzeczy nas rozprasza, telewizyjny obraz traktujemy jako część tła.

Jednocześnie ten silnie indywidualistyczny wymiar kinowego doświadczenia łączył się zawsze ze wspólnotowym. Jean Cocteau stwierdził kiedyś, że kino to

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

urządzenie pozwalające wielu ludziom śnić ten sam sen jednocześnie – i od początku większość widzów nie chciała śnić go w zupełnej samotności. Przed kinematografem braci Lumière był kinetoskop Edisona. Maszyna nie projektowała obrazu filmowego na ekran – film wyświetlano w metalowej skrzynce, widz zaglądał do niej przez specjalne okulary. Z urządzenia korzystać mogła jedna osoba naraz. Patent nie przyjął się biznesowo – samotne oglądanie nie wydawało się atrakcyjne. Kino w takiej formie, jaką stworzyło umieszczenie projektora i ekranu w planie XIX-wiecznego teatru, okazało się instytucją niezwykle wspólnototwórczą.

W kinofilii lat 60., z której wyrastała francuska Nowa Fala, równie ważna jak „kino" była „filia", czyli przyjaźń: wspólne rozmawianie o filmach, spieranie się o nie w słowie i piśmie, walki o artystyczne hierarchie i dzielenie się filmowymi odkryciami. Tej kinofilskiej wspólnotowości – ciągle żywej na nastawionych na kino artystyczne festiwalach, takich jak nasze Nowe Horyzonty – towarzyszą inne. Np. ta typowa dla odbioru fanowskiego. Wszyscy kojarzymy obrazki z dorosłymi fanami „Gwiezdnych wojen", którzy w kostiumach z sagi koczują pod kinem, czekając na rozpoczęcie o północy premiery jej najnowszej odsłony. Albo kultowego: gdy na sali gromadzi się widownia znająca film na pamięć, mówiąca cytatami z niego, ceniąca go mimo, a może właśnie dlatego, że większość widowni i krytyki nie podziela ich zachwytu. Gdyby film od początku stał się medium domowym, nigdy nie wyzwoliłby takiego potencjału obudowujących go wspólnotowych praktyk.

Jaskinia filmowych snów

Być może to właśnie paradoks kina jako przestrzeni, gdzie można jednocześnie być naprawdę razem i naprawdę samemu, sprawił, że przetrwało ono ekspansję kolejnych technologii przynoszących obraz filmowy do domów: telewizji, VHS, DVD. Także ze starcia ze streamingiem nie wyszło pokonane.

Zarazem w dwóch ostatnich dekadach nie sposób nie zauważyć osłabienia kina jako podstawowej, domyślnej przestrzeni, w której obcujemy z kulturą audiowizualną. Rewolucja serialowa z przełomu wieków odebrała kinu oczywistą przez całą drugą połowę XX wieku kulturową przewagę nad telewizją. Telewizja i jej produkcje zyskały po raz pierwszy prawo pełnoprawnego obywatelstwa w poważnej kulturze, porównywalnego z tym, jakim cieszą się ważne filmy kinowe.

Technologie umożliwiły stworzenie w domu coraz doskonalszych warunków projekcji. Rozwój platform VOD otworzył szeroko biblioteki audiowizualne. Internetowe media społecznościowe tworzą nowe przestrzenie okołofilmowej wspólnotowości. Być może do filmowej wspólnoty wcale nie potrzebujemy fizycznej bliskości. *Streaming*, w przeciwieństwie do telewizji, nie jest medium rodzinnym, towarzyszącym w tle domowym czynnościom. Badania pokazują, że treści z platformy VOD na ekranie naszego laptopa częściej oglądamy sami i w skupieniu.

Mimo wszystko ludzie nie przestają chodzić do kina. W czasie pandemii organizują zbiórki, by pomóc przetrwać ich ulubionym kinom. Możemy kupić bilety uprawniające do udziału w seansie, gdy *lockdown* się skończy. Popularność zyskiwać zaczynają takie formaty jak wirtualna sala kinowa. Kupujemy bilet do konkretnego, nieczynnego kina, uprawniający nas do obejrzenia na platformie VOD filmu, który chcielibyśmy w tym kinie zobaczyć. Czasami tylko o określonej godzinie – tak jakbyśmy uczestniczyli w rzeczywistym seansie. Kino, dystrybutor i platforma dzielą się zyskami.

Być może właśnie w tym oddzieleniu kina od przestrzeni domowej tkwi jego podstawowa atrakcyjność. W dokumencie „Jaskinia zapomnianych snów" (2010) Werner Herzog odwiedza jaskinię Chauvet – znajdują się w niej liczące ponad 30 tys. lat malowidła, jedne z najstarszych wykonanych ludzką ręką. Herzog podkreśla, że w jaskiniach według wszelkiej wiedzy nikt nie mieszkał – nasi przodkowie zapuszczali się w ich korytarze, by na ścianach malować i być może oglądać obrazy.

Nie wiemy, czym była dla nich jaskinia Chauvet. Miejscem kultu? A może jakimś odległym protoplastą kina – miejscem, gdzie wspólnie oglądamy opowiadane przy pomocy obrazów historie? Gdzie wspólnota projektuje i przeżywa fundamentalne dla siebie sny?

© JAKUB MAJMUREK

WARTO ZOBACZYĆ W TV

1. Halka

Opera, reż. Mariusz Treliński, Polska/Austria 2019, Vod.tvp.pl

Brawurowa inscenizacja dzieła Stanisława Moniuszki w Theater an der Wien przenosi nas do hotelu Kasprowy czasów PRL-u, by przywołać upiory rodem bardziej z horroru niż z tragicznej historii miłosnej. A przy okazji opowiedzieć o świecie opartym na wyzysku i poniżeniu. Występują m.in. Piotr Beczała jako Jontek i Corinne Winters w roli tytułowej.

2. Tommaso

Dramat, reż. Abel Ferrara, Włochy i inne 2019, Cineman, Player, Toya

Mało którego twórcę stać na taką wiwisekcję własnej osoby. Autor „Złego porucznika" z pomocą Willema Dafoe, ale także swojej partnerki i córeczki, tworzy w swym rzymskim mieszkaniu filmowy portret starzejącego się artysty i narcystycznego mężczyzny, który pragnie sprawować kontrolę nad światem.

3. 1917

Wojenny, reż. Sam Mendes, USA/Wielka Brytania 2019, Cineman, Player

W warunkach domowych będzie to zupełnie inny film. Warto jednak sprawdzić, czy oparta na faktach epicka historia z okopów I wojny światowej oferuje nam coś więcej niż operatorskie tour de force Rogera Deakinsa, niż całkowite zanurzenie się w wirtualnym świecie czy naturalistyczną wizję życia i śmierci.

4. Prawda

Dramat, reż. Hirokazu Koreeda, Francja/ /Japonia 2019, Player, nc+ GO, Vod.pl, Ipla, Cyfrowy Polsat, UPC, Multimedia Polska, Vectra, Toya, Netia, Inea, Chili

Po nagradzanych „Złodziejaszkach" japoński reżyser nakręcił swój pierwszy film w Europie. Fabuła, traktująca o skomplikowanych relacjach matki i córki, które spotykają się po latach, wydaje się cokolwiek pretekstowa, bo tak naprawdę chodzi o zupełnie inne spotkanie, dwóch wielkich francuskich aktorek: Catherine Deneuve i Juliette Binoche.

Zerwane kagańce

ANITA PIOTROWSKA

Światy w „Unorthodox" i „Kalifacie" stanowią radykalną odpowiedź rzuconą zachodniej nowoczesności. Ale oba seriale łączy nade wszystko wiara w siłę kobiet.

NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z serialu „Kalifat"

Wolność czy bezpieczeństwo? – jak bardzo złudna może być ta alternatywa i jak wiele nadużyć generuje, opowiadają dwa nowe miniseriale Netfliksa. W obu bohaterkami są młode kobiety podporządkowane opresyjnej religijności. W obu też kobiety, wraz ze swymi doświadczeniami i przeżyciami, stają się zakładniczkami sensacyjnej, trzymającej za gardło fabuły.

Własny głos

Esty, bohaterka czteroczęściowego serialu „Unorthodox", dotychczas nie miała wyboru. Urodziła się w radykalnej żydowskiej wspólnocie z nowojorskiego Williamsburga, mającej więcej wspólnego ze środkowoeuropejskim sztetlem, skąd wywodzi się chasydzka dynastia Satmar, niż ze współczesną metropolią. Jedyną łączniczką Esty z innym, świeckim światem jest jej nauczycielka muzyki.

To ona pomoże zahukanej, cierpiącej w zaaranżowanym małżeństwie dziewiętnastolatce uciec do Berlina. Tam właśnie mieszka od lat matka Esty, również uciekinierka. Tam także znalazła ongiś schronienie Deborah Feldman, autorka książki „Unorthodox. Jak porzuciłam świat ortodoksyjnych Żydów", na której luźno oparto scenariusz filmu.

Niemiecka reżyserka Maria Schrader buduje swą opowieść na opozycji między zamkniętym światem religijnej mikrospołeczności, mówiącym w jidysz i jakoś oswojonym, a tym berlińskim, ultranowoczesnym, kuszącym możliwościami, choć równocześnie obcym. W jednej ze scen – niemal mistycznej, kręconej o zachodzie słońca – bohaterka trafia wraz z nowo poznanymi hipsterskimi przyjaciółmi nad jezioro Wannsee. Kiedy wreszcie odważy się popływać, ściąga z ogolonej głowy tradycyjną perukę, symbol opresji. Ale zanurzenie się w wodzie nie jest aktem zerwania. To rytualne oczyszczenie okazuje się gestem emancypacji, ażeby wreszcie być tym, kim Esty czuje się naprawdę – wraz ze swą chasydzką tożsamością.

Od momentu, gdy za ciężarną bohaterką rusza z Williamsburga transatlantycki pościg złożony z jej nieudacznego męża i jego marnotrawnego kuzyna, serial wpada w koleiny sprawnego, acz nader umownego dreszczowca. Po drodze jednak dzieją się rzeczy arcyciekawe. Przede wszystkim poznajemy w retrospekcjach okoliczności ucieczki Esty oraz to, przed czym uciekła.

Ożywają przed kamerą chasydzkie obyczaje i barwne rytuały jidyszkajtu, odsłania się też działanie surowego systemu, w którym kobieta wraz ze swą intymnością i cielesnością całkowicie należy do rodziny. Na straży tego systemu stoją także inne kobiety, głównie starsze, a jego ofiarami padają również mężczyźni, czego przykładem Yanky, wspomniany mąż głównej bohaterki, „wykastrowany" przez własną matkę i wymagania, jakie stawia przed nim wspólnota.

Lecz kiedy Esty podczas berlińskiej poniewierki próbuje dostać się do szkoły muzycznej i powoli zaczyna uczyć się życia, w tym obsługi komputera, pierwszym zdaniem, jakie wpisze w wyszukiwarkę, będzie „czy Bóg istnieje?". I choć spłynie lawina najróżniejszych odpowiedzi, bohaterka pozostaje wierna własnej. W wielokulturowym Berlinie, mocno zresztą wyidealizowanym na ekranie, ortodoksyjnej Żydówce trudno bowiem się odnaleźć. To przecież miasto, gdzie „wszystko" się zaczęło, gdzie Wannsee ciągle może się kojarzyć z konferencją, podczas której podjęto decyzję o „ostatecznym rozwiązaniu". A Esty reprezentuje społeczność, która od kilku dekad stara się „nadrobić" utracone w wyniku Holokaustu sześć milionów.

Stąd napięcie, jakie rodzi się między nią a Yael, poznaną w muzycznym środowisku dziewczyną z Izraela – jedną z tych młodych świeckich Żydówek, dla których Berlin stał się odczarowaną z przeszłości mekką. Licytowanie się, która z nich, Yael czy Esty, jest bardziej żydowska, to odprysk większego kulturowego sporu, na który nakłada się jeszcze inne poczucie wyższości – studentki konserwatorium wobec aspirującej amatorki.

„Unorthodox" to rzecz o odzyskiwaniu przez kobietę podmiotowości i własnego głosu, również w znaczeniu dosłownym. I o tym, że tożsamość tworzy nie tylko to, skąd się jest, ale i świadomy wybór tego, do czego się zmierza. Podobnie jak serial „Shtisel" czy filmy „Wypełnić pustkę" (2012) Ramy Burshtein i „Menashe" (2017) Joshui Z. Weinsteina, nie demonizuje ortodoksyjnej społeczności, pokazuje natomiast, że nie każdy i nie

NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z serialu „Unorthodox”

każda mieści się w jej ramach, a opieka i kontrola zbyt łatwo stają się synonimami. Podobnie jak wspólnotowość i lęk przed światem.

By powiedzieć tak wiele, twórcy zmuszeni byli pójść na skróty. Widać to zwłaszcza w porwanym wątku bardzo „niekoszernej” matki Esty oraz w licznych nieprawdopodobieństwach związanych z berlińskimi losami bohaterki. Lecz wszystko, włącznie z gatunkową formułą, pracuje tu na finałowe *katharsis*, czyli wyrwanie się z klaustrofobicznego świata, a jednocześnie pozostanie sobą w najgłębszym sensie. Uwiarygodnia tę przemianę znana ze „Shtisel” Shira Haas, młoda wielkooka aktorka z Izraela. Czy w przyciężkiej peruce i „babcinych” strojach, czy w dżinsach i z obciętymi na zapałkę włosami, ma w sobie dziecięcą kruchość i zarazem determinację, stając się lokomotywą serialu.

Szwedki zakładają hidżaby

Różne odcienie kobiecej determinacji i różne wymiary klaustrofobii pokazuje ośmioodcinkowy „Kalifat” Gorana Kapetanovicia, szwedzkiego reżysera pochodzącego z Sarajewa. Jego bohaterki, w przeciwieństwie do nowojorskiej chasydki, stają się ofiarami religijnego fundamentalizmu niejako na własne życzenie.

Pervin opuściła kiedyś rodzinną Szwecję, by zostać żoną bojownika dżihadu z syryjskiej Rakki. Poznajemy ją w momencie, kiedy mając kilkumiesięczne dziecko próbuje wyrwać się z miasta opanowanego przez Daesz. Jej przerzut ma zorganizować szwedzki wywiad, ale ceną jest dostarczanie informacji o przygotowanych przez islamistów zamachach w Sztokholmie. Za pomocą nielegalnie zdobytego telefonu Pervin pozostaje w kontakcie z agentką o imieniu Fatima, która prowadzi ze swą informatorką bardzo ryzykowną grę. Bohaterka jest więc podwójną zakładniczką – swojego męża i ISIS oraz sztokholmskich służb bezpieczeństwa, choć w końcu podejmuje heroiczną próbę wyjścia z roli ofiary.

Równolegle toczą się inne dramatyczne historie. Pewnego dnia zwyczajne szwedzkie nastolatki zakładają hidżaby i zaczynają przejawiać fascynację wojującym islamem. Niespełniona w swojej kobiecości pracownica lotniska z pobożnej muzułmanki staje się wspólniczką zamachowców. W przygotowaniu ataku bierze też udział dwóch braci, z których starszy przeszedł na islam podczas odsiadki. I trudno znaleźć wspólny mianownik dla tych radykalnych zwrotów.

Nie jest bowiem ważne, czy bohaterowie pochodzą z rodzin kochających się czy dysfunkcyjnych, czy mają korzenie arabskie bądź czeczeńskie, czy też są rodowitymi Szwedami. Z grubsza łączy ich to, że wszyscy znaleźli się w orbicie charyzmatycznego koordynatora zamachów, czasem przebranego za Kopta. I że czegoś im wszystkim brakowało w tym „najlepszym kraju świata”.

Ich oczami

W „Unorthodox” Brama Brandenburska była dla bohaterki przejściem do takiego właśnie świata. „Kalifat” nie jest wyłącznie oskarżeniem samego kalifatu – krytyka dotyczy również zachodniego państwa dobrobytu, którego polityka wobec Bliskiego Wschodu została zdominowana przez grę interesów, a głoszona tolerancja nie wykorzeniła głębokiego rasizmu, dając pożywkę religijnym ekstremistom.

Widać to na przykładzie szwedzkich uczennic, które decydują się wyjechać do Syrii i zostać żonami męczenników. Jakkolwiek mamy do czynienia z efektem prania mózgów, jest w tym także wyraz buntu przeciw krajowi urodzenia i przeciw własnym rodzinom, a w szczególności ojcom, którzy mimo kulturowej asymilacji dopuszczali się wobec córek różnych form przemocy. Operacja uwolnienia informatorki z Rakki, podobnie jak wątek naiwnych szwedzkich nastolatek, kreują ostry suspens, ale i pytają, co „u nas” poszło nie tak.

Byłoby trudno, zwłaszcza na podstawie popularnych produkcji telewizyjnych, zestawiać wsobny ze swej natury chasydyzm z ekspansywnym dżihadyzmem, wysyłającym młodych ludzi na śmierć. Trudno też utożsamiać sytuację dziewczyny wychowanej w wartościach ortodoksyjnego judaizmu z cynicznym uwiedzeniem i manipulacją dokonywaną przez islamistycznych werbowników. Oba światy stanowią radykalną odpowiedź rzuconą zachodniej nowoczesności, ale poprzez bohaterki „Unorthodox” i „Kalifatu”, te zaślepione i te w końcu odzyskujące wzrok, oba seriale łączy nade wszystko wiara w siłę kobiet.

Esty, Pervin, Fatima – to ich oczami oglądamy, czym jest świat, „który boi się religii”, i to na ich przykładzie widać w całej jaskrawości, czym jest religia używana jako kaganiec. Widowiska zbudowane na netfliksowych sterydach podporządkowują kobiece historie własnym popkulturowym prawidłom, co może usypiać czujność. Zwłaszcza że dzieją się one nie w Polsce, tylko w jakiejś odległej serialowej galaktyce. W czasie zamknięcia i oczekiwania na cudowne recepty eskapizm bywa jednak postawą niebezpieczną. ©

UNORTHODOX, *reż. Maria Schrader. Prod. USA/Niemcy 2020.*

KALIFAT, *reż. Goran Kapetanović. Prod. Szwecja 2020. Oba dostępne na Netfliksie.*

JAN

Klata:
Pandemimika

Z KAŻDĄ DOBĄ PARAPANDEMII TRACIMY POczucie rzeczywistości, więc co jeszcze nam się ostało? Poczucie humoru, a raczej jego strzępki. Strzępki składamy zgodnie z instrukcją, których pełno w internetach, i zakładamy na twarz w formie maseczki. Na twarz, czyli na połowę, dolną zresztą – żeby się tylko nie pomylić, bo pobłądzimy, a i patrol żandarmerii może nas opacznie zrozumieć, i zrobi się huczek. Było nie było: wojna.

Ale załóżmy, że maseczka uplasowała się prawidłowo, na dole, załóżmy, żeśmy bezpieczni.

Połowa fizis skasowana, co nam po niej, ukrytej? Ciężar spocznie na górnej połowie twarzy. Z biegem czasu trzeba będzie więcej przewracać oczami, znacząco mrugać i marszczyć brew, ale zanim się nauczymy pandemimiki, możemy sięgnąć do nieprzebranej skarbnicy starożytności, a konkretnie tradycji greckiej. Zdywersyfikujmy przekaz ulicznej autoekspresji i zainwestujmy w dwie ponadczasowe maski: jedną tragiczną, drugą komiczną. Korzyści są wielorakie, zaprezentujemy swą bezgraniczną erudycję, a sąsiedzi „na dzielnicy" (oraz policjanci) będą wiedzieli z grubsza, w jakim jesteśmy nastroju, i to z bezpiecznej odległości, bez konieczności narażania się na zakażenie.

Nieco barwniejsze rozwiązanie stanowią maseczki tęczowe (brrr!) lub klubowe (brawo! dla kibiców oraz parlamentarzystów). Kolejne potencjalne rozwiązanie pochodzi ze świata komiksu: można sobie na maseczkach wypisywać „dymki". Przykładowo, przychodzimy do sklepu, uprzednio umieściwszy na maseczce zdanie: „Poproszę kilogram drożdży i dziesięć rolek". Trzeźwo i na temat, a nie jakieś zarazkowe fiu-bździu, nie wiadomo po co gadane. Komunikat musi być zwięzły, to nie czas na lanie wody. Osobnym tematem są symbole i piktogramy, którymi możemy opatrzyć nasze maseczki – tutaj pole fantazji ściele się bezgranicznie, jak okiem sięgnąć... Zresztą, możemy sobie też umieścić na dole twarzy oko. Szlachetnie urodzeni, dysponujący odpowiednią wzmianką w herbarzach, a niechcący brudzić szyszaka, mogą w ramach szlachetnej sztuki dystynkcji umieścić sobie na maseczce herb przodków, albo po prostu cokolwiek, jako *crème de la crème*. Jedno jest pewne: świat nie będzie taki sam, początkowo będziemy mieli trudności z rozpoznaniem kogokolwiek, więc nie możemy pozostawać na etapie *tabula rasa*, trzeba coś zakomunikować, skoro tracimy twarz w 50 proc.

A może alternatywa dla maseczek? Przecież nie każdy należy do fanklubu serialu „Szpital na peryferiach". Idzie lato, będzie gorąco, więc polecam wariant „na Tuarega". Sporo prania, ale efektownie. ©

Lektor:
Mężczyzna czterdziestoletni

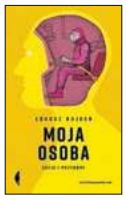

▪ *Łukasz Najder*
MOJA OSOBA. ESEJE I PRZYGODY
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020, ss. 222, seria dwutygodnik.com

WŁAŚCIWIE MĘŻCZYZNA czterdziestoczteroletni, co brzmi jeszcze lepiej. Łukasz Najder, polonista i doświadczony redaktor ważnych książek, sześć lat temu pojawił się na tych łamach jako bohater reportażu Kaliny Błażejowskiej. Tytuł i lead brzmiały mocno: „Szeherezada ze Zgierza", „Poznajcie najlepszego prozaika na Facebooku". Bo też Najder dał się poznać szerszemu gronu na Facebooku właśnie – jako autor „rozpisanej na dziesiątki miniatur ody do miasta Zgierza" (Błażejowska) oraz morderczo złośliwy komentator rzeczywistości. Wybór miniatur, zatytułowany „Transmisje", ukazał się wtedy na platformie internetowej BookRage. Fejsowe wpisy Najdera czytać można nadal. No a teraz książka w papierze. Dojrzała i mądra. Czternaście tekstów; pierwsze wersje niektórych publikowały „Pismo" oraz internetowy „dwutygodnik". Nie dajcie się zwieść zdystansowanemu humorowi tytułu i okładkowej noty, bo już w pierwszym kawałku, zatytułowanym „Wszystko jeszcze mogło się udać", dostaniecie po głowie. Świetny i ascetycznie zwięzły opis rodzinnej psychomachii naprawdę porusza. Podobnie jak kolejne autobiograficzne prozy: „Mysz" – wbijające w fotel studium kryzysu i depresji, „Najzimniejszy dzień roku" – rzecz o śmierci, czy „Turnus" – opowieść o upadłym peerelowskim letnisku. „Do Głowna wracam prawie co rok – na godzinę, dwie. Wracam jednak nie po to, by wspominać i łkać, idealizować i kląć, że ktoś zezłomował i odstawił na szrot niemały fragment mojej przeszłości. Zjawiam się tutaj, by doglądać katastrofy. Szacować postęp upadku". Autoironiczne wspomnienie-przestroga „Jak zostałem i nie zostałem prawicowcem" przynosi portret artysty jako młodego korwinisty („Patrzysz na siebie jak na film Olafa Lubaszenki pełen żenujących scen"). Punktem wyjścia dla Najdera bywają lektury (sprawozdanie z mozolnych wakacyjnych zmagań z „Moją walką" Knausgårda) i filmy („Ten człowieczek już więcej nie może" – o bohaterach „Upadku", „Taksówkarza" i im podobnych, a także o Adasiu Miauczyńskim). Jest tu wiwisekcja Kuby Wojewódzkiego, jest głos w dyskusji o czytelnictwie i analiza fenomenu Ikei. Sam odnalazłem się w tekście o prokrastynacji (czyli odwlekactwie). A powstały w 2017 roku esej „Pracuję w domu. Relacja z pewnej wojny" nabrał dziś nowego wydźwięku. Sprawdźcie! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Obolałe plecy

Czterdzieści tysięcy. Taką liczbę ludzi do roboty zamierzają ściągnąć w kwietniu specjalnymi czarterami niemieccy rolnicy. I drugie tyle w maju. Oczywiście mowa o ludziach ze wschodnich rubieży Europy. Tyle udało się wylobbować organizacjom branżowym w resortach odpowiedzialnych za pilnowanie kwarantanny i wszelkich restrykcji. Dotyczy to głównie Rumunów: zostaną przebadani, skoszarowani małymi grupami w gospodarstwach, które mają zapewnić im odpowiednie warunki dwutygodniowej izolacji – oczywiście izolacji od innych ludzi, a nie od pilnej roboty w polu. Szparagi na szczęście wyciąga się na świeżym powietrzu i kucając w sporej odległości od innych zbieraczy, więc w tej kluczowej sprawie rolnik nie musi o nic szczególnego zadbać.

Można założyć, że Niemcy to dostatecznie cywilizowany kraj, by takie skoszarowanie ludzi zależnych we wszystkim od pracodawcy nie doprowadziło do skandali współczesnego niewolnictwa, jakich doświadczali także nasi rodacy na włoskich plantacjach pomidorów czy u angielskich producentów sałaty.

Parę setek Rumunów przyleciało zresztą też do Anglii, gdzie sektor owocowo-warzywny tak samo martwi się o brak rąk do zbiorów. Gdy na Anglika pada strach, sięga do skrzyneczki z ostatnim zapasem dumy narodowej, czyli wspomnień z czasów Blitzu. Dlatego rząd rzucił hasło zaciągu ludzi pozbawionych pracy do nowej *Land Army*, czyli grządkowej piechoty. To znamienne, bo powodem do dumy powinno dla nich być nie to, że wytrzymali parę nalotów, ale to, jak potem w kilkanaście lat rozsądnie, bez rewolucyjnej przemocy, przebudowali kraj na egalitarną stronę i zamontowali potężne socjalne bezpieczniki. Dopiero w latach 80. wykręciła je premier zwana przez pochlebców żelazną (pełna zgoda: zimna i tępa).

Otóż z zaciągu nici. Niecałe 20 proc. spośród tych, co odpowiedzieli na apel „Zbieraj dla Brytanii", przeszło do etapu rozmowy o konkretach. To wcale nie jest takie proste, tłumaczył „Guardian". Po pierwsze to „bardzo fizyczna praca" od wczesnego rana, po drugie zbiór płodów rolnych wcale nie jest głupim zajęciem nieangażującym głowy – trzeba wiedzieć, jak zbierać, jak układać w skrzynkach, jak się poruszać. Lekceważeni sezonowcy z biednych krajów okazują się nagle ludźmi o całkiem wysokich i nieoczywistych kwalifikacjach.

Podobnie mówią niemieccy plantatorzy: do zbioru szparagów trzeba każdego przyuczyć, a przeciętny Niemiec po paru dniach stwierdza, że go plecy bolą, porzuca pracę, i całe szkolenie idzie na marne. Pracownicy z Polski, Słowacji lub Rumunii akceptują ból i wiedzą, że po jakimś czasie mija. Czytam więc opowieści, jak to Europie grozi może nie głód, ale zubożenie jadłospisu, jeśli rządy nie pozwolą szybko ściągnąć bez sanitarnych ceregieli setek tysięcy ludzi. Ze wschodu oczywiście (lub południa – cukinia w waszym sklepie tak bardzo zdrożała, bo Hiszpanie mają problem z pracownikami z Maroka). Sporo w tym lobbystycznej przesady, każda branża dziś rozdziera szaty w kolejce po rządową pomoc. Ale nawet autorzy piszący o tym nie z perspektywy biznesowej, lecz pełni lewicowego oburzenia na wyzysk, ociekają orientalizmem: ci ze Wschodu faktycznie są jacyś inni. Twarde chłopy i dziarskie baby.

Może sam bym wpadł w tę pułapkę i szydził z rozmiękłych Zachodniaków, którzy masują obolałe plecki, gdybym jednocześnie nie rozmawiał z plantatorami na targach w Krakowie czy Warszawie. Ci zaś mówią, że jak Ukraińców zabraknie, to bieda, panie, żaden Polak się nie schyli po truskawki. Próbuję czasem żartować, że w niektórych krajach mieszczuchy sowicie płacą rolnikom za możliwość pozbierania z ich pola skrzynki produktów, ale w sumie to mi nie do śmiechu. Dlaczego praca potrzebna do tego, by ziemia dała człowiekowi jeść, tak łatwo wpycha nas w stereotyp Krzepkiego Dzikusa ze Wschodu? Gardzimy nim, ale boimy się, że go zabraknie. Ano właśnie dlatego, że jest ciężka i zależy od niej życie na elementarnym poziomie. To jedna z pierwszych rzeczy, jakie człowiek słyszy od Boga w kwestii swojej wędrówki po ziemi: „W trudzie będziesz zdobywał od niej pożywienie dla siebie po wszystkie dni twego życia". W cichej nadziei, że może jednak da się tamtą Adamową wpadkę odkręcić, odsuwamy problem czubkiem buta, byle dalej na wschód. ©℗

PAWEŁ BRAVO

Jedną z pierwszych wiosennych zielenin, oprócz pokrzyw, jest czosnek niedźwiedzi. W lesie nie wolno go zbierać – zresztą i tak nie było jak do lasu pojechać, mam jednak nadzieję, że pesto w słoiczkach, które można tu i ówdzie kupić, pochodzi z upraw ogrodowych. Wzbogaciłem nim potrawę, którą wysoko trzymam na liście swoich comfort foods, czyli gnocchi alla romana. Choć nazwa kojarzy nam się z małymi kluseczkami, jest to piękna rzymska wariacja na temat... knedli. Litr mleka podgrzewamy z 50 g masła. Kiedy prawie będzie wrzało, solimy, dajemy sporą szczyptę gałki i wsypujemy pomalutku 250 g kaszy manny, mieszając trzepaczką, wciąż na małym ogniu. Gdy zacznie mocno gęstnieć, wtedy warto zmienić narzędzie na drewnianą łyżkę. Kiedy po paru minutach kasza zacznie odchodzić od ścianek i dna garnka, wyłączamy ogień, dodajemy 2 żółtka i 40 g tartego parmezanu, dobrze mieszamy. Połowę jeszcze gorącej masy wykładamy na arkusz papieru do pieczenia i staramy się ją zrolować w wałek o średnicy ok. 4-5 cm. Z drugą połową robimy to samo. Odstawiamy wałki ciasta do lodówki na pół godziny. Kroimy je w plastry ok. 1 cm grubości, układamy „w dachówkę" w brytfance solidnie wysmarowanej masłem. Polewamy obficie stopionym masłem i posypujemy parmezanem. Pieczemy ok. kwadransa w 180 stopniach, pod koniec włączając grill od góry, aby ładnie się zrumieniła skorupka. Na to nałożyłem pesto. Ale możemy do zapiekania polać np. sosem pomidorowym albo grzybowym.

USIĄDŹ I PATRZ

W naszym klimacie las powstaje, gdy nie przeszkadzamy przyrodzie – mówią Mieszko i Karolina Stanisławscy. W Beskidzie Niskim chcą stworzyć strefę wolnej ziemi.

KRZYSZTOF STORY

Mieszko Stanisławski napisał kiedyś: „Marzę o świecie, w którym Natura będzie traktowana z szacunkiem. Marzę o tym, aby sposób, w jaki jestem na tej Ziemi, charakteryzował się mądrością i prawdziwą troską o wszystkie formy życia tworzące tę niezwykłą mozaikę, której jestem częścią, bez ograniczania troski wyłącznie do gatunku *homo sapiens*, mojego narodu czy czubka własnego nosa”.

Stanisławscy postanowili zacząć realizację tego marzenia od 5 hektarów lasu w Beskidzie Niskim. Lasu wolnego od polowań, wycinki, gospodarczej ingerencji.

– Nasze podejście do życia opiera się na działaniu. Na aktywności. Czujemy się jak woda, która nigdy nie stoi w miejscu, tylko płynie tam, gdzie ją teren kieruje. Nas i nasze pomysły skierowało akurat w tę stronę. Wymyśliliśmy

MIESZKO STANISŁAWSKI

Karolina Stanisławska w korzeniach buku. Okolice Wapienicy, Beskid Śląski, październik 2019 r.

sobie strefę wolnej ziemi. Kilka hektarów lasu, który kupimy, a potem zostawimy samemu sobie. Las, który w przyszłości może być zalążkiem cennego starodrzewu – mówi Mieszko.

Postanowili, że zrobią to wraz z ludźmi. 29 października 2019 r. stworzyli zbiórkę w internecie. 36 dni później mieli do dyspozycji ponad 140 tys. złotych.

Bycie w lesie

Sukces zbiórki zaskoczył wszystkich. Także Mieszka i Karolinę. Nie są znani, wtedy jeszcze nawet nie mieli założonej fundacji, pieniądze zbierali prywatnie. Ona – fizjoterapeutka, instruktorka jogi, on – instruktor narciarstwa, fotograf, ratownik GOPR, z wykształcenia filozof. Mieszkają w Bielsku-Białej, zimą uczą jazdy na nartach, latem zabierają ludzi na wyprawy do lasu, organizują warsztaty przyrodnicze. Tę drugą działalność nazywają po prostu Bycie w Lesie.

– Zbiórka pokazała mi, jak duża potrzeba drzemie w ludziach – mówi Karolina. – Nasza potrzeba dbania o przyrodę, kontaktu z nią nie znajduje ujścia. Okazało się, że treścią tej zbiórki wyraziliśmy głos wielu ludzi, bo od serca powiedzieliśmy, że też mamy taką potrzebę. Wsparło nas ponad tysiąc osób.

– Byliście anonimowi.

– I to chyba też okazało się atutem. Dla ludzi ważna jest nadzieja na to, że zwykły człowiek ma szansę coś zmienić. Że wreszcie nie musimy czekać, aż jakaś Warszawa coś zrobi.

Zbiórka się udała, Stanisławscy wybrali las, któremu chcieli dać wolność. 5 hektarów w Beskidzie Niskim, niedaleko Myscowej, na obrzeżach Magurskiego Parku Narodowego.

– To nie mógł być dowolny las, prawda?

– Masz rację – odpowiada Mieszko. – Warunek numer jeden: nie może być zdewastowany. Nie łudzimy się, że znajdziemy pradawną puszczę należącą do prywatnego właściciela, który zechce ją sprzedać, ale las musi być wartościowy.

– Numer dwa?

– To musi być teren w obrębie większego kompleksu leśnego. Małe lasy otoczone polami nie staną się nagle puszczą, choćbyśmy nie wiem co robili. Tymczasem strefa wolnego lasu wewnątrz dużego kompleksu może stać się zalążkiem starodrzewu, bezpiecznym matecznikiem dla zwierzyny.

– I niedostępnym dla człowieka?

– Nasz las ma być dostępny dla ludzi, tak jak dla wszystkich innych istot. Nie robimy ścisłego rezerwatu. Ale tak, to warunek drugi: im dalej od siedlisk ludzkich, tym lepiej. To zmniejsza ryzyko kradzieży drewna, kłusownictwa, utrudnia jakąkolwiek eksploatację, a o to nam chodzi.

– Jeszcze jakieś warunki?

– Kawałek płaskiego terenu, na którym można by prowadzić warsztaty. I żeby las był na południu Polski.

10 stycznia zostaje zarejestrowana fundacja Bycie w Lesie, formalny opiekun wolnego lasu. Statut jest skonstruowany tak, by zapewnić strefie wolnej ziemi ochronę przez dziesiątki lat. Fundacja nie może lasu sprzedać, wydzierżawić ani podarować. W razie jej upadku kolejny właściciel musi dotrzymać tych samych warunków. 17 stycznia Stanisławscy podpisują wstępną umowę kupna.

– Po co to robicie?

– Z pasji do przyrody, chęci działania i egoistycznej potrzeby – mówi Karolina. – Spędzamy w lesie dużą część życia. I coraz ciężej nam znaleźć miejsce bez pił, bez wycinek, bez zaznaczonych do ścięcia drzew, bez lasu posadzonego w rządki od linijki.

– Pierwsze trzy warunki, o które pytałeś, to nie jest nic niezwykłego. Duży las, daleko od wsi, który nie został zdewastowany – dodaje Mieszko. – I okazuje się, że tylko te trzy warunki eliminują 80 procent lasów w Polsce. To chyba wystarczający powód, żeby próbować coś zmienić.

↦

Starodrzew

Powody są, mimo że Polskę uważamy za kraj pełen drzew. Nasz poziom lesistości (29,6 proc. w 2018 r.) odpowiada średniej światowej i jest nieco niższy niż średnia europejska. W dodatku powierzchnia lasów w Polsce cały czas rośnie, nieprzerwanie od końca II wojny światowej.

– Oczywiście, że rośnie, Lasy Państwowe bardzo się tym chwalą – komentuje Mieszko. – Tylko warto spojrzeć na jakość tych lasów, zamiast liczyć hektary. Wtedy okaże się, że lwia część to lasy gospodarcze o bardzo niskiej wartości przyrodniczej. Że te hektary zapełniają drzewa posadzone w równych rządkach, bardziej przypominające fabrykę desek niż las.

Przy szlaku turystycznym w Regietowie stoi tablica ustawiona przez Nadleśnictwo Gorlice. Nosi tytuł: „Jak powstaje las?”. **Na zdjęciach widać ludzi sadzących drzewa w równych rządkach.**

Zdecydowaną większością lasów w Polsce zarządza Państwowe Gospodarstwo Leśne Lasy Państwowe. Ma pod opieką 7,2 mln hektarów. To prawie jedna czwarta kraju. Lasy Państwowe zarabiają na sprzedaży drewna z tych obszarów ogromne pieniądze. Tylko w 2018 r. było to prawie 10 mld złotych.

– Większość drzew w Polsce jest wycinanych, gdy tylko osiągnie wiek rębny – oceniają Stanisławscy. – Wtedy drzewo przestaje wystarczająco szybko przybierać na masie, opłaca się więc je ściąć i sprzedać surowiec.

– Zarabiamy na tym. Nie powinniśmy?

– Powinniśmy mieć dużo więcej umiaru. Na razie mamy młode i słabe lasy o niskiej wartości. Lasy, z których wywozimy drewno, a one nie mają się z czego odradzać. W chronionych rezerwatach i starodrzewach widać, jaką rolę spełniają powalone drzewa. Żyją w nich tysiące organizmów, od owadów po mchy. Tymczasem w Polsce typowym widokiem jest las zapałkowy, zwłaszcza sosnowy. W takich lasach poza drzewami prawie nic nie rośnie. Dlatego mówię o fabryce desek.

– Konsekwencje?

– Bardzo ważnym aspektem jest retencja. „Naturalne” lasy magazynują setki tysięcy litrów wody. Starodrzewy są w tym niezastąpione. Drzewa i bagna są największym zbiornikiem retencyjnym w naszym kraju. Dużo mocniej wiążą glebę, zapobiegają erozji, zwłaszcza na terenach górskich. Pochłaniają też ogromne ilości CO_2. Wreszcie – różnorodność biologiczna, którą tracimy, jest wartością samą w sobie. Przykład: 70 proc. polskich niedźwiedzi gawruje w dziuplach starych, dużych drzew, najczęściej jodeł. Tylko że takich jodeł jest coraz mniej. A do 80-letniej sosny niedźwiedź zmieści co najwyżej jedną łapę.

Ze strony Lasów Państwowych: „Lasy w Polsce rosną na glebach najsłabszych, głównie z powodu rozwoju rolnictwa w poprzednich wiekach”. 60 proc. powierzchni polskich lasów zajmuje sosna. Drzewostany starsze niż 100 lat to zaledwie 13 proc. powierzchni. Warto dodać, że wiele gatunków osiąga wiek rębności krótko po setnych urodzinach – buk, jodła, dąb, jesion, wiąz.

– Poza rezerwatami i parkami narodowymi trudno jest znaleźć w Polsce drzewo starsze niż 120 lat – mówi Karolina.

Kowalski z Kowalskim

Stanisławscy chcą to na miarę swoich możliwości zmienić. Wszystko było na dobrej drodze, by strefa wolnej ziemi powstała na początku tego roku. Ale 18 lutego teren upatrzony przez Mieszka i Karolinę zdecydowało się wykupić Nadleśnictwo Dukla.

– Od 2016 roku nadleśnictwom przysługuje prawo pierwokupu każdego terenu leśnego – tłumaczy Karolina.

W oświadczeniu nadleśnictwa czytamy: „Skorzystaliśmy z tego uprawnienia, bowiem leży to w interesie Skarbu Państwa. Ta działka łączy bowiem dwa oddzielne kompleksy leśne znajdujące się w zarządzie nadleśnictwa”. Nadleśniczy Zbigniew Żywiec pisze w nim, że o zbiórce na wolny las dowiedział się z mediów, a las i tak będzie wolny i dostępny dla wszystkich, co ma wynikać z państwowego charakteru własności. Natomiast nie wydaje się, by była to taka sama wolność, o której myśleli Stanisławscy.

– Już po wszystkim nadleśniczy powiedział mi, że wiedział wcześniej o naszych planach, nie wiem, czemu w oświadczeniu twierdzi inaczej – komentuje Mieszko. – Uważam, że dla Lasów Państwowych byłoby nawet wizerunkowo korzystniej sprzedać nam ten las. To była ciekawa inicjatywa, odbiła się szeroko w mediach, mogliby nas wesprzeć.

– Co teraz zrobicie?

– Poszukamy nowego lasu. Tak obiecaliśmy ludziom, którzy nas wsparli. Strefa wolnej ziemi powstanie.

– Macie żal?

– To dla nas trudny moment, bo myśleliśmy, że bardzo długi, ważny projekt będzie miał szczęśliwy finał, a trzeba jeszcze poczekać. Trzeba na nowo szukać, przeglądać bazy danych o lasach. Od dłuższego czasu siedzę nad mapami. Łatwo nie jest. Ostatnio trafiłem na las, który by nam odpowiadał. Działka miała 238 właścicieli – śmieje się Mieszko.

– Żal, jeśli już, to nie do nadleśnictwa, bo oni zrobili wszystko zgodnie z prawem – dodaje Karolina. – Ale mam poczucie, że z tym prawem jest coś nie tak. Bo okazuje się, że jeden Kowalski chce drugiemu Kowalskiemu sprzedać las, a nagle pojawia się ogromna korporacja i mówi „to moje”. I nic nie możesz zrobić.

Stanisławscy mają już na oku drugie miejsce, także w Beskidzie Niskim. Trwają rozmowy z właścicielem. Cały czas szukają również innych opcji.

– Nie chcemy zawieść ludzi. To oni byli siłą tej akcji. Dostaliśmy na przykład mail od leśnika, który od lat pracuje w LP. I on pisze do nas z podziękowaniem. Pisze, że nie może już patrzeć na wszechobecne wycinki. I że takie akcje jak nasza naprawdę mają szansę coś zmienić.

Metki

Sukces zbiórki Stanisławskich pokazuje potencjał oddolnych, obywatelskich akcji. Późniejsze trudności z zakupem lasu obnażają ich słabe strony. Pojawia się pytanie o sens takich inicjatyw. Czy fundacja jest w stanie skutecznie chronić

las, jeśli efekty tej ochrony będą widoczne za kilkadziesiąt, kilkaset lat?

– Nasze, pojedynczych osób, możliwości są ograniczone. I teraz mamy dwie opcje. Albo na wszelki wypadek nie robić nic, albo robić tyle, ile się da, i zaakceptować, że nie wszystko się uda. Uważamy, że w tej sytuacji działanie jest lepsze od braku działania – mówi Karolina.

– Wszystko, co robimy w lesie, ma służyć Ziemi. Warsztaty, wyprawy, odosobnienia, które umożliwiają bycie sam na sam z przyrodą przez kilka dni. To wszystko ma skłonić ludzi do refleksji i zmiany – dodaje Mieszko.

– Jak ochronicie las?

– Prawo pozwala zakazać na jego terenie polowań. Nie będziemy prowadzić wycinek. W myśl głębokiej ekologii człowiek będzie mógł się tam pojawić, ale nie jako intruz, tylko jako jedna z części wielkiej przyrodniczej sieci powiązań. Tak samo istotna jak drzewo, mech i kornik drukarz.

– Czy to, co stało się z pierwokupem lasu, nie pokazuje słabości takich inicjatyw? Czy nie jest tak, że władze, wielka polityka, globalne trendy i tak zawsze będą miały decydujący głos? Że zawsze wygrają ze Stanisławskimi z beskidzkiego lasu?

– Może i czasem wygrają. Ale użyłeś bardzo dużych słów: globalne zmiany, polityka, prawo. To są metki przypięte do rzeczy, które składają się z mniejszych elementów. Jeśli mentalnie rozłożymy te rzeczy na części, rozmontujemy je w głowie, okaże się, że one nie są monolitem. Że mamy na nie wpływ! Jest trudniej, ale nie ma, że się nie da – mówi Mieszko.

– To, co się zadziało podczas naszej zbiórki, jest wartością samą w sobie – dopowiada Karolina. – Społeczność, która wokół niej powstała. Zrobiliśmy spotkanie dla ludzi, którzy nas wsparli – Święto Wolnego Lasu. Tamte rozmowy dały mi dowód, że wielkie zmiany, których nam tak bardzo trzeba, już się dzieją i zaczynają się od dołu.

– Dwa miesiące temu urodziła się wam córeczka, Rosa. To wpłynęło na wasze podejście?

– Nieświadomie, ale pewnie tak. Łatwiej troszczyć się o świat przyszłego pokolenia, kiedy przyszłe pokolenie już z tobą mieszka.

Siedzisko

Głęboka ekologia, o której mówią Stanisławscy, to nurt filozoficzny i postawa społeczna.

– To sposób patrzenia na świat, w którym każda forma życia ma takie samo prawo do istnienia – tłumaczy Mieszko. – Jest przecież częścią sieci powiązań, w której każdy element zależy od każdego. W dzisiejszych czasach ta sieć robi się coraz bardziej chwiejna. Głęboka ekologia od potocznie rozumianej ekologii różni się tym, że stawia fundamentalne pytania. O nasze miejsce w przyrodzie, o znaczenie tej sieci, o nasze prawa i obowiązki. Jest raczej światopoglądem przyrodniczym, a nie zestawem konkretnych działań, jak sortowanie śmieci czy ograniczanie plastikowych słomek.

– Jak wygląda las z tej perspektywy?

– Zupełnie inaczej niż z punktu widzenia obowiązującego powszechnie przekonania, że las musi zostać zasadzony, zaprojektowany, że las bez leśnika sobie nie poradzi.

Przy szlaku turystycznym w Regietowie, 25 kilometrów od niedoszłego wolnego lasu, stoi tablica ustawiona przez

MIESZKO STANISŁAWSKI

Karolina i Mieszko Stanisławscy. Las w Nieznajowej, Beskid Niski, maj 2019 r.

Nadleśnictwo Gorlice. Nosi tytuł: „Jak powstaje las?”. Na kilku zdjęciach widać ludzi sadzących drzewa w równych rządkach, a tekst opisuje techniki prac leśnych.

– Ja widzę las na zasadzie organizmu – Mieszko ma inną wizję. – To nie są tylko drzewa, ale wszystko, co się między nimi pojawia, kiedy człowiek temu nie przeszkadza. Wokół małych drzewek powstaje ekosystem, który dorasta i zmienia się razem z nimi. Rosną nowe grzyby, mchy, porosty. Dziuple zasiedlają ptaki, w powalonych drzewach mieszkają owady. To wszystko oddycha, gromadzi wodę, daje schronienie. Lata mijają, a ta sieć bezustannie się zmienia.

– A jak powstaje las?

– W naszym klimacie, w większości przypadków, las powstaje tam, gdzie przestajemy przeszkadzać przyrodzie. Jest takim stanem naturalnym naszej ziemi. Las bierze się z nicnierobienia. I tego chyba potrzebujemy: żebyśmy zaczęli z przyrodą po prostu nic nie robić.

Dla Mieszka i Karoliny las jest czymś niezbędnym do życia, ale też bardzo osobistym. Sami poznawali się na bieszczadzkich wycieczkach. Bez kompasu, telefonu, bez szlaku. Las jest źródłem wspomnień.

– Nie tylko tych pięknych, ale też związanych z utratą, żalem, złością – mówi Mieszko. – Smutnych po prostu. W 2017 r. byliśmy w Dydiówce niedaleko Stuposian w Bieszczadach. Dla mnie to ważne miejsce. Pierwszy raz widziałem tam niedźwiedzia, słuchałem tam wilków. A teraz zobaczyłem wycinkę i świeże drogi pod ciężki sprzęt. To boli.

Stanisławscy mówią, że nasz brak troski o przyrodę bierze się często z nieznajomości. Z braku relacji. Dlatego chcą, by wolny las był otwarty dla ludzi, którzy pragną go poznać, zrozumieć. Do czasu jego powstania proponują coś, co nazywają Siedziskiem. Wystarczy wybrać sobie miejsce w lesie i wracać do niego codziennie przez tydzień. Wystarczy na godzinę. Wystarczy usiąść i obserwować. Zobaczyć, jak wszystko zmienia się, żyje, wpływa na siebie i na nas. Wystarczy pójść samemu, nie zabierać telefonu i milczeć. Wystarczy nic nie robić. Podobno działa.

– Imię waszej córki, Rosy, to jakaś włoska inspiracja?

– Nie. To polska Rosa jest. Taka na trawie, która zwiastuje piękny dzień.

© KRZYSZTOF STORY

STANISŁAW

Mancewicz: *Żelazny ptak*

Mamy pierwszego w historii ministra nauki bez tytułu i jest to znak trendu, którego metą będzie minister nauki bez ukończonej podstawówki. Świetnie widać, że nikt tak nie wkurza Gospodarza i jego otoczenia jak ludzie piśmienni i cokolwiek umiejący. Cokolwiek umiejący pośród nieumiejących jest zawsze sam jak palec, i takoż jest i będzie zbędny, odepchnięty i wyzuty z godności. Tyle w ramach wstępu, bo wstępy są zawsze ważne. A poza tym, zrobimy sobie dziś niezobowiązujący przegląd wiadomości, będących kompletem ilustracji dla licznych dzienników zarazy, które zaleją niebawem rynek księgarski.

To będzie bardzo przykre dla każdego klienta księgarń polskich i niepolskich. To będzie straszniejsze niż cokolwiek, co się wydarzyło w piśmiennictwie w ciągu ostatnich dziesięcioleci, straszniejsze niż wysyp książek kucharskich pisanych przez celebrytów. Dla nowych dzienników czasu zarazy już trzeba budować regały i komponować osobne w księgarniach działy. Spróbujmy, jako ludzie spoza tej twórczości, jakoś się rozweselić, choćby obrazkami.

Oto wylądował wielki samolot. Oglądanie, jakże to on leci i jak ląduje, jak jedzie i jak nie jedzie, zajęło nam wszystkim, jak tu ponuro siedzimy, dwie doby. Następne trzy zajęły nam spory, cóż to on przywiózł, po co, ile i za ile. Nie ma w tej sprawie żadnej zgody i to jest – jak zawsze tutaj – kapitalne, choć do znudzenia. W ogóle byśmy się nie zdziwili, gdyby się okazało, że za owe 3 miliony dolarów samolot ów przyleciał sobie ot tak, po prostu, *pro arte*, dla jaj, pusty w środku. Elektorat by to zrozumiał, przyjął za oczywiste, bo elektorat nie nosi przecież maseczek ani gumowych rękawiczek, a do chińszczyzny ma stosunek niby pełen rezerwy, ale z drugiej strony nabożny. Kapitalne były tłumy warszawsko-podwarszawskie, które rzuciwszy prace zdalne i niezdalne, na piechotę, autami i czym się da pojechały do miejscowości Okęcie, by tamże na własne oczy zobaczyć największy samolot świata, drapiący swymi skrzydłami niebieskie jak niezapominajka niebo polskie. Masy żołniersko-policyjne, mające rzekomo pilnować dystansu społecznego, ale przede wszystkim sensu bezsensów różnych tutejszych zarządzeń rządowo-partyjnych, takoż stały tamże w Okęciu. Zamiast pałować, rozdzielać, wystawiać mandaty, jadły kiełbaski z grilla i golonki z musztardą. Patrzyły owe masy mundurowych w niebo, na zbliżającego się potwora, żelaznego ptaka przylatującego tu z jak najdalsza. Potem zaś, w tle mając tego ptaka z żelaza, stanął premier czterdziestomilionowego kraju i drżącym z przejęcia głosem opowiedział nam o wszystkim, cośmy już od dawna wiedzieli, o czym już na stu forach żeśmy czytali, i powiedział wszystko, cośmy zdążyli po wielokroć uznać za prawdę bądź za nieprawdę.

Współistniejącym niejako obrazkiem były obchody wiadomej rocznicy, odprawiane przez wiadomych polityków, w czasach wiadomych zarządzeń sanitarnych. Głosy oburzenia na widome oznaki lekceważenia własnych władzy zaleceń nie wyjaśniały powodów, dla których ci ludzie tak właśnie postępują. Nikt nie wyjaśnił nam, dlaczego prawicowa władza i jej zwolennicy nie noszą maseczek ani rękawiczek, i dlaczego nie trzymają dystansu. Oni sami, co warto zanotować, tłumaczyli zaledwie, że nie brali w niczym nieformalnym udziału, tak jakby formalność bądź nieformalność miały znaczenie w rozprzestrzenianiu się patogenu drogą kropelkową. Otóż rzec trzeba dziś bardzo wyraźnie i głośno: weszliśmy w okres, w którym światopogląd, jeśli idzie o choroby, ich pochodzenie, objawy, uleczalność bądź śmiertelność, będzie objaśniał wszystko od A do Zet. Będzie od chorób chronił bądź na nie skazywał. To już się dzieje. Nie czekajcie więc na szczepionkę, tylko zmieniajcie poglądy na właściwe. To jest dobra rada. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

GDYNIA moje miasto

GDYŃSKA KULTURA ŁĄCZY SIŁY

W związku z zamknięciem miejskich placówek kulturalnych w Gdyni, Wydział Kultury we współpracy z gdyńskimi instytucjami, fundacjami i animatorami przygotował dedykowaną ofertę kulturalną dostępną online, pod hasłem „Kultura łączy siły"

CODZIENNIE OD 18.00
BLOKI TEMATYCZNE, POŚWIĘCONE KULTURZE
DOSTĘPNE ONLINE NA FACEBOOKU
ORAZ YOUTUBE GDYNI KULTURALNEJ

PONIEDZIAŁEK / KINO
WTOREK / LITERATURA
ŚRODA / WARSZTATY
CZWARTEK / WYKŁADY
PIĄTEK / MUZYKA

GDYNIA KULTURALNA

gdyniakulturalna

#ZOSTAJEWDOMU

REKLAMA

MAŁE SAMOCHODY STWORZONE DLA

WIELKIEJ IDEI

HYBRID

HYBRYDOWE FIAT 500 I PANDA

OD 599 ZŁ NETTO/MIES. W ABONAMENCIE BEZ WPŁATY WŁASNEJ

TERAZ Z EKOLOGICZNYM NAPĘDEM HYBRYDOWYM

FIAT

fiat.pl

Wynajmujący: Leasys Polska Sp. z o.o. Oferta wynajmu jest skierowana wyłącznie do przedsiębiorców. Rata wynajmu 599 zł netto dotyczy samochodu Fiat 500 Pop 1.0 70 KM Hybrid w umowie na 36 miesięcy, z limitem 10 000 km rocznie, bez wpłaty własnej, oraz samochodu Fiat Panda City Cross 1.0 70 KM Hybrid w umowie na 84 miesiące, z limitem 10 000 km rocznie, bez wpłaty własnej. W racie zawarte jest ubezpieczenie OC. Szczegóły promocji są dostępne u autoryzowanych dealerów Fiata. Promocja ograniczona w czasie. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Rzeczywisty wygląd i cechy pojazdu mogą się różnić od prezentowanych w materiale reklamowym. Szczegóły i informacje dotyczące spełniania wymogów ochrony środowiska są dostępne u dealerów sieci FCA Poland. Fiat 500: emisja CO_2 88 g/km, średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym: 3,9 l/100 km. Fiat Panda: emisja CO_2 89 g/km, średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym: 4,0 l/100 km.

LEASYS